

Gruszczynski:
Wrota do swiata nauki

Szeptycki, Kostecki:
Strategia umiedzynarodowienia

Miksa:
Etyka w systemie edukacji

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 4/2024

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)

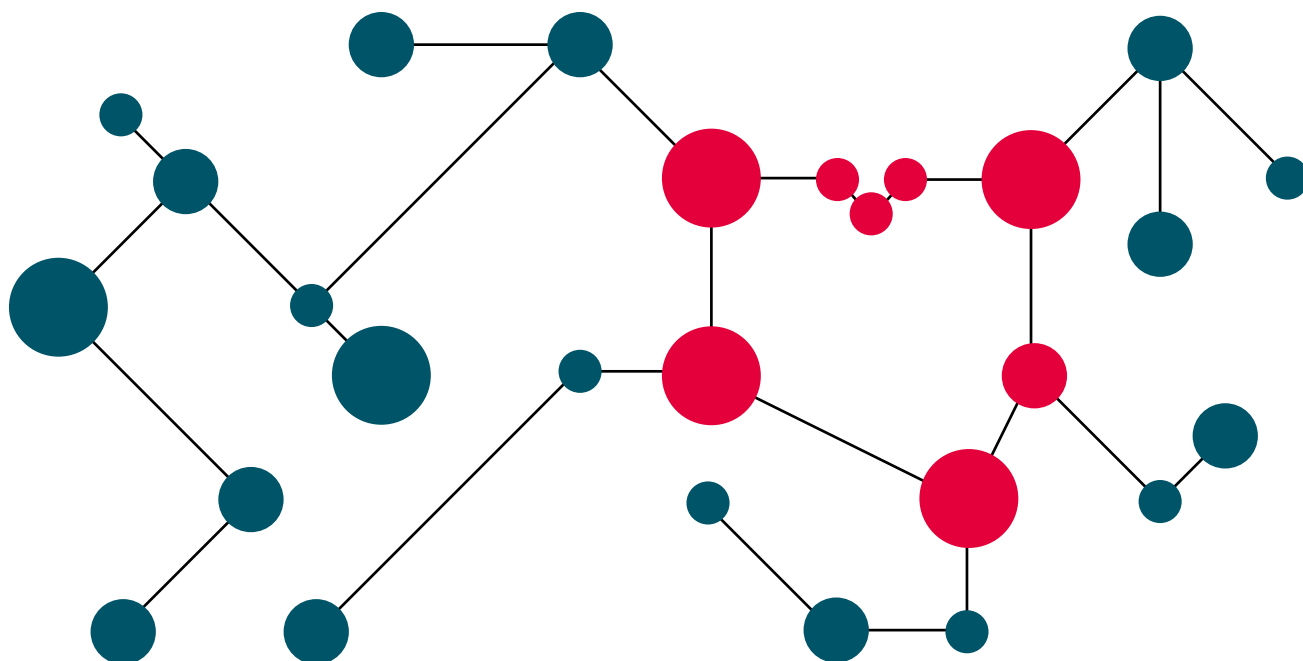


Po co ewaluacja?

Zawiła-Niedźwiecki:
Atrakcyjna dydaktyka

Kasprzak, Poturska:
Uniwersytet w Laponii

Chodaczek:
Nowotworowa immunoterapia



I KONGRES UMIĘDZYNARODOWIENIA

SZKOLNICTWO WYŻSZE

● Gdańsk, 13–14 maja 2024

Wydarzenie organizowane pod honorowym patronatem Ministra Nauki otworzy szeroką **debatę ze środowiskiem akademickim i naukowym na temat kształtu krajowej strategii umiędzynarodowienia szkolnictwa wyższego.**

Weź udział online:



- ○ International
- ● Relations
- ○ Offices
- ○ Forum

I Kongres Umiędzynarodowienia realizowany jest w ramach projektu pn. „Strategia umiędzynarodowienia polskiego szkolnictwa wyższego i nauki” ze środków Funduszy Europejskich dla Rozwoju Społecznego: Działania FERS.01.05 Umiejętności w szkolnictwie wyższym.



Dofinansowane przez
Unię Europejską



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Umieędzynarodowienie – jak i po co? – <i>Andrzej Szeptycki</i>	6
Strategia umieędzynarodowienia – papierek lakmusowy czy realne narzędzie oddziaływania? – <i>Dawid Kostecki</i>	7
Rady uczelni – niewykorzystana szansa – <i>Maciej J. Nowak</i>	8
Umorzenie plagiatu – <i>Marek Wroński</i>	9
Zmierzch starych paradygmatów? – <i>Zbigniew Osiński</i>	10
Afiliacja – cenne dobro – <i>Marek Kosmułski</i>	11
Skala umieędzynarodowienia – <i>Jan Hauke</i>	12
Ewaluacja po litewsku – <i>Adam Jusupović</i>	14
Kult cargo – <i>Dariusz Ggtarek</i>	16
Dlaczego nie dostaliśmy Nobla? – <i>Aleksander Wittlin, Karol Życzkowski</i>	18
European University Institute	23
Nowi profesorowie	32

ROZMOWA FORUM

Nie ma drugiej takiej instytucji na świecie – rozmowa z prof. <i>Łukaszem Gruszczyńskim</i> , przedstawicielem Polski w Wysokiej Radzie Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji	20
--	----

ŻYCIE NAUKOWE

Od parametryzacji do degeneracji – <i>Sebastian Kołodziejczyk</i>	24
Gdzie się podziela nauka o biznesie? – <i>Roman Niestroj</i>	29

Z archiwum nieuczciwości naukowej (207)

Nierzetelny doktorat byłego rektora – reaktywacja – <i>Marek Wroński</i>	35
---	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Dać głos innym – <i>Konrad Pfeiffer</i>	38
Chyba można by kształcić i tak – <i>Janusz Zawila-Niedźwiecki</i>	42
Akademickie długi wdzięczności – <i>Zbigniew Drozdowicz</i>	45
Tuuli kääntty pohjoiseen – <i>Marek Kasprzak, Anita Poturalska</i>	48

Oblicza tkaniny – rozmowa z prof. <i>Włodzimierzem Cyganem</i> , kierownikiem Pracowni Tkaniny Unikatowej w łódzkiej ASP	52
Czytelnia czasopism – <i>Aneta Zawadzka</i>	60

Publikuj lub giń

Horyzont zdarzeń – <i>Marek Misiak</i>	57
---	----

Z LABORATORIÓW

Limfocyty T gamma-delta niszczą nowotwory – <i>Grzegorz Chodaczek</i>	61
Budowanie edukacji obywatelskiej – <i>Joanna Miksa</i>	65
Wyjątkowa kraina i obszar ważny strategicznie – <i>Natasza Duraj</i>	69

W STRONĘ HISTORII

Kiedy temat badawczy „złe” się starzeje – <i>Marcelina Smużewska</i>	73
---	----

OKOLICE NAUKI

Książki

Książki nadesłane	75
Diabeł tkwi w szczegółach – <i>Marek Misiak</i>	77
Nie oglądaj się ciągle za siebie! – <i>Aneta Zawadzka</i>	77
Prawda o slumsach – <i>Anna Jawor</i>	78
Pabjana odczytywanie sensu – <i>Marek Lechniak</i>	78
Czym (i jak) zajmuje się historia sztuki? – <i>Juliusz Gałkowski</i>	79
Półwiecze i ciąg dalszy – <i>Zbigniew Chojnowski</i>	79

FELIETONY

Szkiełko w oku

Ktoś robi coś, nie robi czegoś z nienawiści... – <i>Piotr Müldner-Nieckowski</i>	76
---	----

Na marginesach nauki

Afryka – <i>Leszek Szaruga</i>	80
Projekt okładki – <i>Paweł Kaniuk</i>	

FORUM
AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXX Nr 4 (365) Kwiecień 2024

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasz Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Banys, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Eliasz, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmida, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Grzegorz Filip – dział publicystyki (filip@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasz Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Drukarnia „Akapit” Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

MEiN

Projekt „Forum Akademickie – środowisko ogólnopolskiej debaty akademickiej” finansowany jest ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna odpowiedzialność nauki II”.

Wybory za półmetkiem

POLSKA Profesorowie: Alojzy Z. Nowak (Uniwersytet Warszawski), Ryszard Koziółek (Uniwersytet Śląski), Adam Weinrit (Uniwersytet Morski w Gdyni), Zbigniew Koruba (Politechnika Świętokrzyska), Krzysztof Szoszkiewicz (Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu) – to tylko kilku spośród 60 rektorów, którzy do połowy kwietnia uzyskali reelekcję w wyborach na kadencję 2024–2028. W gronie debiutantów są m.in. profesorowie: Adam Reich (Uniwersytet Rzeszowski), Arkadiusz Terman (ZUT), Beata Wojciechowska (UJK), Tomasz Strahl (Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina), Jacek Lipok (Uniwersytet Opolski), Wiesław Czołpiński (Akademia Teatralna w Warszawie) i Barbara Jankowska (na



Fot. UJEP

foto.) – pierwsza kobieta w blisko stoletniej historii Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, która stanie na jego czele. Głosowanie odbyło się już w 86 ze 138 uczelni publicznych. Kampanię na bieżąco relacjonujemy w naszym serwisie internetowym. Tam także sylwetki wszystkich rektorów.

Granty dla doświadczonych

WARSZAWA Trzy kolejne granty ERC Advanced trafiły na polskie uczelnie. Z Uniwersytetu w Michigan na Uniwersytet Warszawski przeniesie swoje laboratorium prof. Emanuel Gull. Zajmie się rozwijaniem metod numerycznych opisujących skomplikowane i wieloelementowe układy kwantowe. Relacje między badaniami nad fauną Europy Wschodniej a sposobami rozumienia tego regionu w okresie od XVI do XVIII wieku będzie analizować prof. Grażyna Jurkowlaniec z UW. To pierwsza Polka z ERC AdG. Na Politechnice Warszawskiej swoje badania zrealizuje prof. Thomas Skotnicki. Celem jego projektu jest stworzenie urządzenia przetwarzającego pływy atmosfery na energię elektryczną i zmniejszenie go



Fot. UW, PWN



do rozmiaru nanokapsułki. O granty ubiegało się w tym konkursie 1829 naukowców, finansowanie w wysokości 652 mln euro dostało 255 z nich (wskaźnik sukcesu wyniósł 13,9%). Do Polski trafiły już w sumie 83 granty ERC wszystkich kategorii, w tym 45 Starting Grants, 18 Consolidator Grants, 12 Advanced Grants, 7 Proof of Concept Grants i 1 Synergy Grant.

Ponad połowa Horyzontu na naukę

BRUKSELA Ponad 473 mln euro pozyskali polscy beneficjenci w rozstrzygniętych już 428 konkursach programu ramowego Horyzont Europa. To blisko 100-proc. wzrost wartości finansowania w porównaniu z analogicznym okresem Horyzontu 2020. Ponad połowę środków, które trafiły do Polski (55,4%), zgarnął sektor nauki. W podziale 262,3 mln euro uczestniczy 160 instytucji (90 koordynacji). Jak wynika z najnowszych danych Komisji Europejskiej, szczególną dynamikę przyrostu środków uzyskaliśmy w konkursach European Research Council. Na tym etapie w H2020 mieliśmy na koncie przeszło 47 mln euro, teraz już blisko 57 mln euro. W największej mierze na sumę tę składają się otrzymane przez polskich badaczy granty: Starting (31,1 mln euro), Consolidator (15,1 mln euro) i Advanced (9,1 mln euro). Wśród podmiotów naukowych liderem pozostaje Uniwersytet Warszawski (35,5 mln euro) przed Uniwersyteciem Jagiellońskim (24,9 mln euro) i Międzynarodowym Instytutem Biologii Molekularnej i Komórkowej (12,8 mln euro). W całym programie rozdysponowano do tej pory 34,2 mld euro.

Uphageny dla młodych uczonych

GDAŃSK Po raz 21 wręczono Nagrody Miasta Gdańska dla Młodych Naukowców im. Jana Uphagena. Przyznawane są studentom i absolwentom gdańskich uczelni, którzy nie ukończyli 30 lat i mają na koncie



Fot. Grzegorz Mehring

wybitne osiągnięcia naukowe. W kategorii nauk humanistycznych i społecznych doceniono dr Julię Balcerowską z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Gdańskiego za badania nad osobowościowymi uwarunkowaniami problematycznego korzystania z portali społecznościowych, ze szczególnym uwzględnieniem roli narcyzmu oraz związanych z nim motywów Ja. W kategorii nauk przyrodniczych i ścisłych nagroda trafiła do dr. Karola Steckiewicza z Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego za wybitne osiągnięcia w zakresie nanomedycyny, opieki okołoperacyjnej i intensywnej terapii. Wraz z tegorocznymi laureatami Uphagenami nagrodzono już 40 młodych naukowców.

Powroty nad Wisłą

WARSZAWA Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Szwajcaria, Niemcy i Rumunia – z tych krajów wróci do Polski jedenaścioro badaczy, by nad Wisłą rozwijać swoją dalszą karierę naukową. Wybrano ich spośród 30 kandydatów w konkursie programu Polskie Powroty Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Na ich wynagrodzenia, opłacie członków grupy projektowej oraz osoby zapraszającej, a także koszty przesiedlenia NAWA przeznaczy 16,5 mln zł. Najwięcej osób wybrało jako miejsce swojego pobytu Uniwersytet Warszawski (3) i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (2). W sześciu dotychczasowych odsłonach programu Polskie Powroty wyłoniono 71 badaczy. Realizują projekty w 28 polskich uczelniach i instytucjach. Najwięcej z nich wróciło z Niemiec, Wielkiej Brytanii i USA. Na realizację programu przekazano do tej pory blisko 100 mln zł.

Na styku humanistyki i informatyki

WARSZAWA Upowszechnianiu wiedzy i kompetencji w korzystaniu z metod i narzędzi cyfrowej humanistyki służy nowy projekt edukacyjny – Humanistyka.dev, którego autorem jest Marcin Wilkowski z Centrum Kompetencji Cyfrowych UW. To inicjatywa na styku humanistyki i informatyki. Udostępniane są m.in. lekcje (tutoriale) o różnym stopniu trudności, które pozwalają zapoznać się z metodami cyfrowymi i dostępnym oprogramowaniem do pracy z danymi, tekstem, obrazem. Tematyka obejmuje pozyskiwanie, analizę i wizualizację danych; przetwarzanie języka naturalnego; analizę korpusową; tworzenie map cyfrowych; pracę z repozytoriami literatury naukowej oraz cyfrowymi zbiorami kultury i dziedzictwa. Istotnym elementem lekcji jest praktyczne wykorzystanie narzędzi sztucznej inteligencji. W serwisie znajdują się także opracowania wprowadzające do podstaw rozmaitych zagadnień związanych z praktyką cyfrowej humanistyki. Oprócz tego przygotowano zestawy otwartych danych do wykorzystania podczas nauki lub na warsztatach.

Doktorat h.c. dla „ojca systemu GPS”

GDYNIA Prof. Bradford Parkinson z Uniwersytetu Stanforda otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Morskiego w Gdyni. Został doceniony za wkład w rozwój techniki, jak również stworzenie pod-

Fot. Cezary Sniński



staw do epokowej zmiany funkcjonowania świata i społeczeństw XX i XXI wieku poprzez utworzenie pierwszego satelitarnego systemu pozycyjnego GPS-NAVSTAR (Global Positioning System – NAVigation Signal Timing and Ranging). Właśnie minęło pół wieku od inauguracji tego cywilno-wojskowego programu technicznego, który całkowicie zrewolucjonizował nawigację lotniczą, morską i lądową. Jego głównym architektem

był właśnie prof. Bradford Parkinson, wówczas dyrektor Biura Programowego systemu GPS Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych (USAF). Odpowiadał również za stworzenie podstaw teoretycznych i budowę systemu Wide Area Augmentation System (WAAS), który jest wykorzystywany przede wszystkim w transporcie lotniczym.

Doktorat h.c. – prof. Dieter Vollhardt

WARSZAWA Światowej klasy fizyk teoretyk, ekspert w dziedzinie materiałów magnetycznych, otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego. Jego zainteresowania badawcze obejmują teorię magnetyzmu i korelacji elektronowych. W znacznym stopniu przyczynił się do rozwoju kilku działów fizyki, m.in. nadprzewodnictwa i nadciekłości, układów nieuporządkowanych, a przede wszystkim teorii układów skorelowanych elektronów, która była głównym tematem zainteresowań badawczych wyróżnionego naukowca. Największym jego osiągnięciem było sformułowanie teorii dynamicznego pola średniego (DMFT) – najlepszej przybliżonej teorii opisującej oddziaływające elektrony w krysz-

Fot. UW



tałach. Było to przełomowe odkrycie pozwalające na zbadanie wielu różnych zjawisk wywołanych korelacjami elektronowymi. Jest autorem książki *The Superfluid Phases of Helium 3*. Jego prace były cytowane prawie 21 tys. razy. Jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Augsburgskiego.

Kompleksowe kriobrazowanie

POZNAŃ Na Wydziale Biologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza powstaje supernowoczesne Centrum Kriobrazowania (Cryo-Imaging Centre). Będzie to pierwszy w Polsce kompleksowy ośrodek w zakresie obrazowania mikroskopowego na podstawie technik mroźniowych. Metoda ta pozwala na obserwację struktury cząsteczek i kompleksów białek w rozdzielczości niemal atomowej, w stanie najbardziej zbliżonym do naturalnego. Zachowuje również właściwości immunogenne materiału biomedycznego. Wyniki uzyskane dzięki kriobrazowaniu można wykorzystać w badaniach dotyczących zdrowia człowieka (np. opracowanie nowych terapii celowanych w leczeniu chorób), zrównoważonego rolnictwa (zapobieganie chorobom roślin uprawnych), ochrony środowiska i zachowania bioróżnorodności (zwiększenie efektywności fitoremedycyjnej roślin), bezpiecznej i efektywnej energii (nowe ogniwa akumulatorowe) oraz nowoczesnych technologii materiałowych (czujniki kwantowe, technologia kosmiczne).

Holistyczne żywienie

WARSZAWA Innowacyjne Centrum Nauk Żywnościowych powstanie w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Będą w nim prowadzone badania nad żywieniem i jego wpływem na zdrowie. Jednostka wszechstronnie wykształci też profesjonalistów z zakresu żywienia człowieka, dietytyki, ochrony zdrowia, projektowania żywności spełniającej najwyższe standardy jakości i bezpieczeństwa. Centrum będzie realizowało ideę holistycznego podejścia do nauk o żywieniu człowieka. Pięciokondygnacyjny obiekt laboratoryjno-dydaktyczny będzie miał około 16 500 m² powierzchni. Wewnątrz znajdą się sale dydaktyczne, laboratoria z pracowniami oraz sala konferencyjna. Centrum zostanie wyposażone w uniikatową aparaturę laboratoryjną. Inwestycja będzie kosztować ponad 115 mln zł. Ma być gotowa do końca 2025 roku.

Implanty na miarę

WROCŁAW Na Politechnice Wrocławskiej trwają prace nad nowoczesnymi implantami dentystycznymi. Powstaną z wydrukowanych w 3D struktur ceramicznych połączonych z metalowym rdzeniem. Rusztowa-



Fot. PWR

nie implantu powstaje z tlenków glinu i jest wytwarzane metodą przrrostową, co gwarantuje, że będzie dopasowany „na wymiar” do potrzeb konkretnego pacjenta. W górnej części (koronie) struktura ceramiczna jest lita, a dolna (korzeń) ma porowatą formę. Dzięki temu można nasycić ją ciekłym metalem – stopem magnezu. Zmniejszy to kruchość struktury, a sam rdzeń będzie początkowo pełnił funkcję „kotwicy”, utrzymując implant w szczęce. Magnez natomiast stopniowo będzie degradować, uwalniając miejsce na wrastanie tkanki kostnej w procesie osteointegracji. W efekcie implant zostanie wbudowany w ludzką tkankę i będzie bardzo stabilny. Wynikiem prac będzie prototyp implantu.

Nie tyko nobliści

TORUŃ Program wsparcia i rozwoju lig akademickich ogłosił na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika minister sportu i turystyki Sławomir Nitras. Inicjatywa, która ruszy od października, ma w pierwszym roku kosztować 15 mln zł. Ma wspierać różnorodne formy rywalizacji i współzawodnictwa studentów oraz klubów sportowych wszystkich typów uczelni.



Fot. Andrzej Romaniński

Obejmie najważniejsze dyscypliny sportu. Na początek międzyuczelniane rozgrywki w ramach lig akademickich toczyć się będą w siatkówce, piłce ręcznej, koszykówce i futsalu. – Chcemy przywrócić sportowi akademickiemu należne miejsce w strukturze polskiego sportu. Na całym świecie

cie najlepsze uniwersytety chlubią się tym, że mają noblistów, ale i tym, że kształcą olimpijczyków, medalistów mistrzostw świata i Europy we wszystkich dyscyplinach – powiedział Nitras.

Trwają AMP-y

LUBLIN/ŁÓDŹ/BIAŁYSTOK Ponad 600 medali wyłowiono z 25-metrowej pływalni w Lublinie. Na starcie zawodów stanęło aż 900 zawodników z 80 uczelni, w tym mistrzowie uniwersjady, medaliści mistrzostw świata, przyszli olimpijczycy. W klasyfikacji generalnej wśród kobiet



Fot. Lukasz Srebnig

zwyciężył Uniwersytet Warszawski, a u panów Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach. Uhonorowano również najlepszych zawodników. Nagroda im. Kazimierza Bocheńskiego trafiła do rąk Jakuba Majerskiego (AWF Katowice), a wyróżnienie im. Ireny Popielówny odebrała Barbara Mazurkiewicz (UW). W finale zmagania badmintonistów Politechnika Gdańska pokonała Akademię Wychowania Fizycznego we Wrocławiu 4:0. W aerobiku sportowym w najbardziej prestiżowej kategorii solistek i solistów mistrzami zostali: Oliwia Robak z Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie i Bartosz Abratkiewicz z Politechniki Łódzkiej. Uczelnia ta została zdetronizowana w klasyfikacji drużynowej w karate WKF, ustępując ekipom Politechniki Gdańskiej i Uniwersytetowi Gdańskiemu.

Teraz to dopiero pograją

WAŁBRZYCH Infrastruktura Akademii Nauk Stosowanych Angelusa Sile-siusa w Wałbrzychu powiększyła się o budynek sportowo-dydaktyczny o powierzchni blisko 3,5 tys. m². Wewnątrz znajduje się hala sportowa z pełnowymiarowymi boiskami do siatkówki, koszykówki, piłki ręcznej oraz widownią na 296 osób. Arena może być dzielona za pomocą kur-



Fot. AMS

ty na trzy mniejsze powierzchnie z boiskami treningowymi do siatkówki, koszykówki i gimnastyki ogólnorozwojowej. W sali zainstalowano też profesjonalną tablicę wyników, umożliwiającą jednoczesną obsługę meczów kilku dyscyplin. W obiekcie zlokalizowanym na kampusie uczelni jest też siłownia, sala do squasha, magazyny sprzętu sportowego, pomieszczenia dla trenerów i szatnie. W części dydaktycznej zlokalizowano sale wykładowe. W tym roku wałbrzyska uczelnia obchodzi ćwierćwiecze istnienia.

Polska dołącza do kwantowej Europy

WARSZAWA Minister nauki Dariusz Więczorek i wicepremier, minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski podpisali Quantum Pact. To dokument



Fot. ANISW

wzmocniający europejską współpracę na rzecz rozwoju ekosystemu technologii kwantowych światowej klasy. Został opracowany w grudniu 2023 r. pod przewodnictwem prezydencji hiszpańskiej w Radzie UE. Podkreślono w nim strategiczne znaczenie technologii kwantowych dla konkurencyjności Unii Europejskiej w obszarach nauki i przemysłu. Zawarto także postulat współpracy na rzecz rozwoju na Starym Kontynencie światowej klasy ekosystemu technologii kwantowych. Dotychczas Quantum Pact podpisało 18 państw, które za cel wspólnych działań stawiają sobie uczynienie Europy pierwszą „Doliną Kwantową”, czyli regionem wiodącym pod względem innowacji kwantowych.

Nie ma mocnych na prawników z UJ

KRAKÓW Tak jak przez 15 ostatnich lat absolwenci Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego uzyskali najlepsze wyniki na ubiegłorocznych egzaminach na aplikacje: adwokacką, radcowską, notarialną i komorniczą. Za UJ (88,4% zdawalności) uplasowały się: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (74,1%), Uniwersytet Warszawski (71%), Uniwersytet Śląski (69,1%) i Uniwersytet Gdański (68,5%). W sumie w egzaminach wzięło udział 6058 osób z 54 polskich i 8 zagranicznych uczelni. Do egzaminu na aplikację adwokacką przystąpiły 2394 osoby, z których zdało 1445 (60,4%). O aplikację radcowską ubiegało się 2982 absolwentów, a zdało 1804 (60,5%). Notarialną ścieżkę kariery obrało 542 kandydatów, ale pierwszy etap pomyślnie zaliczyło 296 (54,6%). Na egzamin na aplikację komorniczą stawilo się 140 osób, lecz zdały go 122 (87,1%). Ministerstwo Sprawiedliwości organizuje egzaminy wstępne na aplikacje od 2006 r. Ogółem spośród 160 508 magistrów prawa pomyślnie udało się je przebrnąć 75,7 tys. Oznacza to zdawalność na poziomie 47,1%.

Nowy dyrektor w Instytucie Genetyki Człowieka PAN

POZNAŃ Prof. Maciej Giefing został nowym dyrektorem Instytutu Genetyki Człowieka PAN. Z początkiem kwietnia zastąpił na tym stanowisku prof. Michała Witta, który sprawował tę funkcję od 2016 roku. Nowy dyrektor z IGC związany jest od 20 lat. W 2015 r. objął kierownictwo Zakładu Genetyki Nowotworów, gdzie prowadzi badania genomu i epigenomu komórek nowotworowych. Głównym obszarem jego działań jest genetyka nowotworów litych oraz chłoniaków. Instytut Genetyki Człowieka PAN prowadzi badania zmierzające do wyjaśniania molekularnego podłoża chorób, ze szczególnym naciskiem na schorzenia uwarunkowane genetycznie, nowotwory, zaburzenia płodności, choroby autoimmunologiczne i zakaźne. Naukowcy dążą do poznania genetyczno-molekularnych podstaw chorób i wykorzystania uzyskiwanych wyników w praktyce klinicznej. Placówka zatrudnia 83 osoby. Posiada kategorię naukową A.



Fot. Arch. prywatne

Koźmiński w globalnej sieci

WARSZAWA The Global Network for Advanced Management (GNAM), konsorzjum wiodących szkół biznesu z całego świata, rozszerza zasięg o Europę Środkowo-Wschodnią. Do swojego grona, jako 32 członek,

zaprosiło pierwszą uczelnię z Polski – Akademię Leona Koźmińskiego. GNAM, założona przez Yale School of Management, łączy najlepsze szkoły biznesu z całego świata, w tym europejskie, m.in. ESMT Berlin, HEC Paris, IE Business School oraz SDA Bocconi School of Management. Wykorzystując nowoczesne technologie i budując silne relacje, wywiera wpływ na edukację, szczególnie w dziedzinie zarządzania. Jednym z przykładów działania sieci są Global Network Weeks, dające studentom oraz kadry naukowej możliwość intensywnego rozwoju w innej uczelni poprzez udział w zajęciach, wizyty w lokalnych przedsiębiorstwach i spotkania z międzynarodowymi ekspertami.

AI wykryje bakterie i grzyby

KRAKÓW Pierwszą na świecie metodę szybkiego rozpoznawania bakterii oraz grzybów na zdjęciach pochodzących z mikroskopów świetlnych opracowali naukowcy z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Technologia wykorzystuje głębokie sieci neuronowe i sztuczną inteligencję. Docełowo ma wspomagać pracę diagnostów laboratoryjnych i lekarzy, ale będzie mogła być też stosowana w przemyśle, monitorowaniu bezpieczeństwa żywności czy pracach badawczych. Cała operacja zajmuje nie więcej niż minutę. Do systemu informatycznego należy przesłać zrobione pod mikroskopem zdjęcia mikroorganizmów. W odpowiedzi system generuje raport z wykazem konkretnych gatunków bakterii czy grzybów, które są obecne w badanym materiale. Poziom predykcji przekracza 90%. Obecnie system jest w stanie zidentyfikować kilkadziesiąt gatunków bakterii oraz grzybów drożdżopodobnych, ale także pierwotniaki, w tym np. jednokomórkowe zarodźce malarii.

Zlikwidować habilitację

WARSZAWA „Sugerujemy, aby w Polsce zastosować rozwiązanie wzorowane na systemach z najwyższym poziomem badań, gdzie to jednostki w zależności od uprawianej dziedziny same definiują na czym polega samodzielność naukowa i w otwartym konkursie zatrudniają właściwych badaczy i liderów grup, spośród osób posiadających stopień doktora” – piszą do ministra nauki autorzy listu w sprawie zmian w habilitacji. Przywołują w tym kontekście wyniki analizy karier 2,7 mln naukowców z 45 krajów. Okazało się, że rozwój badaczy w krajach z habilitacją (mierzony liczbą i cytawalnością ich prac), jest w znaczącym stopniu słabszy niż w krajach bez habilitacji. Autorzy listu proponują więc rozwiązanie, które nie tylko zniesie formalne ograniczenia rozwoju naukowego, z jakimi muszą się w Polsce mierzyć młodzi badacze i badaczki, oraz ułatwi awans w interdyscyplinarnych dziedzinach badań, ale też zwiększy autonomię uczelni i zniweluje barierę, jaką napotykają zagraniczni uczeni nieposiadający habilitacji, a aplikujący o pracę w Polsce.

Nagrody dla matematyków

WARSZAWA Polskie Towarzystwo Matematyczne przyznało swoje doroczne nagrody. Prof. Marian Mrozek z Uniwersytetu Jagiellońskiego (na fot.) otrzymał Nagrodę Główną PTM im. Hugona Steinhausa za całokształt działalności i wkład w metody obliczeniowe znajdujące zastosowanie do analizy dużych zbiorów danych oraz do badania ciągłych układów dynamicznych, ze szczególnym podkreśleniem rozwiązań zawartych w bibliotece oprogramowania CAPD. Nagrodą Główną PTM im. Stefana Banacha uhonorowano prof. Mariusza Mirka z Uniwersytetu Wrocławskiego za przełomowe wyniki dotyczące zbieżności niekonwencjonalnych średnich ergodycznych. Nagrodę dla Młodych Matematyków otrzymali Damian Głodkowski z Warszawskiej Szkoły Doktorantów Matematyki i Informatyki (prowadzonej wspólnie przez Uniwersytet Warszawski i Instytut Matematyczny Polskiej Akademii Nauk) i Maciej



Kucharski z Uniwersytetu Wrocławskiego za cykl dwóch prac z analizy harmonicznej. Wręczenie nagród we wrześniu w Katowicach podczas IX Forum Matematyków Polskich.

Nowa Katedra UNESCO

WARSZAWA Katedra UNESCO ds. publicznych i globalnych procesów zarządzania niematerialnym dziedzictwem kulturowym powstała na



Uniwersytecie Warszawskim. To trzecia taka jednostka na stołecznej uczelni. Działa przy Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych. Kieruje nią dr hab. Hanna Schreiber. Jej interdyscyplinarny zespół będzie poszukiwać odpowiedzi na pytania, w jaki sposób dana społeczność – w tym międzynarodowa – powinna zarządzać zasobami dziedzictwa, kiedy zasoby niematerialnego dziedzictwa uważa się za dobro publiczne, a kiedy za dobro wspólne, a także jakie są kryteria skutecznego i etycznego zarządzania dziedzictwem. Międzynarodowy program Sieci Katedr UNESCO działa od 1992 r. Rolą katedr jest m.in. doradztwo przy opracowywaniu polityki edukacyjnej, naukowej i kulturalnej, budowanie pomostów między uczelniami, decydentami i społeczeństwem, promowanie różnorodności kulturowej. Obecnie w 120 państwach funkcjonuje około 950 katedr UNESCO. Nowo utworzona jest 11 działająca obecnie w Polsce.

Wyszkolą kadry jądrowe

WARSZAWA Polsko-amerykańskie Regionalne Centrum Szkoleniowe Czystych Technologii Energetycznych (Clean Energy Training Center) powstało na Politechnice Warszawskiej. To pierwsza tego typu jednostka na świecie. Jej zadaniem będzie szkolenie kadr i rozwój kompetencji niezbędnych do rozwoju sektora jądrowego oraz realizacji projektów jądrowych w Polsce. Szkolenia będą skierowane do szerokiego grona odbiorców. Zainteresowanie wyraziły już polskie uczelnie oraz spółki realizujące bądź planujące realizować projekty jądrowe, instytucje dozorowe (Państwowa Agencja Atomistyki, Urząd Dozoru Technicznego), instytuty badawcze (Narodowe Centrum Badań Jądrowych, Instytut Chemii i Techniki Jądrowej, Sieć Badawcza Łukasiewicz), Zakład Unieszkodliwiania Odpadów Promieniotwórczych. W związku z planowaną budową pierwszej polskiej elektrowni jądrowej z trzema reaktorami w amerykańskiej technologii AP1000 uczestnicy zostaną przeszkoleni w zakresie certyfikacji, kodów, standardów i wymagań jądrowych właściwych dla tej technologii.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Michał Ciepielski, Paulina Łukaszk, Daiwa Maksymowicz, Anna Modzelewska, Krzysztof Smura, Krzysztof Szymański, Zuzanna Szwedek-Kwiecińska, Krzysztof Szwejk, Natalia Żyto

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku  
i na platformie X

Umiejdzynarodowienie – jak i po co?

Dr hab. Andrzej Szeptycki, wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, o konieczności współpracy między instytucjami zaangażowanymi na różnych etapach i różnych poziomach procesu współpracy międzynarodowej.

W Polsce mamy obecnie ponad 8% studentów z zagranicy, a także blisko 3% nauczycieli akademickich spoza Polski, prowadzących w naszym kraju dydaktykę i badania. Te wskaźniki świadczą o znaczącym wzroście umiejdzynarodowienia polskiej nauki i szkolnictwa wyższego i sytuują nas *grosso modo* w średniej UE.

Internacjonalizacja nie jest i nie powinna być „świętym Graalem”, celem do którego dążymy dla niego samego. Dążymy do umiejdzynarodowienia nauki i szkolnictwa wyższego przede wszystkim dlatego, że – zgodnie z zasadami ekonomii politycznej Adama Smitha i Davida Ricardo – współpraca w tych obszarach podnosi jakość badań i kształcenia, zarówno w skali krajowej, jak i międzynarodowej. Rozwiązanie fundamentalnych problemów – działania na rzecz szybkiego opracowania skutecznej szczepionki przeciwko COVID-19 były tego najlepszym przykładem – wymaga współpracy międzynarodowej. Internacjonalizacja służy też innym celom: wspiera innowacje i rozwój, pozwala przyciągnąć zagranicznych studentów, pozytywnie wpływa na wzrost gospodarczy i budowanie relacji biznesowych, służy promocji Polski i umocnieniu jej pozycji międzynarodowej dzięki dyplomacji naukowej.

Zatem umiejdzynarodowienie polskiej nauki i szkolnictwa wyższego to nie tylko kwestia statystyk, ma ona również głębsze znaczenie dla rozwoju kraju. Poprzez otwarcie na współpracę międzynarodową Polska staje się częścią globalnej społeczności akademickiej, co umożliwia wymianę wiedzy, doświadczeń i najlepszych praktyk z innymi krajami. Taka wymiana międzykulturowa i naukowa nie

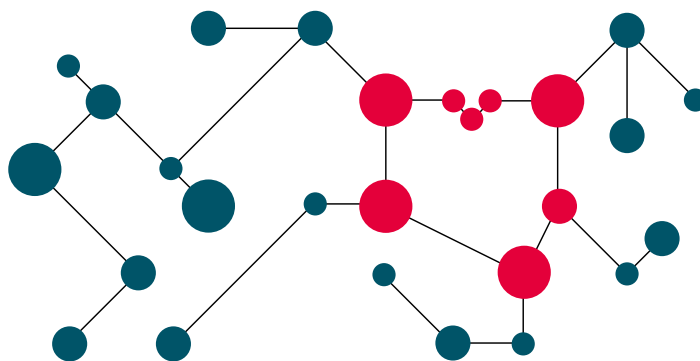
wanie konkurencyjności naszego kraju poprzez pozyskiwanie najlepszych talentów ze świata.

Działania w tym obszarze są realizowane przez zróżnicowane podmioty, by wymienić tylko polskie uczelnie i instytuty (naukowe PAN, badawcze czy działające w ramach Sieci Badawczej Łukasiewicza), Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego i podległe mu agencje (NAWA, NCN, NCBR, Centrum Łukasiewicza), rozmaite organy przedstawicielskie (RGNiSW, KPN, KRd, PSRP), nie wspominając o innych podmiotach, takich jak MSZ czy nasi zagraniczni partnerzy. Mnogość partnerów, ich autonomia, a także nie zawsze tożsame interesy wymagają od nas koordynacji działań w tym obszarze i ich wspólnego planowania, zarówno na bieżąco, jak i w dłuższym okresie. Stąd potrzeba strategii umiejdzynarodowienia.



Z kim chcemy przede wszystkim współpracować i w jakich obszarach? Na jakich zasadach i przede wszystkim skąd wziąć na to środki (w tym kontekście kluczową rolę odgrywają programy UE: Erasmus+, Horizon Europe i FP10)? Jak wykorzystać istniejące instrumenty współpracy (międzynarodowe programy kształcenia, uniwersytety europejskie)?

Jakie korzyści i zagrożenia płyną ze współpracy z tym czy innym partnerem? Czy warto współpracować z autorytarnymi mocarstwami, nawet jeśli są one znaczącymi graczami w sferze nauki, albo z rozwijającymi się krajami Globalnego Południa, z których studenci masowo przyjeżdżają do Polski? Jak zachęcić do studiowania i prowadzenia badań w Polsce najlepszych badaczy, skoro konkurują o nich najsilniejsze uczelnie świata?



I KONGRES UMIĘDZYNARODOWIENIA

SZKOLNICTWO WYŻSZE

● Gdańsk, 13–14 maja 2024

„Forum Akademickie” jest patronem medialnym I Kongresu Umiejdzynarodowienia.

FORUM
AKADEMICKIE

uczelnie i instytucje państwa polskiego w kontekście umiędzynarodowienia. Afera wizowa postawiła w złym świetle część polskich uczelni, którym zarzuca się nieuczciwe praktyki w obszarze rekrutacji studentów z zagranicy. Zarazem jednak od lat borykamy się z innym problemem: nasi zagraniczni studenci nieraz z kilkumiesięcznym opóźnieniem przyjeżdżają na studia, bo nie mogą w odpowiednim terminie uzyskać wiz. Doktoranci czy nawet naukowcy z większym doświadczeniem rezygnują z pracy w projektach badawczych realizowanych w Polsce, bo miesiącami czekają na prawo pobytu. Są to

zagadnienia wykraczające poza kompetencje MNiSW, wymagające współpracy z MSZ, MSWiA, Strażą Graniczną, Urzędem ds. Cudzoziemców czy nawet ABW.

Dlatego potrzebna jest dyskusja poświęcona umiędzynarodowieniu – nie tylko w jaki sposób chcemy je osiągnąć, ale i czemu ma ono służyć – którą koordynuje Narodowa Agencja Wymiany Akademickiej. Takie właśnie cele przyświecają I Kongresowi Umiędzynarodowienia, który odbędzie się 13-14 maja br. w Gdańsku, a także powołanemu na początku roku zespołowi ds. strategii umiędzynarodowienia.

Strategia umiędzynarodowienia – papierek lakmusowy czy realne narzędzie oddziaływania?

Dr Dawid Kostecki, prezes Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej, o potrzebie systemowego spojrzenia i krajowej strategii umiędzynarodowienia szkolnictwa wyższego i nauki.

Nie wyobrażałem sobie innego miejsca niż Gdańsk do organizacji I Kongresu Umiędzynarodowienia. Konferencje organizowane w mieście Neptuna należą już do swoistego rodzaju tradycji akademickich Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej: *Solidarni z Ukrainą – studenci, naukowcy, instytucje* (2022) oraz *Focus on Ukraine* (2023). Tym razem proponujemy jednak nieco inny wachlarz tematyczny.

Słowo kongres przyjęło się wśród akademików. Coraz częściej zastępuje powszechnie znane zjazdy katedr. W przypadku wydarzenia organizowanego przez NAWA, Gdański Uniwersytet Medyczny oraz International Relations Offices Forum w dniach 13-14 maja br. Słowo to ma szczególny wymiar. Wynika to z faktu, że zastanawiając się nad funkcją, jaką pełni umiędzynarodowienie na uczelniach czy w instytutach badawczych, autorzy pomysłu chcieli nie tylko nadać prestiż wydarzeniu w warstwie semantycznej, ale przede wszystkim podejść do internacjonalizacji kompleksowo. Głęboko wierzę, że im się to uda.

Faktem jest, że Polska nie posiada dokumentu na poziomie centralnym, który wyznaczałby priorytety i strategiczne kierunki współpracy międzynarodowej w obszarze szkolnictwa wyższego i nauki. Potrzeba stworzenia takiej strategii wynika z rekomendacji Komisji Europejskiej dla państw członkowskich w zakresie opracowywania narzędzi na rzecz sprawnej i ambitnej współpracy transnarodowej między instytucjami szkolnictwa wyższego w Europie oraz postulatów rodzimego środowiska akademickiego.

W NAWA trwają prace nad ogólnokrajową strategią umiędzynarodowienia nauki i szkolnictwa wyższego, których celem jest powstanie dokumentu planistycznego, określającego bariery we współpracy międzynarodowej, prezentującego ściśle określoną diagnozę potrzeb w zakresie umiędzynarodowienia podmiotów systemu szkolnictwa wyższego. Strategia ma również służyć zdefiniowaniu priorytetowych kierunków geograficznych, a także wypracowaniu niezbędnych rozwiązań potrzebnych dla decydentów sektora akademickiego, instytucji, naukowców, kadry administracyjnej (professional staff) czy studentów.

Majowy Kongres w Gdańsku ma stanowić przestrzeń do prowadzenia międzysektorowej debaty, która pozwoli na sprzężenie działań wszystkich interesariuszy działających na rzecz umiędzynarodowienia. Zaproszeni goście z naszych siostrzanych instytucji z Austrii, Czech, Słowacji czy Finlandii opowiedzą o dobrych praktykach przy tworzeniu strategii umiędzynarodowienia oraz sposobach implementacji założeń strategicznych. Pasjonująco zapowiada się panel *Strategia państwa w pozyskiwaniu studentów zagranicznych z udziałem wiceministrów: nauki i szkolnictwa wyższego, spraw granicznych oraz spraw wewnętrznych i administracji*. Nie zabraknie trudnych tematów, takich jak polityka wizowa, pozwolenia na pobyt czy strategia migracyjna.

Kongres będzie poświęcony przede wszystkim tematyce internacjonalizacji szkolnictwa wyższego. Dlatego nie może zabraknąć paneli o międzynarodowych programach kształcenia, studentach zagranicznych w Polsce, trendach mobilnościowych na świecie, umiędzynarodowieniu szkół doktorskich, partnerstwach zagranicznych czy wsparciu zagranicznych studentów i naukowców na uczelni. Refleksja środowiskowa oraz wnioski i rekomendacje wypracowane podczas I Kongresu Umiędzynarodowienia będą stanowić ważny wkład merytoryczny w kształt dokumentu oraz punkt odniesienia w pracach zespołu ds. opracowania strategii.

Wszystkim, którzy już odczuwają pewnego rodzaju deficyty tematyczne związane z umiędzynarodowieniem, z radością mogą zakomunikować, że już w dniach 11-12 września tego roku zorganizujemy wspólnie z Uniwersytetem Warszawskim II Kongres Umiędzynarodowienia, którego motywem przewodnim będzie umiędzynarodowienie nauki. Ponadto, przy okazji licznych konferencji, seminariów czy sympozjów będziemy poruszać konkretne tematy istotne z punktu widzenia prac nad strategią, które pochodzą od przedstawicieli środowiska akademickiego. Chcemy, jako koordynator procesu, zapewnić możliwość szerokich konsultacji ze wszystkimi interesariuszami, tak aby do końca 2025 r. móc przedłożyć Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego finalny efekt naszego, wspólnego namysłu intelektualnego.



Rady uczelni – niewykorzystana szansa

Dr hab. Maciej J. Nowak, prof. ZUT, z Katedry Nieruchomości Wydziału Ekonomicznego Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie, zastanawia się, co wynika z dotychczasowych doświadczeń działania rad uczelni, także w kontekście kontrowersji, które wzbudziły działania niektórych rad podczas ostatnich wyborów rektorskich.

Tegoroczne wybory rektorów zmuszają do zwrócenia baczniejszej uwagi na sposób funkcjonowania rad uczelni. Część z tych organów nie zdołała bowiem uniknąć szerszego, różnie ocenianego, zaangażowania w kampanie rektorskie. Tym samym, niczym nieszczęsny niedźwiedź z *Pana Tadeusza*, wyszły one ze swojego „matecznika”, prowokując szersze oceny i refleksje. Można bowiem zadawać pytania o rolę, jaką rady powinny teoretycznie pełnić w strukturze uczelni oraz o to, jak wskazane teoretyczne założenia są (mogą być) realizowane w praktyce.

Założenia ustawodawcy odnośnie rady uczelni zmieniały się w czasie procesu legislacyjnego projektu ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Pierwotnie zakładano nawet możliwość wyboru rektora przez radę. Założenie to nie zostało ostatecznie zrealizowane i obowiązujące zadania (ujęte w art. 18 ustawy PSWN) sprowadzają się przede wszystkim do opiniowania (projektu strategii uczelni, projektu statutu, sprawozdania z realizacji strategii uczelni) oraz monitorowania (gospodarki finansowej uczelni, zarządzania uczelnią). Część opiniodawcza zadań nie jest nadmiernie absorbująca, zwłaszcza z perspektywy całej kadencji rady uczelni. Część związana z monitorowaniem, zwłaszcza zarządzania uczelnią jest sformułowana bardzo ogólnie i pozostawia pewną swobodę manewru. Trzeba jednak zastrzec, że w prawnych komentarzach do ustawy sugeruje się konieczność podejmowania przez radę działań w formule *in corpore*, bez delegowania indywidualnych przedstawicieli do wykonywania poszczególnych ustawowych zadań (H. Izdebski, J. Zieliński, *Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Komentarz*, Wolters Kluwer, Warszawa 2019, s. 78). Powyżej celowo nie wymieniłem jeszcze jednego zadania: „wskazywania kandydatów na rektora, po zaopiniowaniu przez senat”. Jego realizacja bowiem w szczegółach różnie wygląda na różnych uczelniach. Często statuty uczelni przewidują inne, równoległe tryby zgłaszania kandydatów na rektora. Wtedy nawet brak wskazania przez radę czyjejs kandydatury, nie blokuje ostatecznie jej startu w wyborach. Zdarzają się jednak uczelnie, w których akceptacja ze strony rady uczelni jest obligatoryjna dla wszystkich kandydatów.

Radę uczelni obciąża więc duża odpowiedzialność. Dlatego ważne jest, żeby jej skład był dobrany w sposób przemyślany. Zgodnie z ustawą, osoby spoza wspólnoty uczelni powinny stanowić co najmniej 50% składu rady. Założenie było takie, że osoby z tzw. praktyki, np. świetni przedsiębiorcy, dzięki zewnętrznej perspektywie będą mogli merytorycznie spojrzeć na działalność uczelni, wnieść wartościowe sugestie i w ten sposób przyczynić się do uzyskania przez nie lepszych efektów. Z drugiej strony pamiętam cierpkie uwagi zgłaszane przez niektórych profesorów przy okazji wprowadzania do przepisów rady uczelni. Sprowadzały się one do wyrażania wątpliwości, czy każdy przedstawiciel świata praktyki na pewno odnajdzie się w realiach akademickich. Po kilku latach można stwierdzić, że obawy te nie były bezzasadne.

Konieczność dialogu pomiędzy światem uczelnianym a światem przedsiębiorców wciąż występuje. Bardzo wiele pod tym względem trzeba zrobić. Niemniej, formuła rady uczelni okazała się umiarkowanie skuteczną platformą realizacji tego celu. Na wielu uczelniach funkcjonowanie tego organu sprowadzało się bowiem do wyrażania wymaganych prawem opinii i stanowisk, ewentualnie dokonywania ocen na bardzo wysokim poziomie ogólności. Trochę w stylu

„aby uczelni żyło się lepiej, a naukowcy żyli dostatniej”. Również nie na każdej uczelni ładnie wygląda szersze zaangażowanie rad w związku z kampaniami rektorskimi. W sytuacji bowiem, gdy rada odmówi wskazania konkretnej osoby na kandydata na rektora, zaczynają pojawiać się pytania o powody takich decyzji. I patrząc całościowo, można wskazać, że zdecydowanie zabrakło szerszych, obiektywnych kryteriów, którymi poszczególne rady przy tak ważnych decyzjach się kierowały. Zamiast więc podwyższania standardów, wskazana formuła wprowadza chaos i niepotrzebne emocje. Doprowadza to do kreowania na uczelniach pewnego negatywnego (i zapewne niesprawiedliwego) stereotypu rad uczelni jako zasadniczo średnio aktywnych, angażujących się jedynie okazjonalnie w doraźne polityczne rozgrywki. Stereotyp ten jest krzywdzący dla licznych członków rad uczelni, chcących naprawdę pracować dla dobra społeczności akademickiej.

Problem polega na tym, że obowiązujące uregulowania prawne dają ograniczoną możliwość manewru. Pewnym rozwiązaniem (mieszczącym się w obecnych ramach prawnych) byłoby wykorzystanie dodatkowego potencjału, jaki może wnieść każdy z członków rady. Wymaga to uprzedniego zaplanowania i skoordynowania podejmowanych przez radę uczelni działań. Jak wskazano powyżej, dyskusyjna byłaby realizacja ustawowych zadań przez indywidualnych członków rady. Ustawodawca nie zabrania jednak radzie uprzedniego przygotowania do wykonywania zadań. Czyli monitorowanie zarządzania uczelnią musi być nadal, zgodnie z przepisami, realizowane przez całą radę. Niemniej nie można wykluczyć nieformalnych, skoordynowanych z radą czynności, podejmowanych przez poszczególnych członków tego organu. Powinni bowiem oni specjalizować się w odmiennych tematach (np. nauka, finanse, sprawy studenckie itd.). Mogliby nawet inicjować pewne działania ze swoich obszarów tematycznych. Pozwoliłoby to skonkretyzować funkcjonowanie rady w różnych obszarach. Mieściłoby się w zakresie ustawowego zadania monitorowania zarządzania uczelnią. Jednocześnie ważne jest zachowanie przez radę pewnego dystansu względem bieżących sporów. Dotyczy to zwłaszcza okoliczności podejmowania bardziej kontrowersyjnych decyzji. Interesująco wygląda również pomysł (stosowany na niektórych uczelniach), zgodnie z którym przewodniczącym rady uczelni jest były rektor innej uczelni, z dobrym doświadczeniem i uznanym dorobkiem. Taki szef rady może umiejętnie godzić perspektywę innych, zewnętrznych jej członków (np. wspomnianych wcześniej przedsiębiorców) z realiami akademickimi.

Funkcjonowanie rad uczelni ma wiele analogii z funkcjonowaniem rad nadzorczych w spółkach kapitałowych. Nawet w komentarzach do ustawy prawo o szkolnictwie wyższym stosują je komentujący autorzy. Z drugiej strony trzeba jednak pamiętać, że rada uczelni nie może być postrzegana jako efekt prostego przeniesienia rad nadzorczych na uczelnie. Właściwie w każdym punkcie powinny mieć przeżyte swoją specyfikę: zarówno z perspektywy koncepcji praktycznego działania konkretnej rady, jak też w kontekście uregulowań prawnych.

Z perspektywy możliwych zmian ustawowych należy zasugerować kilka rozwiązań. Pierwszym mogłoby być usunięcie zadania rady uczelni związanego ze wskazywaniem kandydatów na rektora, co w praktyce, jak wskazano powyżej, zupełnie się nie sprawdziło. Dru-

gim, dopuszczenie możliwości indywidualnej realizacji zadań rady przez jej poszczególnych członków (według schematu zastosowanego przy członkach rad nadzorczych spółek z o.o. w kodeksie spółek handlowych, dopuszczającego indywidualne sprawowanie nadzoru przez członków rad nadzorczych). Kolejnym, jednoznacznie doprecyzowanie, że zadaniem rad uczelni jest również zgłaszanie inicjatyw

w poszczególnych obszarach tematycznych, związanych z zarządzaniem uczelnią.

Uczelnia to bardzo wrażliwy organizm. Zarówno ustawodawca, jak też członkowie rady uczelni powinni próbować zredefiniować omawiane powyżej ustawowe zadania, aby rzeczywiście służyły dobru całej społeczności akademickiej.

Umorzenie plagiatu

Gdy człowiek zajmuje się sprawami z zakresu patologii nauki, nie może narzekać na nudę. Choć tytuł tego krótkiego tekstu brzmi dziwnie, taka właśnie praktyka rozpowszechnia się w polskiej nauce przy dość powszechnej akceptacji środowiska akademickiego. Niedawno opisałem przypadek asystentki z Wydziału Zarządzania Politechniki Rzeszowskiej, mgr Urszuli Mentel, która przedstawiła nierzetelny doktorat z zarządzania do obrony w Szczecinie (*Plagiatory doktorat nie dał się poprawić*, FA 3/2024). Pomimo trzech negatywnych recenzji oraz odmowy dopuszczenia do obrony, Rada Naukowa Instytutu Ekonomii i Finansów Uniwersytetu Szczecińskiego (przewodniczący: dr hab. Stanisław Hońko, prof. USz) na wniosek byłej doktorantki umorzyła przewod doktorski, zamiast go zamknąć. Te odmienne sposoby postępowania mają zupełnie różne skutki prawne.

Okazało się, że takie praktyki są żywe również na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu, gdzie od 5 lat toczył się przewod doktorski mgr Izabeli Heppner-Rudek, asystentki w Katedrze Technologii Informatycznych Wydziału Zarządzania UWr (dziekan: dr hab. Estera Piwoni-Krzyszowska, prof. UEW, przewodnicząca rady dyscypliny nauki o zarządzaniu i jakości). Już po otrzymaniu pozytywnych recenzji w lipcu 2023 r. doktorantce późną jesienią zarzucano rozległy plagiat. Praca doktorska pt. *Modele decyzyjne w planowaniu wykorzystania taboru kolejowego z uwzględnieniem przeglądów i napraw okresowych* powstała pod nadzorem promotora, dr hab. Pawła Hamczara, prof. UEW z Katedry Logistyki. Zarzut nierzetelności w dysertacji został dobrze ukazany i, moim zdaniem, udowodniony w szczegółowej konkordancji. Ten przypadek jest wyjątkowo ciekawy i opiszę go dokładniej w jednym z następnych numerów „Forum Akademickiego”. Obecnie jedynie chcę zasymulować jaskrawe naruszenie rzetelności naukowej, które nastąpiło pod okiem władz uczelni, w szczególności prorektorki ds. badań i kadry akademickiej prof. Ewy Stańczyk-Hugiet, bowiem to ona była przewodniczącą komisji, która procedowała przewod doktorski I. Heppner-Rudek. Pod koniec listopada 2023 r., po wpłynięciu szczegółowo wykazanych zarzutów naruszenia praw autorskich, obaj dotychczas pozytywnie nastawieni recenzenci: prof. Zbigniew Pastuszek z Katedry Systemów Informatycznych Wydziału Ekonomicznego UMCS w Lublinie (i jednocześnie prorektor UMCS ds. rozwoju i współpracy z gospodarką) oraz dr hab. inż. Stanisław Stanek, profesor Akademii Wojsk Lądowych im. T. Kościuszki we Wrocławiu, zmienili swoje stanowisko na negatywne. Podobnie zareagował promotor pomocniczy pracujący od kilkunastu lat za granicą, dr inż. Daniel Paluszczyszyn, Senior Lecturer in School of Engineering and Sustainable Development, De Montfort University, Leicester, Anglia. Tylko promotor, dr hab. Paweł Hamczar został przy swojej pierwotnej, pozytywnej ocenie doktoratu.

Niestety, prof. Stańczyk-Hugiet, mimo wymaganego obowiązku prawnego, nie zwołała finalnego posiedzenia kierowane

przez siebie komisji doktorskiej, aby zagłosować nad odmową dopuszczenia dysertacji do obrony, co jest obligatoryjne przy dwóch negatywnych recenzjach. Co więcej, wbrew zasadom rzetelności akademickiej, już jako urzędująca prorektorka ds. naukowych dopuściła do tego, że rada dyscypliny rozważyła i następnie zaakceptowała podanie doktorantki z 28 lutego 2024 r. o umorzenie przewodu doktorskiego. Ten organ już następnego dnia jednoznacznie, 20 głosami „za”, umorzył postępowanie doktorskie. Wszyscy wiedzieli, że nad doktoratem mgr Izabeli Heppner-Rudek wisiał zarzut plagiatu. Kiedy tydzień później lubelski recenzent, prof. Zbigniew Pastuszek, ostro zaprotestował przeciwko takim nierzetelnym i sprzecznym z zasadami społecznymi praktykom naukowym, prorektor Ewa Stańczyk-Hugiet podjęła próby odwrócenia status quo. Jednak 21 marca br. rada dyscypliny ponownie 15 głosami przeciw oddaliła wniosek o odrzucenie podania doktorantki o umorzenie plagiatowego przewodu. Tylko dwie osoby głosowały „za”, a dwie się wstrzymały. Nasilający się brak zbiorowej rzetelności naukowej jest bardzo smutnym zjawiskiem.

Jest zasadnicza różnica pomiędzy umorzeniem przewodu doktorskiego a jego zamknięciem. W pierwszym przypadku, gdy celowo ominięto procedurę głosowania komisji doktorskiej nad niedopuszczeniem dysertacji do obrony, to umorzenie powoduje, że po „oczyszczeniu” tekstu pracy z niedozwolonych zapożyczeń i jego poprawieniu, doktorat ponownie – jak gdyby nigdy nic – po jakimś czasie może być znowu przedstawiony do procedowania np. w innej uczelni. Z kolei zamknięcie przewodu doktorskiego – po niedopuszczeniu doktoratu do obrony – na zawsze wyklucza możliwość ponownego wykorzystania „wyczyszczonego” z plagiatu tekstu w „nowej” pracy doktorskiej.

Nie wiem, czy coś można jeszcze tutaj zrobić. Jak to ocenił Naczelny Sąd Administracyjny w wyroku z 20 grudnia 2022 r. (sygn. III OSK 1790/21), „cofnięcie wniosku o nadanie stopnia naukowego doktora habilitowanego, w sytuacji gdy wszystkie recenzje osiągnięć naukowych habilitanta są negatywne i habilitant miał możliwość zapoznania się z ich treścią, jest sprzeczne z interesem społecznym. (...) Negatywna ocena osiągnięć naukowych habilitanta przez wszystkich recenzentów powoduje, że w interesie społecznym jest podjęcie przez radę jednostki organizacyjnej uchwały o odmowie nadania mu stopnia doktora habilitowanego i tym samym wywołanie skutków przewidzianych w art. 21 ust. 3 ustawy o stopniach naukowych”.

Apeluję, aby temu postępowaniu doktorskiemu przyjrzała się Rada Doskonałości Naukowej i może wtedy z urzędu (z powodu naruszenia zasad społecznych) będzie mogła uchylić taką skandaliczną „projakościową” uchwałę Rady Dyscypliny Nauk Zarządzania i Jakości UE we Wrocławiu.

Marek Wroński

Zmierzch starych paradygmatów?

Dr hab. Zbigniew Osiński, prof. uczelni z Instytutu Nauk o Kulturze Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, zwolennik humanistyki cyfrowej, pisze, jak nowe narzędzia informatyczne zmieniają paradygmaty umiędzynarodowienia publikacji i ich widoczności, nawiązując do podziału naukowców ze względu na język, w którym wydają swoje prace.

Jeden z zabiegów służących manipulowaniu wymianą poglądów polega na zasugerowaniu, że istnieje podział na lepszych i gorszych, z jednoczesnym określeniem zasad przynależności do obu grup. Kryteria są tak określone, by wszyscy, którzy nie zgadzają się z manipulantem, zostali zaliczeni do gorszych. Zabieg ten pozwala unikać merytorycznej polemiki, bowiem gorsi z natury nie mają racji. Ja jestem ten lepszy, więc to mi należy wierzyć. Niestety świat nauki nie jest wolny od takich metod. Wznowiona obecnie dyskusja o stanie polskiej nauki i niezbędnych reformach przyniosła kilka przykładów takich zabiegów.

Pojawił się podział na „zadowolone peryferia”, które w Polsce jakoby dominują kosztem „aspirującego centrum”. Gorszi, czyli „zadowolone peryferia”, to badacze ograniczający się do krajowego obiegu naukowego, zadowoleni ze swojej izolacji, skupiający się na wąskiej współpracy krajowej. Są gorsi, bowiem jakoby nie dorównują poziomem zawodowym międzynarodowym standardom uprawiania nauki. Lepszy, czyli „aspirujące centrum”, to badacze zorientowani międzynarodowo, dążący do publikowania w języku angielskim i współpracy z zagranicznymi kolegami.

Autorzy kolejnego podziału sugerują, że polska nauka dzieli się na dwie grupy. Społeczność lepszą, którą tworzą osoby rozumiejące, iż niezbędne są ściśle określone zmiany (tzw. umiędzynarodowienie), żeby w nauce było lepiej oraz gorszą, którą tworzą zwolennicy cementowania obecnego systemu. Druga grupa to tzw. równoległy model nauki, czyli nauka robiona „w ukryciu”, tylko po polsku.

Merytoryczna dyskusja ze wszelkimi podziałami na lepszych i gorszych nie ma sensu, bowiem nie po to zostały one stworzone. Jeżeli zabieram w tej sprawie głos, to jedynie w celu wykazania, że ich autorzy zasugerowali mi istnienie w środowisku naukowym innych podziałów. Po pierwsze, na tych, którzy rozumieją specyfikę metodologiczną nauk humanistycznych i społecznych, a także dostrzegają istotne różnice w uprawianiu tych dziedzin w porównaniu do pozostałych, oraz tych, którzy tego aspektu funkcjonowania nauki nie rozumieją. Po drugie, na tych, którzy dostrzegają wpływ nowoczesnych technologii informacyjno-komunikacyjnych na naukę oraz na tych, którzy mają z tym problem.

Specyfika humanistyki i nauk społecznych sprowadza się do języka, a raczej do ok. siedmiu tysięcy języków istniejących na świecie. Komunikacja międzyludzka, twórczość kulturalna, aktywność polityczna, prawna, medialna, edukacyjna i każda inna oraz utrwalanie śladów tejże aktywności odbywają się w konkretnym języku. Naukowiec, który chce rzetelnie zbadać dowolny obszar aktywności człowieka, w której kluczowym elementem jest język, musi ten język znać. Cały świat badaczy takiego obszaru zamyka się w obrębie znających język, w którym realizowana jest badana aktywność ludzi. Dlatego publikowanie w języku badanych społeczności nie oznacza zamykania się w „zadowolonych peryferiach” lub w „równoległej nauce”. Bowiem każdy, bez względu na miejsce pracy i zamieszkania, kto bada np. kulturę Lasowiaków, nie będzie miał problemu z przeczytaniem artykułu napisanego w języku polskim. Każdy, kto bada czeskie piwowarstwo, nie będzie miał problemu z przeczytaniem artykułu napisanego w języku czeskim.

Prawdziwym problemem nie jest więc język publikacji inny niż angielski. Prawdziwym problemem jest traktowanie badań nad kul-

turą Lasowiaków lub czeskiego piwowarstwa jako przejawów prowinjonalizmu i zaścianowości. Skoro twoje badania nie interesują świata angielskojęzycznego, skoro twoich artykułów nie publikują najlepsze czasopisma skoncentrowane na problematyce Zachodu, to znaczy, że jesteś gorszy.

Skąd taki wniosek? Z przeglądu artykułów opublikowanych w języku angielskim w czasopismach indeksowanych w bazie Scopus. W ostatnim ćwierćwieczu ustalono istnienie następujących zjawisk:

- stroniczość amerykańskich redaktorów i recenzentów, którzy deprecjonują inne paradygmaty i postępowania badawcze niż te, do których są przyzwyczajeni; odrzucają nieamerykańskie badania, modele, problemy i wartości z powodu ich nieznamośći;
- redakcje uprzywilejowują autorów z państw, w których mają siedzibę lub pracujących w ośrodkach o dużej renomie;
- wiedza tworzona przez naukę anglo-amerykańską traktowana jest jako uniwersalna teoria – chętnie publikowana, zaś wiedza z globalnego Południa jako lokalne studia przypadków; uczeni z globalnego Południa mają z góry przypisaną rolę outsiderów, ich zgłoszenia do wiodących czasopism często napotykać pytania ze strony redaktorów i recenzentów o „istotność” przeprowadzonych badań;
- głównym problemem blokującym uczyonym rosyjskim dostęp do zachodnich czasopism są epistemologiczne i metodologiczne podstawy rosyjskiej szkoły nauk społecznych i humanistycznych, które różnią się znacznie od szkół zachodnich;
- niedostateczna reprezentacja badaczy politologów z Rosji ma podłoże nie merytoryczne, lecz ideologiczne – ich artykuły są odrzucone z powodu podważania fundamentów dominującego na zachodzie dyskursu naukowego, takich jak wiara w moralną wyższość i historyczną nieuchronność liberalnej demokracji i globalizacji oraz akceptacja przywództwa USA jako ich głównego gwaranta.

Badacz kultury Lasowiaków lub czeskiego piwowarstwa, jesteś gorszy nie dlatego, że nie potrafisz prowadzić badań i pisać artykułów, lecz z powodu tematyki badań, która nie interesuje nauki zachodniej. Jesteś gorszy, bo publikujesz w języku zrozumiałym nie tylko dla badaczy tejże problematyki, lecz także dla innych grup potencjalnie zainteresowanych taką tematyką: nauczycieli, studentów, dziennikarzy, muzealników i różnych pasjonatów. Jesteś gorszy, bo każdy kto publikuje po polsku lub czesku, jest gorszy. Jesteś gorszy, bo sądzisz, że jako polski lub czeski humanista masz istotne obowiązki wobec własnego społeczeństwa, bo zapomniałeś, że dla światowych naukowców liczy się wyłącznie czytelnik angielskojęzycznych czasopism. To nic, że ważną rolę humanistyki wobec społeczeństwa podkreślali tacy myśliciele jak Odo Marquard, Martha Nussbaum, Richard Rorty, Stanley Fish i inni. Intelktualne pobudzenie ludzi, cementowanie wspólnot, kulturowe zaangażowanie, zaszczepianie wątpliwości, krytycyzm i stymulowanie wyobraźni nie przekładają się na punkty w ewaluacji. Ty masz publikować po angielsku, a o społeczną misję humanistyki niech dbają media i edukacja. Co tam jacyś naukowcy.

Nowoczesne technologie informacyjno-komunikacyjne, a zwłaszcza Internet i algorytmy sztucznej inteligencji, w sposób istotny zmieniają znaczenie takich pojęć jak międzynarodowa dostępność i zasięg obiegu naukowego (krajowy v. międzynarodowy). Obecnie publikacja naukowa udostępniona w internetowym zasobie (czasopismo, repozytorium, biblioteka cyfrowa, blog), który indeksowany

jest w wyszukiwarkach specjalistycznych, takich jak Google Scholar, Google Books, BASE lub katalogach/bazach typu Baza Nauki, CEJSH, DOAB, DOAJ, OpenAIRE Catalogue, OAJI, OALster, dostępna jest dla zainteresowanych na całym świecie. Traktowanie artykułów opublikowanych w polskich czasopismach i książek wydanych przez polskie wydawnictwa jako zamkniętego obiegu krajowego stało się bezzasadne. Oczywiście, o tyle, o ile wydawcy dbają o informacyjne standardy wydawnicze narzucone przez redakcje wspomnianych wyszukiwarek i katalogów. Ważne jest także stosowanie zasady otwartego dostępu (wyłącznie modele: zielony – autor sam umieszcza prace w repozytorium; diamentowy – koszty wydawania czasopism i utrzymania wydawnictw pokrywają uczelnie, instytuty, stowarzyszenia naukowe). Bariere językową likwidują systemy tłumaczenia maszynowego typu DeepL i Google Translate. W przypadku tekstów z nauk humanistycznych i społecznych jakość tłumaczeń jest obecnie wystarczająca.

Biorąc pod uwagę wspomniane rozwiązania informatyczne, w przypadku nauk humanistycznych i społecznych uczestnictwo w międzynarodowym obiegu naukowym, a także dostępność dla potencjalnie zainteresowanych zapewnione jest wtedy, gdy:

1. publikacja po recenzjach rozpowszechniana jest z zastosowaniem diamentowego lub/i zielonego modelu open access, a także w czasopismach, które stosują nie dłuższą niż pół roku karencję na dostęp bezpłatny;
2. wykorzystane do opublikowania pracy wydawnictwo, czasopismo, repozytorium, biblioteka cyfrowa, agregator blogów, serwis naukowy zapewniają indeksowanie w wyszukiwarkach Google Scholar, Google Books, BASE oraz zawarły umowy z katalogami/bazami typu Baza Nauki, CEJSH, DOAB, DOAJ, OpenAIRE Catalogue, OAJI, OALster;
3. tekst pracy w języku innym niż angielski rozbudowany jest o tytuł, słowa kluczowe i abstrakt w języku angielskim;
4. autor pracy zadbał o zgodność tytułu i słów kluczowych z treścią;
5. autor zadbał o udostępnienie swojej pracy w repozytoriach typu: Academia.edu, repozytoria i biblioteki uczelniane, ResearchGate.

Po zastosowaniu powyższych zabiegów zasięg terytorialny i językowy publikacji jest nieograniczony, a popularność pracy zależy głównie od jej tematyki i jakości naukowej. Szanowni naukowcy, w wieku XXI publikując w Polsce i po polsku, bez problemu można dotrzeć do całego świata, nie tylko naukowego, co w przypadku nauk humanistycznych i społecznych jest szczególnie ważne.

Afiliacja – cenne dobro

Prominentny hiszpański naukowiec został srodze ukarany przez swoją macierzystą uczelnię za fikcyjne podawanie dodatkowych afiliacji w swoich publikacjach. Ujawniono treść listu, jaki arabska uczelnia wysłała do wybitnych naukowców zagranicznych. Z pozoru jest to niewinna propozycja współpracy, ale łatwo dostrzec, że między wierszami proponuje się im fikcyjne dopisywanie afiliacji tejże uczelni, oczywiście za pieniądze.

Do 2008 roku w szanghajskim rankingu uczelni (ARWU) nie było ani jednej saudyjskiej. W 2009 roku Uniwersytet Króla Sauda pojawił się jako jedyna saudyjska uczelnia na miejscu 402-501. W 2010 roku były już dwie, w tym Uniwersytet Króla Sauda na miejscu 301-400. Obecnie (ranking 2023) mamy ich 12, w tym Uniwersytet Króla Sauda na miejscu 101-150. To jeszcze nie jest ścisła światowa czołówka, ale przypominam, że w tym samym zestawieniu polskich uczelni jest tylko 9, z tego najlepsza dopiero na miejscu 401-500, a więc wyprzedza ją 5 uczelni arabskich.

W WoS jest sporo saudyjskich publikacji, ale prawie 70% z nich ma zagranicznych współautorów. Jeżeli zaś spojrzymy na publikacje w „Nature” i „Science”, tak cenione w ARWU, to aż 94% saudyjskich publikacji ma zagranicznych współautorów. Jeszcze większy jest udział obcokrajowców w publikacjach o wielkiej liczbie cytowań. 58 najczęściej cytowanych saudyjskich publikacji ma współautorów z zagranicznymi afiliacjami. W trzech najczęściej cytowanych saudyjskich publikacjach występuje co prawda po jednym autorze z saudyjską afiliacją, ale ten sam autor podaje też dwie inne, niesaudyjskie afiliacje.

Te wszystkie historie łączą jeden motyw: możliwość podawania przez jednego autora wielu afiliacji w jednej publikacji. Zjawisko to jest stosunkowo mało znane, a może ono znacząco wpływać na rankingi i ewaluacje. W szczególnych sytuacjach uzasadnione jest podanie dwóch afiliacji, jednak widziałem na własne oczy publikacje, w których jeden autor podaje aż 7 różnych afiliacji w pięciu państwach. Polskim naukowcom raczej nie grożą

niemoralne propozycje z Bliskiego Wschodu i bardziej obawiałbym się sytuacji odwrotnej. Przy obecnym systemie ewaluacji jednostek dużo bardziej opłacalne niż płacenie wydawnictwom typu MDPI i Frontiers za publikowanie poszczególnych artykułów może być zapłacenie hurtem prominentnym naukowcom za fikcyjne dopisywanie afiliacji. Swoją ofertą polskie uczelnie nie przebijają naftowych szeków, ale też do zdobycia kategorii A+ potrzeba o wiele mniej niż do wejścia do pierwszej dwusetki chińskiego rankingu. Przyszłe systemy ewaluacji jednostek naukowych powinny być skonstruowane w sposób zabezpieczający je przed ewentualną manipulacją polegającą na wpisywaniu fikcyjnych afiliacji.

Marek Kosmulski



Rys. Sławomir Makal

Skala umiędzynarodowienia

Cytowania publikacji członków Rady Doskonałości Naukowej jako miara ich międzynarodowej pozycji naukowej w dziedzinie nauk społecznych

Na stronie Rady Doskonałości Naukowej (rdn.gov.pl) stwierdza się, że działa ona na rzecz zapewnienia rozwoju kadry naukowej zgodnie z najwyższymi standardami jakości działalności naukowej wymaganymi do uzyskania stopni naukowych, stopni w zakresie sztuki i tytułu profesora. Do RDN na obecną kadencję (2024-2027) wybrano 169 członków reprezentujących 10 dziedzin naukowych i 55 dyscyplin. Najwięcej dyscyplin – 12 – jest w dziedzinie nauk społecznych, a każdą reprezentuje w Radzie 3 naukowców. Tym samym Zespół V Nauk Społecznych RDN liczy 36 członków i jest najliczniejszym z dziesięciu zespołów dziedzinowych.

Jednym z istotnych elementów aktywności naukowej w świetle przyjętych strategii rozwojowych polskich uczelni jest jej internacjonalizacja. Za najważniejsze wskaźniki mierzące skalę umiędzynarodowienia badań naukowych przyjmuje się często liczbę cytowań publikacji pracowników naukowych oraz indywidualny wskaźnik cytowań – indeks Hirscha (IH), notowanych np. w powszechnie uznawanej bazie Scopus. Baza ta jest na bieżąco uzupełniana oraz aktualizowana i (co ważne z powodów porównawczych) stwarza możliwość odwoływania się do informacji zgodnie ze stanem w latach minionych. Podaje się też liczbę publikacji badaczy, ale ze względu na fakt, iż można mieć wiele publikacji, których nikt nie zacytował, informacja ta raczej nie wyraża międzynarodowego uznania badacza. Inną znaną i uznawaną w świecie naukowym bazą zawierającą tego typu informacje jest Web of Science. Tam jednakże uwzględniane są także cytowania publikacji napisanych w języku polskim, a następnie cytowanych w polskojęzycznych pracach, co trudno uznać za czynnik wpływający na miarę umiędzynarodowienia.

Wydaje się oczywistym, że ocena skali umiędzynarodowienia pracowników naukowych powinna znaleźć swoje odzwierciedlenie w procedurach uzyskiwania stopni naukowych oraz tytułu naukowego profesora. Aby egzekwowanie tego czynnika nie budziło wątpliwości, osoby decydujące o związanych z tym procedurach same powinny posiadać wysokie wskaźniki umiędzynarodowienia, zasadna jest bowiem obawa, że osoba o niskiej pozycji w tym zakresie może deprecjonować osiągnięcia innych. Interesujące informacje o umiędzynarodowieniu kandydatów do RDN zebrano i przedstawiono na portalu fundacji Science Watch Polska w artykule (zaktualizowanym 23.10.2023) *Wartość dorobku naukowego kandydatów do RDN – nauki humanistyczne i społeczne*. Dane tam przytoczone są jednak niekompletne. Obecnie, kilka mie-

sięcy po ukonstytuowaniu się RDN bieżącej kadencji, można zebrać i przedstawić kompletne informacje w tym zakresie. W niniejszym krótkim artykule skoncentrowano się jedynie na dziedzinie nauk społecznych.

Warto przyrzeć się danym dotyczącym liczby cytowań i indeksu Hirscha (bez autocytowań) wg bazy Scopus (informacja z 15.04.2024) wszystkich członków RDN w dziedzinie nauk społecznych (uszeregowanych od najmniej do najbardziej aktywnych) z uwzględnieniem informacji o roku uzyskania stopnia doktora habilitowanego (tabela). Najlepsze dyscypliny pod względem wysokości powyższych wskaźników (uśrednione wartości dla członków dyscyplin) to psychologia, nauki o zarządzaniu i jakości oraz geografia społeczno-ekonomiczna i gospodarka przestrzenna. Czołowe pozycje pod względem wysokości wskaźników (uwzględniając jako wagę liczbę lat od uzyskania habilitacji zarówno dla IH, jak i liczby cytowań) wśród członków RDN reprezentujących dyscyplinę w ramach dziedziny nauk społecznych zajmują profesoria: **Katarzyna Szczepańska-Woszczyna**, **Wojciech Czakon** i **Mariola Bidzan**. W grupie najlepszych należy też wyróżnić profesorów **Tomasza Szlendaka** i **Dariusza Dolińskiego**, którzy mają bardzo wysoką liczbę cytowań ważoną liczbą lat od uzyskania habilitacji oraz wysoki IH.

Najgorsze dyscypliny pod względem wysokości powyższych wskaźników to prawo kanoniczne, nauki o komunikacji społecznej oraz pedagogika. Najniższe pozycje pod względem wysokości wskaźników (uwzględniając jako wagę liczbę lat od uzyskania habilitacji zarówno dla IH, jak i liczby cytowań) wśród członków RDN reprezentujących dyscypliny w ramach dziedziny nauk społecznych zajmują profesoria: **Bogusław Śliwerski**, **Kazimierz Wolny-Zmorzyński** i **Iwona Hofman**.

Poniższe zestawienie pokazuje duże zróżnicowanie w międzynarodowej działalności publikacyjnej członków Rady, reprezentujących odmienne dyscypliny w dziedzinie nauk społecznych. Zastanawiające jest to, że w tak ważnej dla rozwoju nauki dyscyplinie jak pedagogika wybrano dwóch członków, którzy nie istnieją dla międzynarodowej nauki. Obserwacja ta nie odnosi się w żadnym stopniu do działalności naukowej i organizacyjnej tych profesorów i nie podważa ich uznania w lokalnym – polskim środowisku naukowym.

Ewaluacja umiędzynarodowienia aktywności naukowej poprzez notowania w bazie Scopus nie obejmuje wszystkich aspektów tej działalności i zapewne nie jest idealna (dla porównywania wszystkich dys-



Dni
Narodowego
Centrum
Nauki

15-16 maja
Bydgoszcz

Patronat medialny
„Forum Akademickie”

cyplin). Ma jednak tę zaletę, że przy powtórnym sprawdzeniu, np. po miesiącu, można zaobserwować dynamikę zmian liczby indywidualnych cytowań (wskaźniki mogą rosnąć lub pozostawać na niezmiennym poziomie, ale zdarzają się też przypadki, iż wskaźniki te zmniejszają się ze względu na fakt, że pewne czasopisma przestają

być uznawane za znaczące i artykuły w nich publikowane oraz ich cytowania są usuwane z bazy).

Jan Hauke

(W tabeli poniżej wartości zacięzione i wytłuszczone w wierszach przy dyscyplinie to średnie dla jej członków)

Zespół V Nauk Społecznych RDN	Habilitacja (rok uzyskania)	Cytowania Scopus	Index Hirscha
Dyscyplina prawo kanoniczne:		0,0	0,0
Zbigniew Janczewski	2005	0	0
Piotr Kroczek	2011	0	0
Elżbieta Szczot	2011	0	0
Dyscyplina nauki o komunikacji społecznej i mediach:		0,3	0,3
Kazimierz Wolny-Zmorzyński	2002	0	0
Iwona Hofman	2004	0	0
Jadwiga Woźniak-Kasperek	2001	1	1
Dyscyplina pedagogika:		3,3	0,7
Bogusław Śliwerski	1993	0	0
Marek Konopczyński	2007	0	0
Agnieszka Cybal-Michalska	2007	10	2
Dyscyplina nauki o polityce i administracji:		2,7	1,0
Arkadiusz Żukowski	2000	1	1
Tadeusz Wallas	2008	2	1
Jolanta Itrich-Drabarek	2011	5	1
Dyscyplina nauki prawne:		3,0	1,3
Bronisław Sitek	1998	2	1
Krzysztof Baran	1996	6	2
Robert Grzeszczak	2012	1	1
Dyscyplina nauki o bezpieczeństwie:		60,3	3,0
Marek Wrzosek	2007	1	1
Bogusław Jagusiak	2012	1	1
Bernard Wiśniewski	1988	179	7
Dyscyplina nauki socjologiczne:		490,0	4,3
Cezary Obracht-Prondzyński	2003	8	2
Kaja Kaźmierska	2009	52	4
Tomasz Szlendak	2005	1410	7
Dyscyplina ekonomia i finanse:		183,0	6,3
Krzysztof Jajuga	1987	230	4
Marzena Weresa	2002	61	5
Marian Gorynia	1995	258	10
Dyscyplina stosunki międzynarodowe:		362,3	7,0
Marek Pietraś	1996	1	1
Robert Kłosowicz	2009	8	2
Katarzyna Szczepańska-Woszczyńska	2017	1078	18
Dyscyplina geografia społeczno-ekonomiczna i gospodarka przestrzen.		346,3	9,3
Tomasz Kaczmarek	2005	93	6
Tomasz Komornicki	2004	287	10
Paweł Swianiewicz	1998	659	12
Dyscyplina nauki o zarządzaniu i jakości:		468,0	10,3
Wojciech Dyduch	2009	95	5
Szymon Cyfert	2007	236	7
Wojciech Czakon	2007	1073	19
Dyscyplina psychologia:		810,0	14,3
Dariusz Doliński	1993	1093	16
Bogdan Zawadzki	2002	539	12
Mariola Bidzan	2009	798	15

Ewaluacja po litewsku

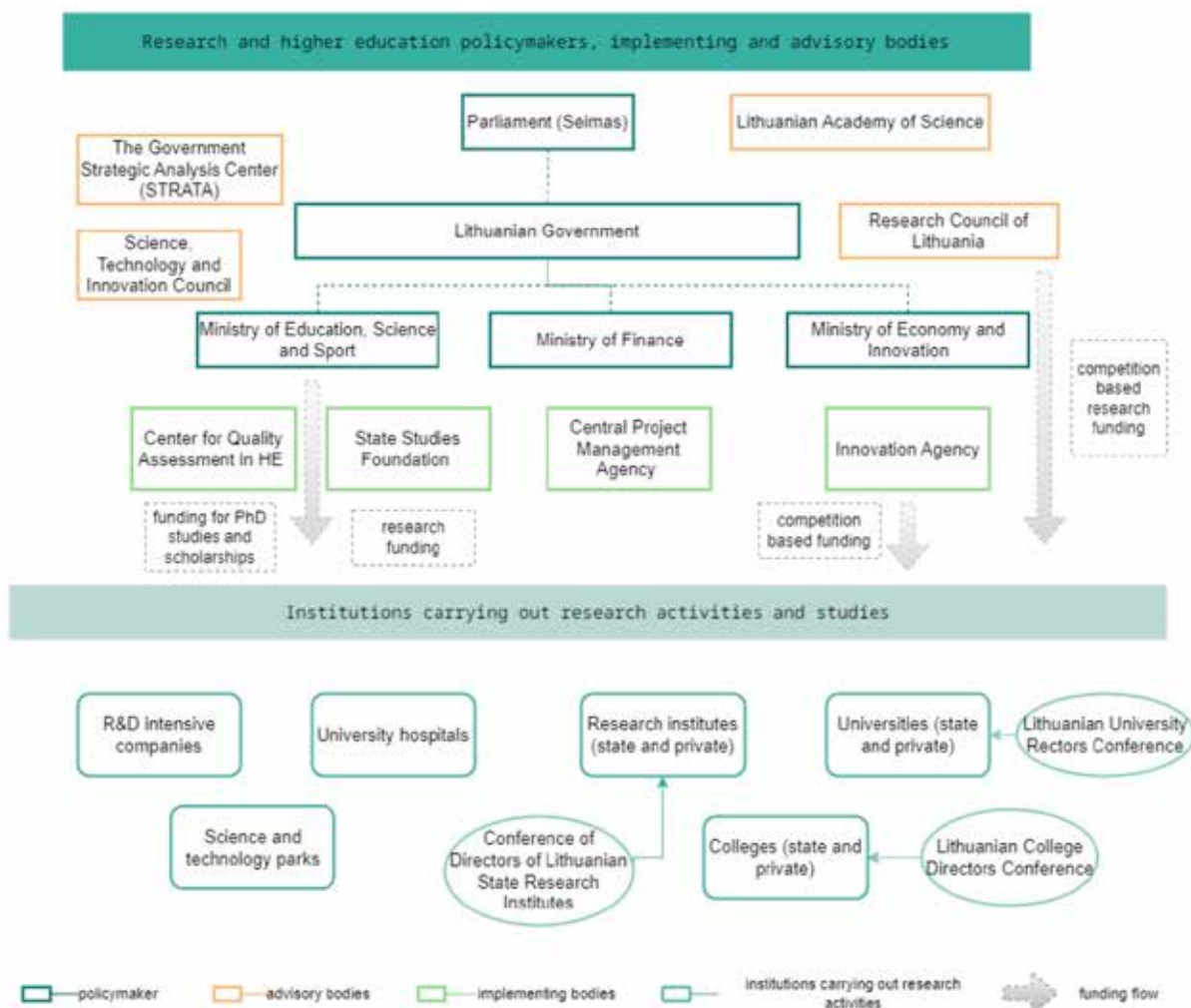
Prof. dr hab. Adrian Jusupović, członek Akademii Młodych Uczonych PAN, kierownik Zakładu Badań Źródłoznawczych i Edytorstwa Instytutu Historii im. T. Manteuffla PAN przedstawia litewski system ewaluacji nauki, pytając czy niektórych doświadczeń naszych sąsiadów nie warto zaimplementować w naszym systemie oceny nauki.

W roku 2023 na Litwie odbyło się niezwykle skomplikowane przedsięwzięcie mające na celu pozycjonowanie poszczególnych ocenianych jednostek (UoA – Unit of Assessment) w sześciostopniowej skali. Na wstępie należy wyjaśnić, że na Litwie poza ministerstwami (w tym edukacji, nauki i sportu) zostały powołane instytucje, które pełnią rolę ekspercką i wspierają działania rządu: Litewska Akademia Nauk, Rada Nauki Litwy (spełnia podwójną rolę jako agencja grantowa oraz doradztwa z zakresu polityki naukowej; szczegóły: https://www.esf.org/fileadmin/user_upload/esf/RCL_evaluation-Report-2014.pdf), Rządowe Centrum Strategicznych Analiz oraz Naukowa Rada Technologii i Innowacji. Rada Nauki Litwy we współpracy z Ministerstwem Edukacji, Nauki i Sportu nie tylko organizują ewaluację, ale również dokonują podsumowania jej efektów oraz, co istotne, na podstawie opinii zatrudnionych ekspertów wskazują kierunki ewentualnych zmian.

Ewaluacji jednostek naukowych dokonują zagraniczni eksperci, powołani przez Radę Nauki Litwy spośród wysokiej klasy naukowców i nauczycieli pracujących w zagranicznych instytucjach nauko-

wych i szkolnictwa wyższego. W 2023 r. pochodzili oni z 26 różnych krajów i mieli różnicowane doświadczenia (przy ocenie ERC czy też krajowych grantów). Preferowani byli badacze dobrze orientujący się w specyfice regionu, przy których nie zachodzi podejrzenie konfliktu interesu (współpracują z litewskimi badaczami przy projektach naukowych, pracują w jednostce litewskiej itp.). Oni również przygotowali końcowy raport oraz rozpatrują wszelkie odwołania, co niweluje niebezpieczeństwo ręcznego sterowania ocenami.

Na potrzeby ewaluacji wyodrębniono 85 UoA, (w 2018 r. było 117 UoA, które były oceniane przez 6 paneli eksperckich; wyodrębniony UoA mógł dotyczyć tylko jednej dyscypliny), które zostały przypisane do jednego z 13 paneli eksperckich: dwóch humanistycznych (liczących 10 i 12 osób), trzech nauk społecznych (13, 19 i 9 osób), jednego nauk społecznych i humanistycznych (20 osób), trzech nauk przyrodniczych oraz nauk technicznych (11, 8 i 9 osób), jednego zdrowia i nauk medycznych oraz nauk przyrodniczych (11 osób), jednego nauk przyrodniczych (10 osób), jednego nauk rolniczych oraz nauk technologicznych (9 osób) oraz jednego nauk technologicznych (10



System nauki i szkolnictwa wyższego na Litwie (za "An overview of the research and higher education system in Lithuania", Vilnius 2022: Research Council of Lithuania, s. 6).

osób). Zazwyczaj UoA jest częścią większej jednostki naukowej (np. uniwersytetu) i odpowiada wydziałowi lub całej instytucji (np. Instytut Historii Litwy). Każda instytucja uczestnicząca w ocenie eksperckiej, w zależności od jej wielkości i struktury, może wyodrębnić jedną lub więcej jednostek poddawanych ocenie (UoA). Są to zatem struktury wyodrębnione w celu dokonania ich oceny, które mogą działać w maksymalnie dwóch obszarach badawczych (w uzasadnionych wypadkach w więcej niż dwóch). Takie rozwiązanie wspiera interdyscyplinarne podejście do badań.

Powołani eksperci dostają dokumentację, która ma ich zaznaczyć z systemem szkolnictwa wyższego na Litwie oraz kryteriami oceny. Przechodzą szkolenie z zakresu obsługi systemu, do którego będą wpisywali swoje indywidualne sugestie oceny. Na miesiąc przed wizytą w Wilnie otrzymują dostęp w aplikacji do raportów przygotowanych przez poszczególne jednostki ewaluowane za okres ostatnich pięciu lat 2018-2022 (co tyle odbywa się ewaluacja). Składają się one z następujących informacji:

Część I: Dane UoA dotyczące badań i rozwoju.

1. Jakie instytuty/zakłady/pracownie tworzą ocenianą jednostkę.
2. Jakie dyscypliny lub pola badawcze są w jednostce uprawiane.
3. Informacje o strukturze zatrudnienia (w tym z podziałem na dyscypliny), ilu jest liderów/chief researchers, starszych badaczy/senior researchers, badaczy/researchers, pracowników naukowych w tym z zagranicy/research fellows, młodszych badaczy/junior researchers (przypisanie do określonej kategorii uzależnione jest od osiągnięć naukowych, które obowiązują w danej dyscyplinie; przykładowo lider w naukach humanistycznych powinien mieć albo monografię naukową nieopartą na dysertacji doktorskiej, opublikowaną przez uznane międzynarodowe wydawnictwo oraz co najmniej pięć artykułów naukowych na poziomie międzynarodowym, albo monografię naukową nieopartą na dysertacji i co najmniej siedem artykułów naukowych na poziomie międzynarodowym, albo co najmniej piętnaście artykułów naukowych na poziomie międzynarodowym); osobno znajdują się informacje o stopniach naukowych oraz innych pracownikach w tym doktorantach.

4. Dane dotyczące studiów doktoranckich. Na Litwie instytuty naukowe mogą posiadać doktorantów, ale szkoły doktorskie mogą prowadzić jedynie wspólnie z uniwersytetami. Taki system nie jest jednak najlepszy, gdyż z moich analiz (za okres 2018-2022) wynika, że procent doktorantów, którzy nie obronili dysertacji, a byli związani z instytutem naukowym, jest znacznie wyższy od tych związanych z uniwersytetami. Co ciekawe Uniwersytet w Kłajpedzie ma niemal 100-procentową frekwencję obronionych doktoratów (i to w wyznaczonym czasie) i rozbudowany system opieki nad doktorantami.

5. Wykazy: wyselekcjonowanego spośród pracowników UoA najlepszego dorobku badawczego; najlepszych referatów wygłoszonych podczas zagranicznych konferencji; ważniejszych krajowych i międzynarodowych nagród otrzymanych za działalność badawczo-rozwojową; otrzymanych projektów naukowo badawczych.

Część II: Dane ocenianej jednostki dotyczące ekonomicznego i społecznego wpływu działalności badawczo-rozwojowej i potencjału rozwojowego.

6. Wykazy: wyników badań, zamówień badawczo-rozwojowych od podmiotów gospodarczych (litewskich i zagranicznych) oraz projektów (międzynarodowych i krajowych) o największym wpływie społeczno-gospodarczym (według znaczenia wpływu); najważniejszych przypadków udziału naukowców reprezentujących UoA w grupach roboczych, komisjach lub komitetach powoływanych przez władze państwowe, instytucje państwowe i samorządowe, przedsiębiorstwa i organizacje oraz podmioty gospodarcze; głównych konsultacji udzielonych przez UoA podmiotom publicznym lub gospodarczym; najważniejszych konferencji naukowych i wydażeń organizowanych przez UoA; udziału naukowców reprezentują-

cych UoA w radach redakcyjnych czołowych czasopism naukowych; członkostwa naukowców reprezentujących UoA w najważniejszych międzynarodowych grupach roboczych, stowarzyszeniach itp.; najważniejszych działań popularyzujących naukę; umów o współpracy między jednostkami naukowymi i gospodarczymi; infrastruktury badawczo-rozwojowej.

Część III: Dane dotyczące potencjału rozwoju naukowo-badawczego.

7. Struktura i dynamika zasobów ludzkich, w tym np. rozkład pracowników według wieku i płci (na dzień 31 grudnia ostatniego roku okresu oceny).

8. Strategiczny plan działania UoA.

9. Opis i uzasadnienie tematów badawczo-rozwojowych, które mają zostać opracowane przez UoA.

10. Informacje na temat polityki kształcenia nowego pokolenia naukowców.

11. Samoocena UoA. Mocne i słabe strony, szanse i zagrożenia.

Co istotne do raportu są dołączone liczne odnośniki i linki, które mają pozwolić ekspertom na zweryfikowanie zawartych w nim informacji.

Ekspert przystępując do oceny, koncentruje się na trzech kategoriach (ocena jest w skali od zera do pięciu z możliwością przyznawania połówek oceny, gdzie 0, niezależnie od kategorii oznacza brak działań naukowo-badawczych).

Pierwsza to aktywność naukowo-badawcza UoA (obejmuje on 65% całościowej oceny), gdzie:

- 5 znakomita/excellent oznacza, że działania naukowo-badawcze mają najwyższy międzynarodowy standard;

- 4 bardzo dobra/very good oznacza, że prace naukowo badawcze są na wysokim poziomie i cieszą się międzynarodowym uznaniem;

3. dobra/good oznacza, że prowadzone prace naukowo-badawcze są na wysokim poziomie i cieszą się krajowym uznaniem;

2. satysfakcjonująca/satisfactory oznacza, że prace naukowo-badawcze są na satysfakcjonującym poziomie;

1. słaba/poor oznacza, że prace naukowo-badawcze są na niskim poziomie.

Druga to gospodarczy i społeczny wpływ działalności naukowo-badawczej UoA (obejmuje 20% całościowej oceny), gdzie:

- 5 znakomita/excellent oznacza, że UoA ma pozytywny wpływ na rozwój społeczeństwa i jest wysoko cenionym partnerem w kwestiach badawczo-rozwojowych nie tylko w społeczności akademickiej, ale także poza nią. Pracownicy instytucji są uznawani za ekspertów w sektorze publicznym i prywatnym;

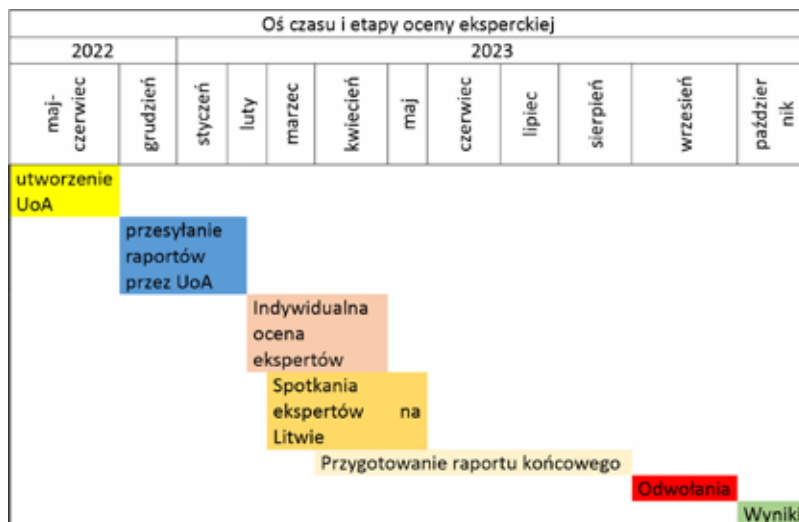
- 4 bardzo dobra/very good oznacza, że prowadzone badania są ważne dla społeczeństwa. UoA jest ściśle związana nie tylko ze środowiskiem akademickim, ale także z biznesem, decydentami i społeczeństwem;

3. dobra/good oznacza, że prowadzone badania są ważne dla społeczeństwa. Relacje z biznesem, decydentami i społeczeństwem są odpowiednio dla uznanej instytucji prowadzącej działalność akademicką;

2. satysfakcjonująca/satisfactory oznacza, że prowadzone badania są ważne dla społeczeństwa, ale interakcja jednostki oceniającej z biznesem, decydentami i społeczeństwem jest słaba;

1. słaba/poor oznacza, że prowadzone badania nie są ważne dla społeczeństwa. UoA nie wchodzi w interakcje z biznesem, decydentami i społeczeństwem.

Trzecia kategoria to potencjał rozwoju naukowo-badawczego UoA (obejmuje 15% całościowej oceny). Biorąc pod uwagę wyniki, zasoby ludzkie, strategię, organizację, działania i infrastrukturę UoA, czynniki te zapewnią warunki do uzyskania w ciągu najbliższych 5 lat ocenę: 5 znakomita/excellent; 4 bardzo dobrą/very good; 3 dobrą/good; 2. satysfakcjonującą/satisfactory; 1. słabą/poor.



Po dokonaniu wstępnej oceny eksperci spotykają się w Wilnie. Każdy panel jest nagrywany i posiada przewodniczącego. W czasie posiedzenia obecni są przedstawiciele Rady Nauki Litwy, którzy dbają o harmonogram ewaluacji oraz odpowiadają na wszelkie pytania odnośnie regulacji prawnych. Na pierwszym zebraniu uzgadniane są wstępne oceny poszczególnych jednostek, po dokładnym omówieniu poszczególnych części ewaluacji. Następnie panel jest dzielony na trzy- lub czteroosobowe grupy, które przez kolejne trzy dni odwiedzają oceniane UoA. Wyjazd obejmuje spotkanie z kierownictwem UoA, które dokonuje krótkiej prezentacji, a następnie eksperci mogą dopytać o kwestie budzące kontrowersje w czasie lektury raportu oraz o politykę zarządzania. Spotykają się też z kadrą naukową, więc mogą zweryfikować informacje zawarte w raporcie oraz uzyskane od kierownictwa, a także dopytują się o fundusz wewnętrzny na badania naukowe, w jaki sposób jednostka wspiera badaczy w uzyskiwaniu środków krajowych i europejskich, czy mają dostęp do baz danych itp. Podczas spotkania z doktorantami oceniający dopytują o powód wybrania studiów doktoranckich, jakość kształcenia itp. Ostatnim elementem wizyty jest prezentacja ekspertom infrastruktury naukowej.

Zebrane w czasie wizyty informacje mogą wpłynąć na podwyższenie lub obniżenie oceny zasugerowanej podczas pierwszego spotkania. Ustalenie ostatecznej punktacji odbywa się ostatniego dnia. Następnie osoby przypisane do przygotowania raportu końcowego z oceny UoA (piszący te słowa odpowiadał m.in. za Instytut Historii Litwy), przesyłają go do członków panelu (do akceptacji) wraz z sugestiami kierunku zmian. Ostatnim etapem pracy panelu były ewentualne odwołania. Warto zaznaczyć, że Rada Nauki Litwy poprosiła wszystkie oceniane jednostki o ewaluację procesu organizacji oceny eksperckiej w 10-punktowej skali, gdzie 10 oznacza maksy-

malną pozytywną ocenę. Średnia ocena wyniosła 8,3 (w oparciu o 78 odpowiedzi z 85 UoA).

Ogólnym celem Porównawczej Oceny Eksperckiej działań badawczo-rozwojowych prowadzonych przez uniwersytety i instytuty badawcze jest przedstawienie obrazu litewskich wyników badań, ich wpływu społeczno-gospodarczego oraz potencjału instytucji badawczych. Wyniki zaś wykorzystywane są do ustalenia budżetu jednostki oraz przyznawania uczelnionym uprawnień do organizowania studiów doktoranckich w określonych dziedzinach nauki. Ponadto wykorzystywane są do przydzielenia 70% części budżetu państwa przewidzianej na finansowanie działań naukowo-badawczych uniwersytetów i instytutów naukowych.

Litwini nie posługują się systemem punktacji (złośliwie nazywany punktową, czy też „punktozą”), który funkcjonuje w takich krajach jak na przykład Polska czy też Rosja (z zastrzeżeniem, że w Rosji uwzględniono różnice pomiędzy uniwersytetami i akademią), w których badacz może opublikować jeden artykuł w czterech różnych językach i czasopismach, zmienić jego tytuł i wypełnić sloty. Kryteria oceny naszego wschodniego sąsiada są jasne i przejrzyste. Nie budzą również żadnych kontrowersji oraz wspierają interdyscyplinarne podejście. Ewaluacja wpisuje się w pełni w plan reformy nauki litewskiej. Jej wyniki oraz kierunki rozwoju zostały omówione na osobnej konferencji z udziałem czołowych litewskich polityków, naukowców oraz ekspertów. Ponadto po ukończeniu procesu ewaluacji rozsyłana jest ankieta do ekspertów, którzy mają możliwość zasugerować usprawnienie i poprawienie systemu oceny.

Prof. dr hab. Adrian Jusupović, członek Akademii Młodych Uczonych Polskiej Akademii Nauk, kierownik Zakładu Badań Źródłoznawczych i Edytorstwa Instytutu Historii im. T. Manteuffla Polskiej Akademii Nauk

Kult cargo

Dr hab. Dariusz Gątarek, prof. w Instytucie Badań Systemowych PAN, opisuje absurdy parametrycznej oceny nauki, bazującej na punktacji czasopism. Przekonuje, że wybitny matematyk Grigorij Perelman byłby w polskim systemie ewaluacji dla uczelni obciążeniem, a nie atutem. Nawołuje do zmiany systemu oceny, który prowadzi do zapaści polskiej nauki.

W okolicach roku 2010 kierownictwo polskiej nauki doszło do wniosku, że ocena jednostek naukowych i indywidualnych badaczy nie powinna opierać się wyłącznie na tzw. opinii środowiska nauko-

wego, a zadaniem uczonego jest działalność, która ma materialną formę i że istnieją obiektywne metody jej ewaluacji. Zaobserwowano także, że najłatwiejszym do oceny produktem pracy uczonego jest

publikacja. Trudno z tymi obserwacjami się nie zgodzić. Wnioski z nich wyciągnięto jednak co najmniej dziwne, choć pierwsze konkluzje jeszcze nie zapowiadały katastrofy. Zauważono mianowicie, że publikacja publikacji nierówna, że mamy XXI wiek i publikowanie jest nieporównanie łatwiejsze niż wcześniej i nawet samo umieszczenie artykułu na stronie internetowej w pewnym sensie jest już publikacją. Istnieją czasopisma z wieloletnią (a nawet wielowiekową) tradycją i o ustalonym prestiżu dobierające bardzo starannie drukowane materiały, istnieją też wydawnictwa, niekiedy zwane dra pieżnymi, które za większą lub mniejszą kwotę gotowe są zamieścić artykuł na swojej stronie internetowej, nie oceniając wcześniej jego jakości, najczęściej wyłącznie w formie binarnej, nawet nie marnując papieru. Powołano Komisję Ewaluacji Nauki, której zadaniem była ewaluacja czasopism naukowych poprzez przydział punktów. Jest to zadanie niemożliwe do wykonania. Możemy dyskutować, czy ostatnim człowiekiem ogarniającym całość nauki był Albert Wielki czy Arystoteles ze Stagiry, ale jedno jest pewne: ludzie ci pomierali dawno temu, a nauka w tym czasie dokonała ogromnego postępu. Nie czyni teraz tego nawet komisja złożona z 34 osób. Komisja oczywiście nie pracuje sama i posługuje się wiedzą ekspertów, ale by jej oceny były całkowicie wiarygodne, ekspertem powinien być każdy uczony, w końcu taka jest jego misja – poznać pewien wycinek rzeczywistości lepiej niż inni. Profesorowie, którzy za swe osiągnięcia trafili do podręczników i encyklopedii (a takich w Polsce nie jest wcale mało), mogą uznać za uwłaczający fakt, że anonimowi i najprawdopodobniej nieznanicy ich dziedziny ekspert dyktuje im, gdzie powinni publikować, by nie zostać ocenieni jako nieuki.

Tomów by zabrakło, by wyliczyć wszystkie błędy, niedopatrzania i niekonsekwencje słusznie lub nie zarzucane kolejnym listom czasopism punktowanych, a przecież to od tej listy zależy los ośrodków naukowych i indywidualnych uczonych, na podstawie publikacji w pismach wyżej lub niżej punktowanych przyznaje się kategorie ośrodkom naukowym, a przydział środków zależy również od kategorii naukowej.

Pewnym sposobem uczynienia oceny czasopism bardziej obiektywną jest wykorzystanie miary opracowanej przez niezależną instytucję i dobrą wiadomością dla ministerstwa jest fakt, że takie miary istotnie są publikowane i powszechnie uznane: Impact Factor (IF) przez Web of Science, Journal Citation Indicator (JCI) przez Clarivate, CiteScore przez Scopus, SClmago Journal Rank (SJR) przez SClmago Lab oraz Source normalized impact per paper (SNIP) przez wydawnictwo Elsevier. Istnieją też mniej popularne miary. Są one liczone w różny sposób, ale łączą je oparcie się na tych samych danych wejściowych: liczbie cytowań, bo właśnie liczba cytowań jest najpowszechniejszą miarą jakości artykułu. Jest to miara zawodna i niedoskonała, ale dość obiektywna i łatwa do zastosowania, a co najważniejsze – właściwie pozbawiona konkurencji. Pozwolę sobie tutaj na nazywanie artykułów wiele razy cytowanych artykułami dobrymi, zdając sobie sprawę, że na jakość artykułu składają się również inne czynniki, które niestety są dużo trudniejsze do uchwycenia niż same cytowania. Prawnikom znane jest pojęcie prawdy materialnej.

Ocena pracy naukowej według miejsca publikacji, a miejsca publikacji według jednego z wymienionych wyżej parametrów (IF, SJR, SNIP, CiteScore) jest obiektywna i stosunkowo wiarygodna. Ma jednak pewne cechy łapania się prawą ręką za lewe ucho, gdyż artykuł oceniamy według liczby cytowań nie tyle samego artykułu, co

innych prac opublikowanych wcześniej w tym czasopiśmie. Przypomina to ocenianie ucznia nie według jego osobistych osiągnięć, ale według średniej ocen jego szkolnej klasy, co brzmi nieco absurdalnie. Podstawą takiego poglądu jest przekonanie, że absolutnie wszystkie artykuły opublikowane w prestiżowych pismach stają przez to dobre. Jest to stary sofizmat znany jako cum hoc ergo propter hoc, czyli razem, a więc jedno z drugiego wynika. W tym przypadku istotnie istnieje związek przyczynowo-skutkowy, ale w stronę przeciwną: pismo jest dobre, bo publikuje dobre artykuły, nie odwrotnie. Ogromna większość artykułów publikowanych nawet w najbardziej prestiżowych pismach nie wywiera żadnego wpływu na dalszy rozwój nauki, a jeśli są nawet cytowane, to głównie przez autorów. Odwrócenie związku przyczynowo-skutkowego nazywane jest niekiedy kultem cargo.

Z drugiej strony prace przełomowe bywają publikowane w pismach zupełnie marginalnych. Dla przykładu: Grigorij Perelman opublikował swe trzy przełomowe prace na temat hipotezy Poincaré na stronie internetowej ArXiv, której nie ma na liście pism punktowanych. Jeśliby Perelman był pracownikiem polskiej jednostki naukowej, powinien zostać zwolniony jako zupełnie bezproduktywny naukowo. Grigorij Perelman jest oczywiście ekscentrykiem, ale moje doświadczenie wskazuje, że skłonności do lekceważenia zarządzeń urzędowych wykazują wszyscy wybitni uczeni, tym większą, im owe zarządzenia są mniej rozumne, a pozycja uczonemu bardziej niezależna.

W systemie ewaluacji opartym na miejscu publikacji artykułu nie powstałyby słynne pisma polskiej szkoły matematycznej „Fundamenta Mathematicae” i „Studia Mathematica”, bo musi minąć kilka lat zanim pismo zyska renomę i byłoby mocno nieopłacalne stworzenie nowego pisma. Taki system ewaluacji sugeruje, że Polak może co najwyżej świecić światłem odbitym, sam nie osiągnie nigdy fundamentalnych wyników. Widoczna tutaj mikromania budzi we mnie niesmak tym bardziej, że jest po prostu nieprawdziwa.

Alternatywnym rozwiązaniem jest ewaluacja oparta na liczbie cytowań. Jej wadą jest oczywiście to, że potrzeba czasu, by ocenić wartość artykułu, artykuły naprawdę wybitne bywają cytowane sto lat po publikacji. W wyniku tego osoby starsze miałyby wyraźną przewagę nad młodszymi. Czy jednak to naprawdę jest takie złe? Politycy mają skłonność do opierania się na młodych ludziach, co często bywa uzasadnione, bo młodość idzie i śpiewa, ale w przypadku polskiej nauki może doprowadzić do katastrofy, a to dlatego, że nauka z natury swojej opiera się na równowadze między różnymi grupami wieku, a także dlatego, że w polskiej nauce istnieje luka pokoleniowa i marginalizacja osób urodzonych przed rokiem 1960 skutkowałaby natychmiastową zapaścią. Poza tym liczbę cytowań można skalować w zależności od grupy wiekowej autora, bo istotnie zachęcanie ludzi młodych do uprawiania nauki jest być albo nie być polskiej nauki, ale nieroztropne jest tworzenie opozycji między różnymi grupami wiekowymi.

Nie jest moim zadaniem tworzenie systemu ewaluacji nauki, podejrzewam, że najlepszy byłby system hybrydowy. Niemniej obecny system jest nie do obrony z żadnego punktu widzenia i jeśli zostanie zachowany, spowoduje trudne do naprawienia szkody.

(Opinie autora nie były z nikim konsultowane i są tu publikowane po raz pierwszy, odpowiedzialność za nie ponosi tylko on sam. W szczególności nie są to opinie żadnego z obecnych lub dawnych pracodawców.)



Dlaczego nie dostaliśmy Nobla?

Niespełna dwadzieścia lat temu opublikowaliśmy analizę jakości polskiej nauki, przedstawiając postulaty środowiska akademickiego dotyczące potrzebnych zmian systemowych: A. Wittlin i K. Życzkowski, „Tygodnik Powszechny”, nr 38 (2004). Redakcja zaproponowała tytuł *Nim dostaniemy Nobla*, który dotyczył zarówno artykułu, jak i dyskusji, prowadzonej następnie na łamach pisma. Przeprowadzane przez kolejne rządy lepiej lub gorzej przygotowane i przeprowadzane zmiany organizacji, struktur, ścieżek karier i systemu finansowania, nazywane „reformami”, wprowadziły przynajmniej niektóre z postulowanych wówczas rozwiązań, lecz tytułowe pytanie pozostało nadal aktualne.

Spróbujmy zatem odpowiedzieć na to pytanie, zarazem proste i skomplikowane. Najprostszą odpowiedź znajdziemy na stronach portalu Fundacji Alfreda Nobla. Przeczytamy tam, że w dziedzinach fizyki i chemii Szwedzka Akademia Nauk przyznaje co roku nagrodę „to the person who shall have made the most important discovery or invention”, czyli osobie, która wedle oceny Akademii dokonała największego odkrycia lub wynalazku. Jak wynika z corocznych list laureatów, nikt z polskich naukowców nie spełnił dotychczas tego kryterium. Ciesząc się ze współczesnych Nagród Nobla w dziedzinie literatury dla Czesława Miłosa, Wisławy Szymborskiej i Olgi Tokarczuk, w tym artykule rozważamy brak sukcesów nauki polskiej na skalę światową.

Analizując przyczyny takiego stanu, spróbujmy jednocześnie zasygnalizować problemy, z którymi obecnie muszą się mierzyć politycy myślący o przyszłości kraju w perspektywie 10–20 lat. Aby Polska mogła rozwijać się zgodnie z oczekiwaniami i aspiracjami społeczeństwa, konieczne jest uzdrowienie i unowocześnienie systemu edukacji oraz prowadzenie badań naukowych na poziomie światowym. Tylko w takich warunkach można będzie zwiększyć efektywność oraz innowacyjność naszej gospodarki.

Zacznijmy od szkoły. Polskie programy i podręczniki szkolne sugerują, że wszystko już zrozumiano i odkryto, a uczeń rzadko dowie się w szkole, że wiele problemów naukowych pozostaje nadal otwartych. Uczniów trzeba zaciekawiać otaczającym światem. Dobrze jest uzmysłowić licealistom, że postęp w rozwoju mocy obliczeniowej komputerów oraz oprogramowania pozwalającego na powszechne wykorzystanie sztucznej inteligencji dokonał się już za ich życia, a wiedzy, jaki będzie status obliczeń kwantowych za kilka lat, gdy będą kończyć studia, nie ma dziś nikt. W obliczu tak szybkich przemian, także na rynku pracy, polskie szkoły powinny odpowiednio zmodyfikować stosowane środki i metody nauczania.

Ciągłe zmiany czeka też szkolnictwo wyższe. Trudno obecnie przewidywać, jakie przedmioty i jak będą wykładane na uniwersytetach za dwie dekady, ale pewne jest jedno: rozwój sztucznej inteligencji już wpływa na programy nauczania i sposób prowadzenia zajęć, egzaminowania studentów oraz przygotowania prac dyplomowych. Nadrzędnym zadaniem uczelni będzie modernizacja procesu kształcenia i dobre przygotowanie swych absolwentów do pracy w zmieniających się warunkach.

Zasadniczym celem działania szkół wyższych i instytutów naukowych jest kształcenie kadr oraz tworzenie wiedzy przez badania naukowe. Porównanie środków przeznaczanych na badania w wiodących krajach świata do polskich wskaźników dostarcza argumentów za znacznym wzrostem nakładów na finansowanie prac badawczych w Polsce. Nadal nie jesteśmy krajem konkurencyjnym do pracy dla utalentowanych naukowców, zwłaszcza tych z zagranicy, wybierających najlepsze możliwe warunki aktywności zawodowej i komfort życia rodziny. Ten brak prowadzi do bolesnej emigracji rodzimych

talentów. Pouczająca jest historia Leonarda Eulera, szwajcarskiego matematyka i fizyka, uważanego za jednego z najwybitniejszych uczonych, o zatrudnienie którego w XVIII wieku rywalizowali król pruski i rosyjskie cesarstwo, zdając sobie sprawę z wagi zapewnienia najwyższego poziomu nauki dla dobrobytu i rozwoju swoich krajów. Nasze problemy dotyczą poziomu płac, modelu karier, dostępności mieszkań w miastach akademickich, jakości służby zdrowia, jakości szkół, systemu ubezpieczeń, bankowości, a także barier konsularnych przy zatrudnianiu pracowników z zagranicy oraz wielu innych aspektów współczesnego życia.

Aby zachęcać młodych ludzi do pracy w polskich instytucjach naukowych, trzeba solidnie zwiększyć stypendia doktoranckie i pensje dla pracowników nauki. Lecz od lepiej opłacanych pracowników polskiej nauki należy równocześnie więcej wymagać. W ciągu ostatnich dwóch dekad można co prawda zaobserwować korzystny wzrost średniej liczby prac publikowanych przez polskich badaczy, ale też sama liczba publikacji oraz liczba ich cytowań w literaturze światowej nie może służyć jako jedyne kryterium oceny poszczególnego naukowca czy całej instytucji naukowej. Pod względem średniego współczynnika wpływu opublikowanego artykułu Polska zajmuje nadal odległe miejsce w Europie.

Wiele uwagi opinia publiczna poświęciła ostatnio ogłaszanej przez ministra liście czasopism punktowanych. Nie odnosząc się do, wątpliwego naszym zdaniem, sensu takiej punktacji, taka lista powinna być sporządzana w sposób obiektywny, a wypaczenia z lat minionych trzeba naprawić. Z drugiej strony, celem pracy każdego uczonego winno być uzyskiwanie wyników na poziomie światowym, a nie kolekcjonowanie punktów pana ministra. Każdy naukowiec po doktoracie powinien wiedzieć, jakie czasopisma w jego dziedzinie mają największy prestiż i oddziaływanie i starać się w nich publikować swe artykuły. Trzeba też mieć na uwadze, że wiele czasopism naukowych jest wydawanych przez korporacje biznesowe, które używają kontrolerskich narzędzi do podnoszenia widoczności swoich produktów.

W krajach o dłuższej tradycji prowadzenia badań i publikowania uczeni wybierają periodyki odpowiednie dla tematu badań bez oglądania się na listę ministra. Ponieważ prestiż czasopism zmienia się w czasie, podobnie może ewoluować lista polskiego ministra – to tylko pomocnicze narzędzie dla urzędników, które nie powinno szkodzić pracy uczonych. Każdy dobry badacz (i każdy dobry instytut) uzyska dobrą ocenę niezależnie od konkretnego wyboru rozsądnych parametrów oceny oraz sposobu rzetelnie przeprowadzonej oceny merytorycznej.

Realnym niedomaganiem nauki polskiej pozostaje od lat publikacja wielu słabych artykułów, które nie stanowią żadnego wkładu do nauki. Konkretnym zadaniem listy czasopism powinno być zniechęcenie polskich uczonych do publikowania w czasopismach „drapieżnych”, wydawanych jedynie dla zysku ich właścicieli. Pieniądze podatnika nie mogą być przeznaczane na pokrywanie kosztów publikacji w takich czasopismach, a jeśli polski autor będzie chciał publikować w nich swoje prace, niech czyni to na własne ryzyko i własny koszt.

Jednym z jaśniejszych osiągnięć reform nauki polskiej było powołanie w roku 2010 Narodowego Centrum Nauki, agencji wspierającej badania podstawowe. W oparciu o wzory European Research Council – swego odpowiednika w Unii Europejskiej – Centrum wypracowało rzetelny, jak się wydaje, system oceny wniosków o projekty badawcze na podstawie recenzji ekspertów z zagranicy. Regularnie przyznawane środki na badania dla najlepiej ocenionych wniosków korzystnie zmieniły obraz nauki polskiej minionej dekady. Istotnym problemem agencji pozostają jej finanse, bowiem w ostatnich latach budżet

NCN pozwalał na sfinansowanie jedynie małego odsetka wniosków ocenionych pozytywnie. W chwili obecnej należy zadbać o godziwe dofinansowanie tej dobrze działającej instytucji, natomiast tworzenie osobnych agencji finansujących badania, przykładowo w naukach humanistycznych czy naukach medycznych, nie jest celowe.

Inna sytuacja panuje w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, powołanym do finansowania prac badawczych nastawionych także na zastosowania komercyjne oraz obronne. Znaczne sumy wydatkowane na te cele nie przyniosły oczekiwanych efektów, unowocześnienia i zwiększania międzynarodowej konkurencyjności polskiej gospodarki, a nieprawidłowości w wydawaniu środków przez agencję są obecnie badane w kontekście zarzutów korupcyjnych. Dlatego niezbędne są zasadnicze zmiany w funkcjonowaniu tej agencji.

Polski przemysł nadal w małym stopniu podejmuje wyzwania, które mogą prowadzić do wynalazków ważnych w skali światowej. Niektóre firmy są jedynie podwykonawcami pracującymi dla zagranicznych centrali, które dostarczają gotowych technologii. Inne firmy prowadzą w kraju niezbyt zaawansowane laboratoria, które w założeniu mają „taniej” niż światowi liderzy zapewnić krajowe dostawy lub usługi, lecz ich działalność często nie daje obiecanych wyników i niekiedy sprowadza się do przepalania pozyskanych środków. Przykładem w dziedzinie nauk stosowanych są niespełnione obietnice kilku krajowych laboratoriów, które na początku pandemii publicznie obiecywały „polską szczepionkę na Covid” lub cudowne panacea na inne choroby. Finansując prace badawczo-rozwojowe z kieszeni podatnika, możemy domagać się, aby takie nakłady przynosiły gospodarce rzeczywiste korzyści.

Oprócz ciągłego niedofinansowania, kluczowym problemem nauki polskiej jest stale posuwający się walec biurokracji. Komputeryzacja spowodowała dramatyczny wzrost liczby niepotrzebnie przygotowywanych dokumentów, niekiedy zarówno w wersji papierowej, jak i elektronicznej. Wymuszana sprawozdawczość zajmuje coraz więcej czasu uczonym wszystkich szczebli, a biurokratom daje jedynie pozorne poczucie kontroli nad zarządzanym systemem.

Fundamentalnym problemem każdego kraju jest sprawiedliwa i efektywna alokacja wypracowanych zasobów, w tym także środków na badania naukowe. Pozostając przy bliskich autorom naukach ścisłych, czy wiemy, dlaczego żaden z projektów sfinansowanych od początku istnienia obecnego systemu nie zaowocował odkryciem klasy światowej? Czy polskie społeczeństwo, które ze swoich podatków finansuje naukę, otrzymuje w zamian to, co najlepsze? W szczególności, czy przyjęty po roku 1989 sposób organizacji nauki odpowiada potrzebom państwa i aspiracjom obywateli?

Tak postawione pytania mają charakter uniwersalny, a wiele krajów eksperymentuje z różnymi metodami finansowania badań. W listopa-

dzie 2023 tygodnik „The Economist” analizuje te zagadnienia i zwraca uwagę, że „talent w zdobywaniu grantów” niekoniecznie wiąże się z jakością prowadzonych badań. Katalin Kariko, ubiegłoroczna laureatka nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, w roku 1995 zatrudniona na uniwersytecie Pensylwanii, nie uzyskała awansu na stanowisko profesora, gdyż nie udało się jej pozyskiwać dla uczelni wystarczającej liczby grantów. Jako przykład pozytywny podano szczerze finansowanie badań niezależnych naukowców przez HH Medical Institute, założony w stanie Maryland przez miliardera Howarda Hughesa, bohatera filmu *Awiator*. Przez 70 lat istnienia instytutu jego

naukowcy byli nagradzani Nagrodą Nobla ponad trzydziestokrotnie, więcej niż wynosi liczba wszystkich nagród otrzymanych przez uczonych z ZSRR i Rosji.

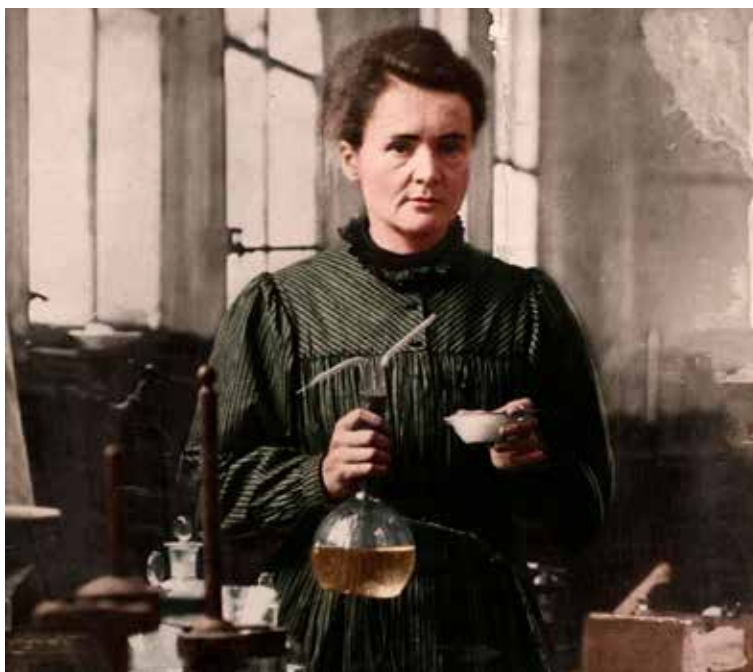
Czy w Polsce prowadzi się systematyczne badania efektywności gospodarczej nauki? Co wiemy, a czego nie wiemy na ten temat? Czy obecny wielostopniowy system stopni i tytułów naukowych, w dużej mierze powstały ponad sto lat temu, obudowywany licznymi protezami i modyfikacjami, rzeczywiście

służy rozwojowi nauki, czy wręcz przeciwnie – zniechęca utalentowanych młodych ludzi do pracy naukowej?

Zauważając liczne bolączki hamujące rozwój nauki w Polsce, warto pokazać też korzystne zmiany, które nastąpiły w ciągu ostatniego dwudziestolecia. W systemie słusznie minionym „wymiana naukowa” oznaczała wyjazdy za granicę stosunkowo nielicznych pracowników polskich uniwersytetów i instytutów naukowych. Dziś praktycznie każdy polski uczonec ma możliwość zdobywania doświadczeń naukowych za granicą. Co więcej, wymiana stała się bardziej symetryczna, gdyż wielu zagranicznych doktorantów przygotowuje w Polsce swe dysertacje, a coraz więcej naukowców z zagranicy odbywa staże po doktoracie u polskich uczonych. Dzięki temu, przynajmniej w niektórych dziedzinach wiedzy, utrzymujemy owocne kontakty z nauką światową.

Polityków polskich należy nieustannie przekonywać, że istotne ulepszenie systemu edukacji i autentyczny rozwój badań naukowych są niezbędne dla zwiększenia innowacyjności i efektywności naszej gospodarki oraz zapewnienia krajowi dobrobytu. Pierwszoplanowym zadaniem rządu jest zagwarantowanie stabilnego finansowania edukacji i nauki utrzymanego na odpowiednim poziomie. Poprzez uregulowania prawne Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego pośrednio odpowiada za dobrą organizację pracy na uniwersytetach i w instytutach naukowych ale także za rozsądny system wymagania dobrej pracy od dobrze opłacanych polskich naukowców. I niewiele ponadto. Może wystarczy po prostu dużo i mądrze wymagać, dobrze płacić i nie przeszkadzać.

Aleksander Wittlin, Karol Życzkowski



Rozmowa z prof. Łukaszem Gruszczyńskim, przedstawicielem Polski w Wysokiej Radzie Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji.

Nie ma drugiej takiej instytucji na świecie

Dzięki członkostwu w Instytucie mamy możliwość wysyłania swoich doktorantów na studia do Florencji. Obecnie jest ich około czterdziestu, gdyż rocznie finansujemy dziesięć nowych stypendiów doktoranckich. Osoby takie mają niepowtarzalną szansę na prowadzenia badań w międzynarodowym środowisku pod okiem najwyższej klasy specjalistów w swoich dziedzinach. Po takich studiach świat zasadniczo stoi przed nimi otworem.

Od początku stycznia tego roku Polska objęła prezydencję Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji. Czym właściwie on jest?

Nazwa European University Institute ma podkreślać naukowy charakter tej instytucji. Zajmuje się on badaniami z zakresu nauk społecznych i humanistycznych oraz kształceniem doktorantów w tych obszarach. Instytut został powołany w 1972 roku, a zatem dość dawno, natomiast Polska stała się jego członkiem dopiero w roku 2005 (od roku 2000 współpracowaliśmy z EUI w oparciu o umowę przedakcesyjną). Nasza prezydencja wynika z rotacyjności przewodnictwa Instytutu. EUI jest bowiem także organizacją międzynarodową, tak jak ONZ czy Unia Europejska. Warto przy tym dodać, że nie ma innej instytucji na świecie, która byłaby równocześnie instytutem naukowym, uniwersytetem i organizacją międzynarodową. Ta specyfika ma swoje odzwierciedlenie w strukturze Instytutu. Jeden komponent ma akademicki charakter – z rektorem, wydziałami, studentami i profesorami. Natomiast w związku z tym, że jest to organizacja międzynarodowa, mamy do czynienia również z komponentem międzyrządowym, który znajduje swoje odzwierciedlenie w Wysokiej Radzie, w skład której wchodzi delegaci wszystkich państw członkowskich. Nasza prezydencja w Instytucie polega na przewodniczeniu tej grupie, składającej się obecnie z dwudziestu trzech państw.

Zatem nie wszystkie państwa unijne tworzą Instytut?

Członkostwo w Unii Europejskiej nie jest tożsame z członkostwem w Instytucie. To dwa niezależne byty, choć ze sobą powiązane. W umowie, która konstytuuje EUI, jest zapis, że nie można zostać członkiem Instytutu, jeżeli nie jest się członkiem Unii. Mamy zatem ograniczenie liczby państw, które mogą tworzyć Instytut, ale nie ma nakazu udziału w nim. Pewien problem pojawił się wraz z Brexitem, gdyż Wielka Brytania była państwem członkowskim EUI. Kontynuacja dotychczasowej współpracy nie była możliwa, zatem to państwo musiało opuścić orga-

nizację. Obecnie są zatem cztery państwa członkowskie UE, które nie należą do instytutu (Chorwacja, Czechy, Litwa i Węgry – red.). Wynika to trochę z braku zainteresowania z ich strony albo zbyt niskiego poziomu na krajowej liście priorytetów. Jest jednak spora szansa, że wkrótce do Instytutu dołączy kolejne państwo, najbliższe tego wydaje się być Chorwacja. Oczywiście, rozwiązaniem optymalnym byłaby sytuacja, gdyby wszystkie państwa unijne przyłączyły się do tej inicjatywy.

Co nam daje członkostwo w EUI, oprócz tego, że płacimy składkę w wysokości ok. 3% budżetu Instytutu?

Przez bardzo długi okres Polska korzystała ze zniżki wynikającej z tego, że była nowym państwem członkowskim. Docełowo składka ma być równa udziałowi PKB danego państwa w PKB Unii Europejskiej. Zakładam, że taki stan nigdy nie zostanie osiągnięty, gdyż są trzy państwa, które do działalności instytutu dokładają najwięcej. To Włochy, Francja i Niemcy. Ich udział w finansowaniu instytutu jest dużo większy niż wskazywałaby na to czysta matematyka. Oprócz tego Instytut dostaje sporo środków bezpośrednio z Unii Europejskiej.

Dzięki członkostwu w Instytucie mamy możliwość wysyłania swoich doktorantów na studia do Florencji. Obecnie jest ich około czterdziestu, gdyż rocznie finansujemy dziesięć nowych stypendiów doktoranckich. Właściwie wszyscy doktoranci kończą te studia. Mamy więc w Instytucie historię, nauki społeczne i polityczne, prawo i ekonomię. Zazwyczaj najwięcej jest kandydatów na prawo oraz nauki społeczne i politologię. Osoby takie mają niepowtarzalną szansę na prowadzenia badań w międzynarodowym środowisku pod okiem najwyższej klasy specjalistów w swoich dziedzinach. Po takich studiach świat zasadniczo stoi przed nimi otworem.

Jakim zainteresowaniem cieszą się doktoraty w Instytucie?

Może okazać się, że w danym roku mamy dość kandydatów by wybrać dziesięć bardzo dobrych osób, ale bywa, że nie udaje

się obsadzić wszystkich dostępnych miejsc. I to nie dlatego, że jest za mało kandydatów, ale dlatego, że ich wnioski są zbyt niskiej jakości. Co prawda te środki nie przepadają, ale mam wrażenie, że na to, co oferuje Instytut, jest nieco za mało chętnych z Polski. Oczywiście dla wielu polskich naukowców kontakt z Instytutem ma miejsce poza programami doktorskimi. Tytułem przykładu, sporo prawników zajmujących się prawem międzynarodowym czy europejskim w pewnym momencie swojej kariery styka się z Instytutem, czy to poprzez kwerendę biblioteczną, czy też uczestnictwo w konferencji. Jest to bowiem miejsce, gdzie specjaliści z tego obszaru szczególnie często spotykają się, by dyskutować i prowadzić badania.

Dodatkowo EUI oferuje dwa inne programy stypendialne: Jean Monnet i Max Weber Fellowships. Skierowane są do osób, które skończyły doktorat i myślą o kontynuowaniu kariery naukowej, w większości mając już jakieś doświadczenie zagraniczne. Poziom konkurencji jest tu jednak znacznie wyższy niż na studia doktoranckie. Polska funduje dwa stypendia Maxa Webera rocznie, konkurs na stypendia Jean Monnet jest natomiast otwarty i aplikować w nim mogą osoby o dowolnym obywatelstwie. Dla starszych naukowców dostępne jest także stypendium im. Fernanda Braudela.

Warto też dodać, że polscy doktoranci wydali specjalny przewodnik dla kandydatów, który ułatwia przygotowanie do aplikowania o miejsca na programach doktorskich w EUI. Jest on dostępny na stronie EUI w zakładce z informacjami dla kandydatów z Polski. Przewodnik jest skierowany do wszystkich, ale szczególnie pomocny może okazać się dla osób, które ukończyły studia w Polsce i mają niewielkie doświadczenie w uprawianiu nauki za granicą. Sformułowanie pytań badawczych, zaproponowanie metodologii, wskazanie tezy do weryfikacji bywa dla nich nie lada wyzwaniem. To nie są standardowe kwestie, których można się nauczyć w trakcie studiów w Polsce. Jeszcze raz przypomnę, że nie konkurujemy tu z kandydatami zagranicznymi, ale w gronie Polaków, zatem szanse są wyrównane.

Czy te programy doktoranckie są jakoś konsultowane i kandydat zawnazsza wybiera promotora?

Co do zasady nie. Warto jednak pamiętać, że zaproponowanie tematu, który mieści się w zainteresowaniach badawczych profesorów na danym wydziale – a są one dostępne, gdyż każdy wykładowca ma swoją stronę instytutową, na której pokazuje własne badania, ale też swoich doktorantów i ich tematy – znacząco zwiększa szanse na dostanie się do instytutu. Osoba, która wpisuje się w pewną problematykę, łatwiej zdobędzie stypendium od tej, która ma co prawda świetny pomysł, ale nie udało się jej spotkać z kimkolwiek intelektualnie, nie znajdzie sobie w instytucji promotora. Taka osoba może ostatecznie nie dostać się na program doktorski, choćby będzie naprawdę dobra. By zwiększyć szanse na sukces, warto też dokładnie zapoznać się z wcześniej wspomnianym przewodnikiem dla kandydatów.

W jakim języku odbywają się zajęcia?

Zasadniczo w angielskim. Sporadycznie są też zajęcia po francusku, po niemiecku czy włosku, jednak to angielski jest głównym językiem pracy Instytutu. Znam osoby, które przygotowywały doktoraty w innych językach niż angielski, ale to raczej wyjątki niż reguła.

Czy i na ile studia doktoranckie i obrona doktoratu w EUI są podobne do doktoratu w Polsce?

Nie robiłem nigdy doktoratu w Polsce, zatem trudno mi to porównać. Mamy tu pierwszy rok, który jest wysoce ustrukturyzowany, z obowiązkowym udziałem w zajęciach. Nie ma jednak żadnych egzaminów, to są raczej seminaria dyskusyjne, do



Fot. Iwona Pietrak

Dr hab. **Łukasz Gruszczyński** (ur. w 1976 r.) jest profesorem Akademii Leona Koźmińskiego w Katedrze Prawa Międzynarodowego i Prawa Unii Europejskiej. Zajmuje się międzynarodowym prawem gospodarczym oraz międzynarodowym prawem ochrony zdrowia publicznego. Doktoryzował się w European University Institute we Florencji, zaś habilitację uzyskał w Instytucie Nauk Prawnych PAN. Odbił staże naukowe, m.in. na Uniwersytecie w Cambridge (jako Winiarski Fellow), Uniwersytecie w Michigan, Katolickim Uniwersytecie Péter Pázmány oraz National University of Public Service (obie instytucje w Budapeszcie). Zdobył 6 grantów NCN. Współpracuje z Instytutem Nauk Prawnych Węgierskiej Akademii Nauk w europejskim projekcie dotyczącym populizmu (DEMOS). Opublikował trzy monografie w wydawnictwie Oxford University Press oraz liczne artykuły. Prof. Gruszczyński jest również redaktorem prowadzącym anglojęzycznego rocznika „Polish Yearbook of International Law”. Pełni funkcję przewodniczącego Wysokiej Rady Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji.

których trzeba się przygotowywać z lektur. Generalnie czytania jest sporo. Wymogiem formalnym jest napisanie na koniec pierwszego roku pracy, która może być poszerzoną koncepcją doktoratu, czyli rozwiniętym propozalem, który został złożony wraz z aplikacją, albo rozdziałem metodologicznym doktoratu czy inną pracą, która zostanie wykorzystana w doktoracie. W kolejnych latach jest duża swoboda; można oczywiście nadal chodzić na zajęcia, ale przede wszystkim należy robić badania i pisać doktorat. Wtedy można też wyjechać na wymianę międzynarodową – właściwie jest to nie tylko mile widziane, ale wręcz wskazane. EUI ma mnóstwo umów z różnymi instytucjami na świecie i stosunkowo łatwo wyjechać na badania do miejsca, które może służyć ich realizacji, np. z racji geograficznych czy kadrowych. Ja na przykład spędziłem pięć miesięcy u prof. Roberta Howse'a w Szkole Prawa na Uniwersytecie w Michigan, który zajmował się podobnymi zagadnieniami, które poruszałem w doktoracie, czyli międzynarodowym prawem gospodarczym. Instytut umożliwia również studentom uczenie innych. Mogą to robić na podstawie umów podpisanych we Włoszech, ale także w innych krajach. Częścią aktualnie wdrażanego tzw. Programu Wideningowego – o którym

powiem za chwilę więcej – jest komponent pozwalający na prowadzenie zajęć w charakterze visiting lecturera w krajach wideńskich, czyli również w Polsce, bądź po angielsku, bądź w innym języku.

A jak wygląda obrona doktoratu?

Wiele zależy od członków komisji. Zawsze jest element przedstawienia głównych tez i metodologii dysertacji. Ale najciekawszym momentem jest rozmowa z członkami komisji, próba obrony własnych tez i argumentów. To ona, oprócz recenzji, pokazuje mocne strony i ewentualne słabości naszej pracy. Zapewne nie różni się to znacząco od tego, z czym mamy do czynienia w Polsce.

Co oznaczają programy masters w EUI?

Mamy na prawie studia LL.M. – to dla prawników odpowiednik MBA. Zasadniczo jest to program dla osób z pewną praktyką, ale z czasem się to zmieniło i program traktowany jest jako specjalistyczne studia podyplomowe. Ten typ studiów jest bardzo popularny w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i Holandii. Jest też roczny program master na ekonomii, wbrew nazwie są to studia podyplomowe, a nie studia drugiego stopnia. Mają one bardzo tradycyjny charakter: są zajęcia, egzaminy, jak na studiach w Polsce na tradycyjnym uniwersytecie. Celem tego programu jest podniesienie poziomu wiedzy z zakresu matematyki ekonomicznej. Jego absolwenci w większości nie zamierzają iść na doktorat, ale chcą wrócić do pracy, mając większe kompetencje. Jednak są też tacy, którzy zdecydowali się na doktorat – będą oni dzięki tym studiom startować z pewnego wspólnego poziomu, gdyż zniwelują nierówności, które mogły się pojawić podczas typowego kształcenia uniwersyteckiego w kraju. Jest więc specjalna ścieżka dla tych masterów z ekonomii, pozwalająca im na kontynuowanie studiów doktoranckich przez kolejne cztery lata. Studia z ekonomii są bardzo empiryczne, a zatem zabierają więcej czasu niż doktoraty z historii czy prawa. Polska finansuje mastera z ekonomii, ale nie finansuje LL.M. na prawie. Choć nie fundujemy stypendiów pobytowych, to dla polskich kandydatów są to studia darmowe, muszą się oni tylko utrzymać z własnych środków przez czas trwania programu. Takiego przywileju nie ma oczywiście, gdy ktoś aplikuje na LL.M. w Wielkiej Brytanii czy Holandii, tam musi i opłacić czesne, i zapewnić sobie utrzymanie.

Jak wyglądają studia LL.M. czy master?

Są bardzo ustrukturyzowane; jest dużo obowiązkowych zajęć, podobnie jak na pierwszym roku doktoratu. Trzeba też przedstawić pracę zaliczeniową. Na końcu otrzymuje się odpowiedni dyplom.

Ostatnio pojawiły się ogłoszenia o naborach do dwóch konkursów wideńskich w EUI.

Instytut uruchomił duży program dla krajów wideńskich, czyli skierowany do obywateli państw, które mają wskazani udziału w europejskich programach ramowych poniżej średniej unijnej. My, jako Polacy, co prawda zdobywamy coraz więcej środków, a zatem trend jest pozytywny, jednak wciąż jesteśmy poniżej średniej europejskiej. Instytut stwierdził, że chce uczestniczyć w procesie wyrównywania szans pomiędzy starymi i nowymi członkami UE, choć faktycznie po dwudziestu latach trudno wciąż mówić o nowych członkach. EUI zidentyfikował tę grupę krajów jako potrzebującą pomocy w zakresie różnych kompetencji, czy to dla kadry zarządzającej i administracji (np. w jaki sposób rozliczać projekty, tworzyć budżety, jak

poskładać to w jedną całość), młodych naukowców (np. warsztaty o tym, jak wymyślać tematykę, jak tworzyć mocny propozal, budować zespoły wykonawców), czy też dla doświadczonych naukowców (np. w zakresie tworzenia networkingów z partnerami ze starej Unii, przygotowywania wniosków do ERC). Częścią tego programu jest też wsparcie kandydatów z krajów wideńskich na studiach LL.M. poprzez wypłacanie im stypendiów pobytowych.

Program wideńskich będzie rozwijany przez najbliższe lata. Chciałbym tę wiadomość przekazać potencjalnym kandydatom z Polski. Konkursów dla naukowców z krajów wideńskich będzie w przyszłości sporo, warto więc obserwować stronę EUI. Wkrótce zaś pojawi się dedykowana zakładka w serwisie NAWA (Research in Poland).

Proszę powiedzieć, gdzie mieści się Instytut, bo to bardzo interesujące i zachęcające do przyjazdu.

To jest jeden z fantastycznych aspektów studiowania we Florencji. Wszystkie wydziały EUI nadal funkcjonują w starych tokańskich willach i pałacach. To zasługa rządu włoskiego, który piękne stare budowle przekazuje Instytutowi w bezpłatne użytkowanie. Niektóre trafiają w ręce Instytutu w takim stanie, że wymagają remontu, co trochę trwa, ale nadal jest to korzystne, nawet przy bardzo restrykcyjnym podejściu Włoch do renowacji zabytków.

Główna siedziba EUI mieści się w Badia Fiesolana, czyli starym klasztorze, który jest użytkowany przez nas od samego początku. Tam są biura rektora, biblioteka, cała administracja. Gdy robiłem doktorat we Florencji, cały Instytut mieścił się w pobliżu. Można było pieszo przemieszczać się pomiędzy budynkami. W ostatnich latach instytut się rozrósł, a odległości między nowszymi obiektami są większe. Ta zmiana uderza mnie za każdym razem, gdy tam przyjeżdżam. Kiedyś był to taki kameralny uniwersytet.

Mamy więc potężną Villa Salviati – naprzeciwko Badii, po drugiej stronie doliny – gdzie mieszczą się Wydziały Prawa i Historii. W budynku tym zlokalizowane są także historyczne archiwa Unii Europejskiej. W samym centrum Florencji, obok Piazza San Marco, mieści się zaś nowa część Instytutu, czyli School of Transnational Governance, której dyrektorem do niedawna był Alexander Stubb, obecnie prezydent Finlandii. Ta szkoła funkcjonuje zresztą trochę obok Instytutu, gdyż nie prowadzi studiów doktoranckich, lecz różnego rodzaju szkolenia oraz roczny program Global Executive Master o charakterze bardziej praktycznym niż teoretycznym.

Sam Instytut jest podzielony na cztery wydziały. Mamy więc Prawo, Historię, Nauki Społeczne i Polityczne oraz Ekonomię. Oprócz tego w strukturze Instytutu można znaleźć Robert Schuman Centre, które jest odpowiedzialne za badania aplikacyjne. Jest też wspomniana wcześniej School of Transnational Governance oraz Archiwum Historyczne Unii Europejskiej.

A jak się załatwia sprawy bytowe we Florencji?

Za moich czasów zdecydowana większość osób wynajmowała mieszkania w mieście. Instytut mieści się w małej miejscowości pod Florencją, w San Domenico di Fiesole, gdzie dojeżdża autobus z Florencji. Natomiast od kilku lat mamy nową, dosyć dobrą własną bazę bytową – akademiki. Są tam zarówno pokoje jednoosobowe, jak i lokale dla osób, które przyjeżdżają z rodzinami czy partnerami. Jest jednak taka tradycja, że nawet ci, którzy po przybyciu do EUI zaczynają mieszkać w akademiku, po jakimś czasie, gdy już poznają sytuację, przenoszą się do Florencji, która zapewnia znacznie więcej atrakcji, choćby w postaci restauracji, muzeów, obiektów sportowych, miejsc spacerowych.

Stypendium doktoranckie w wysokości 1600 euro wydaje się dość wysokim. Na ile to wystarcza we Włoszech?

Nie wystarcza na wynajęcie samodzielnego mieszkania we Florencji, gdyż niewiele by zostało na zaspokojenie pozostałych potrzeb. Jednak przy założeniu, że wynajmuje się mieszkanie wspólnie bądź mieszka w akademiku, da się za to przyzwoicie funkcjonować. Na uniwersytecie jest kafeteria, gdzie serwują doskonałą kawę za 60-70 centów. Dodam jeszcze, że doktoranci otrzymują specjalny dodatek na podróże do kraju oraz ubezpieczenie zdrowotne. Jeżeli przyjeżdżają z rodziną, to jest również dodatek na każdego jej członka.

Kto reprezentuje Polskę w Wysokiej Radzie European University Institute? Jaka jest pana rola w EUI?

Obecnie te obowiązki pełnię ja. Jestem ekspertem wynajętym przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego do reprezentowania naszego kraju w tej konkretnej organizacji międzynarodowej. W normalnych okolicznościach Polskę reprezentuje przedstawiciel ministerstwa. Gdy jednak przyszła nasza kolej na objęcie prezydencji w EUI, pojawiło się więcej bardziej specjalistycznej pracy. To już nie jest konieczność wyjazdu raz na pół roku do Florencji, Wysoka Rada spotyka się dwa razy w roku. Prezydencja wymogła pewne działania, dodała nam obowiązków. Właściwie obecnie muszę być tam co miesiąc. Teraz przyjeżdżam jako delegat polskiego rządu, natomiast jestem też absolwentem EUI oraz aktywnym naukowcem. My, naukowcy, jednak trochę inaczej podchodzimy do działania Instytutu niż urzędnicy państwowi, zwracamy uwagę na inne aspekty jego funkcjonowania, właśnie akademickie, czyli te, które merytorycznie go konstytuują. Jako absolwent rozumiem też jak to miejsce działa. Drugim przedstawicielem Polski w Radzie jest dr Jacek Mazur, specjalista pracujący w przeszłości w Najwyższej Izbie Kontroli, ale także były wykładowca akademicki, zatem łączy kompetencje urzędnicze i nadzorcze z akademickimi. Nadzór nad finansami Instytutu jest ważną częścią naszej prezydencji, zatem jego obecność w polskiej delegacji jest niezwykle pożądana.

Czy na czas naszej prezydencji w EUI przyjęliśmy na siebie jakieś szczególne zadania, bądź zobowiązania?

Poprzednia prezydencja austriacka zapoczątkowała prace nad reformami instytucjonalnymi EUI, w tym odnośnie do zasad współpracy z państwami spoza Unii Europejskiej, czyli takimi, które nie mogą być członkami Instytutu. Z naszego punktu widzenia najważniejsze są tu Ukraina i Mołdawia. Te działania oczywiście kontynuujemy. Chcemy też zapoczątkować formalną dyskusję o nierównościach geograficznych w EUI. Kadra akademicka Instytutu jest bowiem zdominowana przez wykładowców ze starej Unii. Stosunkowo mało jest osób aplikujących oraz zatrudnionych w Instytucie z krajów wideningowych. Należałoby to zmienić. To jest jeden z celów naszej prezydencji. Wspieramy też wdrażanie Programu Wideningowego i uczestniczymy merytorycznie w kształtowaniu jego treści. W jego ramach Instytut zakończył już nabór na program dla młodych naukowców, którzy chcieliby przyjechać na kilka miesięcy na Wydział Nauk Społecznych i Politycznych oraz dla doświadczonych naukowców w ramach specjalnej edycji programu Fernanda Braudela, który również umożliwia spędzenie kilku miesięcy we Florencji i prowadzenie własnych badań. Chcemy widzieć więcej naukowców z Polski w Instytucie. Chcemy też zwiększyć liczbę osób z naszego kraju aplikujących na studia doktoranckie i programy podoktorskie.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

European University Institute

W 1972 roku sześć państw, członków Wspólnot Europejskich: Belgia, Francja, Niemcy, Włochy, Luksemburg i Holandia, podpisało konwencję o powołaniu Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego. Umowa weszła w życie w 1975 roku. W następnym roku rząd włoski przekazał EUI pierwszy budynek, zabytkowy klasztor Badii Fiesolana, a studia rozpoczęło siedemdziesięciu pierwszych doktorantów. Infrastruktura Instytutu rozrastała się wraz z jego rozwojem. Obecnie dysponuje on trzynastoma budynkami przeznaczonymi na działalność merytoryczną oraz dwoma kompleksami mieszkalnymi.

Strukturę EWUI tworzy 7 jednostek akademickich: Wydział Prawa, Wydział Ekonomii, Wydział Historii, Wydział Nauk Społecznych i Politycznych, School of Transnational Governance, Centrum Roberta Schumana, Program Studiów Podoktorskich Maxa Weбера. W Villa Salviati mieszczą się Archiwa Historyczne Unii Europejskiej, powierzone Instytutowi w 1986 roku.

Obecnie (dane na rok 2022) kadre akademicką EUI stanowi 158 profesorów, 680 doktorantów oraz studentów na programach Master, 60 osób na programie podoktorskim Max Weber, 47 badaczy jako Jean Monnet Fellows i Fernand Braudel Fellows. Każdego roku studia doktorskie w EUI rozpoczyna ok. 160 osób. Pracownicy i studenci EUI reprezentują 96 krajów. Obecnie w kadrze Instytutu (pracownicy naukowcy, doktoranci, pracownicy administracji) jest ponad 60 osób z Polski. Do końca 2022 roku dyplomy Instytutu otrzymało 3321 absolwentów.

Pracownicy European University Institute realizują 13 grantów ERC. W 2022 pozyskali na badania 27,6 mln euro w postaci grantów zewnętrznych. Instytut podpisał 95 umów o współpracy międzynarodowej. W 2022 roku jego pracownicy opublikowali 1043 prac naukowych.

Umowę o współpracy pomiędzy polskim Urzędem Komitetu Integracji Europejskiej a EUI podpisano w 2000 roku, a zatem na cztery lata przed wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej. Otworzyło to perspektywę kształcenia doktorantów z naszego kraju we Florencji. Dalsze działania miały miejsce po naszej akcesji do UE. Konwencja o powołaniu Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego została ratyfikowana przez Polskę w 2005 roku. Tym samym staliśmy się oficjalnym członkiem Instytutu. Wkrótce pierwsi doktoranci z Polski pojawili się we Florencji. W styczniu 2024 roku Polska objęła prezydencję w Wysokiej Radzie EUI.

(p)



Phot. EUI

Od parametryzacji do degeneracji

Bez prawa powrotu!

W ostatnim czasie ukazało się wiele artykułów poświęconych systemowi oceny parametrycznej, która jest podstawą ewaluacji. Minister Maciej Gdula zapowiedział zmiany, zwłaszcza na liście czasopism. Panuje zgoda, że ewaluacja kuleje.

W tym tekście twierdzę, że ewaluacja nie tylko nie działa, ale i nie zadziała, mimo dobrej woli oraz możliwych modyfikacji. Co więcej, nie są temu winne ani lista czasopism i wydawnictw, ani też proporcje między poszczególnymi składowymi oceny. Co do zasady ta ocena została zaprojektowana błędnie i przynosi oraz będzie przynosić błędne rezultaty. W tej sytuacji zamiast pudrować trupa, należałoby niezwłocznie odpowiedzieć sobie na kilka prostych pytań, a następnie zbudować model, który będzie adekwatny do udzielonych (szczerze) odpowiedzi. Pozwolę sobie najpierw przedstawić faktyczne podstawy degeneracji systemu oceny, który nie spełnia trzech zasadniczych cnót: rozsądku, prostoty i transparentności. Zaczęę jednak od prowokacji.

Afera Collegium Humanum, dla wielu kwintesencja akademickiej i politycznej degrengolady, mimo że wydaje się bardzo daleka od systemu ewaluacji, znakomicie ilustruje, z czym tak naprawdę się mierzymy. Nie są to bynajmniej uczciwość, standardy naukowe i dydaktyczne, nawet nie są to kwestie zarządcze. Powiedzmy sobie wprost: nasz system społeczno-polityczny i gospodarczy nie różnicuje uczelni, a tym samym nie ma większego znaczenia, czy uzyskuje się dyplom MBA w Collegium Humanum, czy na SGH. Uogólnijmy tę sytuację i uzyskamy dziwny obraz systemu akademickiego, w którym z jednej strony obywatele, politycy czy przedsiębiorcy dowiadują się, że niektóre uczelnie są liderami kształcenia i badań, a z drugiej, niemalże w tym samym komunikacie, że nie jest ważne, w jakiej uczelni skończy się studia i robi doktorat czy uzyska stopień doktora habilitowanego. Co więcej, i to dotyczy już działania strony rządowej finansującej i nadzorującej sektor nauki i szkolnictwa wyższego, wyraźnie sformułowany jest następujący przekaz: kontrolujemy jakość kształcenia, promowania kadr, a także jakość badań naukowych. Nie trzeba tęgich umysłów, by dojść do wniosku, że jest to iluzja, do tego katastrofalna w skutkach, gdyż ma charakter błędnego rozpoznania natury życia akademickiego i potrzeb społeczno-politycznych oraz gospodarczych, w tym charakteru efektów kształcenia, prowadzenia

badania i oddziaływania na społeczeństwo i gospodarkę, a więc – chociaż egalitarności tego nie lubią – formowania elit.

Ośrodki naukowe i naukowo-dydaktyczne są osiągnięciami społeczeństwa, dzięki nim możliwe jest budowanie racjonalnej debaty w życiu społeczno-politycznym, porządkowanie przestrzeni administracyjnej, rozwój gospodarczy i związane z tym budowanie przewagi konkurencyjnej w wymiarze indywidualnym i społecznym. Są to narzędzia wyjątkowo kosztochłonne ze względu na specyfikę aktywności oraz wysoki stopień prawdopodobieństwa porażki. To zaś oznacza, że należy być niezwykle ostrożnym w formułowaniu zasad rządzących takimi instytucjami, by z jednej strony dostrzegać wartość w porażce, z drugiej zaś widzieć potencjały, dzięki którym wspólnota społeczna ma szansę rozwoju i zapewnione jest bezpieczeństwo związane z racjonalnością, która jest dobrem najwyższym środowisk akademickich i daje gwarancję stabilności wspólnoty społeczno-politycznej.

Nim przejdziemy do wynaturzeń systemu ewaluacji, jeszcze jedna uwaga. Czy możemy mieć w Polsce Oksford lub Harvard? Wielu odpowie: nie, ponieważ nie mamy wystarczających zasobów kadrowych i finansowych. Moja odpowiedź jest na antypodach tego myślenia. Właśnie możemy (!), lecz nie będziemy mieć, jeśli przestrzeń akademicka będzie tak zestrojona, jak obecnie, z tymi wszystkimi ograniczeniami, niby-zabezpieczeniami, pętaniami uczelni regulacjami, które uniemożliwiają swobodny i racjonalny rozwój, a tym samym realne zróżnicowanie. Właśnie różnice między uczelniami należy wydobyć i uczynić podstawą myślenia o całym systemie akademickim.

Wynaturzenia (litościwie tylko kilka)

Weźmy dwie dyscypliny, które dobrze znam: filozofię i prawo. Według ostatniej oceny parametrycznej w obu przypadkach w gronie ścisłych liderów jest Politechnika Warszawska. Nie mam nic przeciwko temu, ale zastanówmy się chwilę. Nawet jeśli przyjąć, że jest to uczelnia zainteresowana rozwojem naukowym w tych obszarach i chce uruchomić w przyszło-

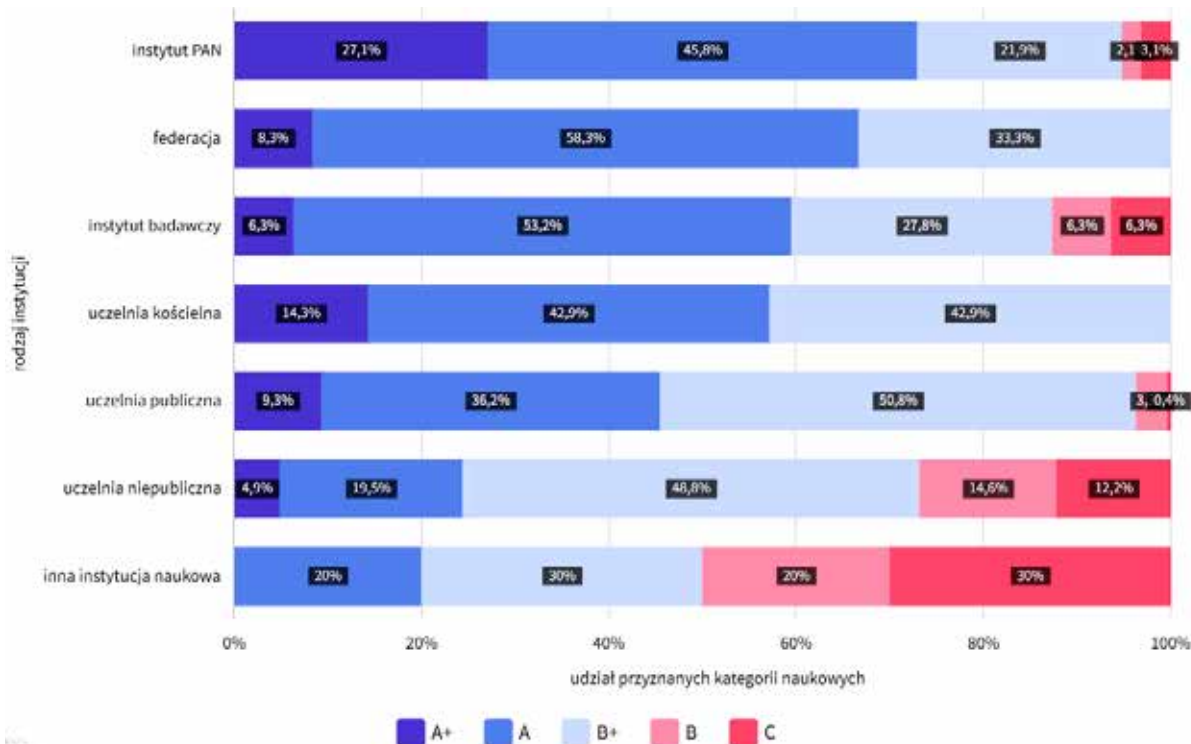
ści kształcenie na powiązanych z tymi dyscyplinami kierunkach (obecnie prowadzi kształcenie na kierunku administracja zarządcza), promować doktorów czy doktorów habilitowanych, to obecnie nie ma żadnej tradycji i tego nie czyni. Zatem PW zbudowała ośrodek badań w obszarze prawa i filozofii, zatrudniła (i wspinała!) fachowców, doskonale odczytała kryteria parametryzacji i pokazała, jak można osiągnąć wysoki wynik w oderwaniu od tego, czym w istocie jest uczelnia kształcąca filozofów i prawników. Moglibyśmy teraz skorzystać z innego przykładu, np. językoznawstwa czy literaturoznawstwa, które to dyscypliny promieniują na przykład w niektórych uczelniach zachodniej Polski, a niedomagają (według kryteriów parametryzacji) na jednym z najlepszych uniwersytetów w Polsce. Tutaj działa podobny mechanizm jak w przypadku Politechniki Warszawskiej. Liczba N (liczba pracowników uczelni deklarujących przynależność do danej dyscypliny) została tak ukształtowana na niektórych uczelniach, by uzyskać maksymalny efekt parametryzacyjny, gdy chodzi o dorobek publikacyjny. Oznacza to, że pracownicy byli przenoszeni na etaty dydaktyczne, zwalniano ich tym samym z wypełniania obowiązku publikacyjnego, i niwelowano przypadki N0, która to liczba jest niczym bicz boży na rozbudowaną kadrę akademicką w poszczególnych uczelniach. Inżynieria i manipulacja są zatem fundamentalnym wyzwaniem dla uczelni w przyszłej ewaluacji. Wszyscy to doskonale wiedzą.

Weźmy teraz listę czasopism. Czy minister Przemysław Czarnek uczynił coś niegodnego, umieszczając na liście takie pisma jak „Cement, Wapno, Beton” czy „Rocznik Teologii Katolickiej”, przypisując im 200 pkt. (na możliwe 200)? Chyba nie zaskoczę nikogo, jeśli powiem przekornie: nie uczynił niczego niegodnego, po prostu z wrodzonym sobie tupetem i dezynwolturą skompromitował system, który jest nie do obrony. Bo co tak naprawdę się stało w wyniku tej decyzji administracyjnej? Zostało wyraźnie powiedziane: system jest arbitralny i względny, a nie ufundowany na klarownych zasadach i absolutny. Odpowiedź na pytanie o jakość czasopism nie jest tożsama z odpowiedzią na pytanie o jakość badań prowadzonych

przez konkretnego naukowca, jak również jakość badań w danej jednostce. Więcej nawet, ten, kto tego nie dostrzega, w istocie popełnia dwa kluczowe błędy: 1) niewłaściwie rozpoznaje podstawę do oceny tak określonej jakości naukowej; 2) niewłaściwie widzi naukowców i nauczycieli akademickich.

Spór o listę czasopism jest jałowy i wcześniej czy później będzie prowadził do równie arbitralnej i względnej decyzji scedowania ostatecznego jej ukształtowania na grupę uczonych (szczególnie w naukach humanistycznych i społecznych) lub na bazy prywatnych firm, które zajmują się akumulacją i przetworzeniem informacji bibliometrycznej, a jednocześnie są to koncerny wydawnicze, które tworzą platformy do publikowania tekstów naukowych. I znów: w tym nie ma niczego zdrożnego i niewłaściwego. Tyle że trzeba sobie jasno powiedzieć: Czasopisma? Proszę bardzo! Bierzemy Scopus i dzielimy: pierwszy decyl – 200 pkt., drugi decyl 140 pkt., trzeci – 100 pkt., czwarty – 70, piąty – 40, pozostałe – 20 pkt. Czy to usunie patologię? Nie. To jedynie sprawi, że część czasopism wydawanych w Polsce zostanie zlikwidowanych, a tym samym przestrzeń komunikacji naukowej zostanie przeniesiona do innych czasopism będących w bazie Scopus. Czy to jest złe? Nie. To jest bardzo dobre, tyle że dobre w wymiarze, który dotyczy korelacyjnego i względnego systemu obiegu informacji naukowej, a nie systemu obiegu o charakterze bezwzględny i absolutny. Co to znaczy? Wyłącznie to, że jeśli czasopismo X, które wydawane jest w Polsce, miałoby się znaleźć w pierwszym decylnie bazy Scopus, musiałoby wykonać działania, które spowodują, że będzie spełniać korelacyjne kryteria obowiązujące w tymże decylnie. Każdy świadomy ilościowego przetwarzania informacji bibliometrycznej to wie, jak również wie, że takich czasopism z Polski, nie mówiąc o polskojęzycznych, może być zaledwie kilka. Minister Czarnek też to wiedział i wie, tak jak wie to minister Maciej Gdula.

Na koniec tej sekcji zabawna historyjka. Przewodniczący jednej z rad dyscyplin, które działają na moim uniwersytecie, zadumał się wielce nad niską produktywnością części członków tejże dyscypliny. W oczy zająrzało mu widmo iluś tam N0. Wpadł



Udział przyznanych kategorii naukowych według rodzaju instytucji w wyniku ewaluacji 2022 (źródło: OPI - PIB, baza RADON)

zatem na genialny pomysł, by porozmawiać z tymi Pustymi Słotami i w ten sposób wnieść ducha publikacyjnej produktywności. Zawezwał zatem jedno czy drugie N0 i tłumaczył dzielnice: Panie Pusty Slocie (Pani Pusta Slotko), bardzo mnie martwi to, że ma Pan/Pani cztery sloty do zapewnienia i wciąż nie od Pana/Pani nie uzyskałem, by pieczołowicie w tychże umieścić. No i nie trzeba dodawać, że te sloty mają być wypełnione tekstami za co najmniej dwie kopy ministerialnych punktów, byśmy z twarzą wyszli ze zbliżającej się ewaluacji. Nasze Enzera się zafrasowały, nawet wystraszyły, może po powrocie do biur i komputerów napisały jedno zdanie tego wiekopomnego tekstu, może nawet zaczynało się ono od: „W niniejszym artykule wykażę wyższość mojej koncepcji nad dotychczasowymi rozwiązaniami”. Może. W istocie poczuli się przedmiotami w maszynie, zdehumanizowanymi i niepotrzebnymi członkami wspólnoty akademickiej, która przecież ma wiele różnych zadań do wykonania. Poczuli się upokorzeni i stłamszeni. Brakowało tylko, by tenże przewodniczący rady dyscypliny miał przygotowany stosowny baner na szyję: „Jestem N0”, zakładał go nieszczęśliwemu/nieszczęsnicy i kazał paradować po uniwersytecie. Nie, do tego się nie posunął. Zrobił coś innego, zaczął opowiadać o tym, jakim bezsens jest zatrudnianie takiego człowieka. Tyle że o sensie lub bezsensie nie decyduje wypełnienie slotu, bo to niejedyna aktywność nauczyciela akademickiego (choć być może jedyna naukowca zatrudnionego na etacie badawczym).

Podsumowując: ocena parametryczna nie jest żadną ewaluacją jakości naukowej, lecz przetwarza informacje ilościowe, by stworzyć mapę produktywności konkretnej liczby członków danej dyscypliny. To nie ma wiele wspólnego z jakością, natomiast jest wielce podobne do pomieszania z poplątaniem. Liczba N wraz z tym obrzydliwym nowotworem językowym, slotem, jest podstawą tego pomieszania, które w istocie swojej chce pogodzić dwie sprzeczne strategie oceny: indywidualną oraz instytucjonalną. Dyscypliny są instytucjami, a badacze są konkretnymi osobami. Aż trudno uwierzyć, że nikt tego nie chce dostrzec. Już samo to powoduje, że pudrowanie trupa nie ma sensu.

Pudrowanie trupa

Skupmy się teraz na racjach, które pozwalają zrozumieć, dlaczego pudrowanie trupa/kosmetyka ewaluacji nic nie da. Ujmę te racje w dziesięciu punktach.

Racja 1. Lista czasopism dalej będzie miała charakter względny i arbitralny. To, że wróciliśmy do listy z kiedyś tam, niczego w tym nie zmienia. Pogłębia jedynie chaos. Pytanie dotyczy nie tego, czy uniknąć chaosu, bo tego się nie da uczynić, ale jak to zrobić, by szkody były jak najmniejsze. No więc szkody już są, a nikt i nic ich już nie usunie. Poza tym lista czasopism jest organizmem żywym, a więc to, co dzisiaj ma punktów 70, jutro może mieć 140, ale także 40. Arbitralność i względność mają to do siebie, że powodują wzrost niepewności w systemie. Będzie nam ona, co oczywiste, towarzyszyła zawsze, lecz nie oznacza to, że ma być podstawą do budowania realnego narzędzia wpływu. Tego właśnie należałoby uniknąć, a jak widać po działaniach ministerstwa, raczej uniknąć się nie da.

Racja 2. Publikacje w czasopismach i wydawnictwach ze światowej czołówki dalej będą incydentalne (tak w wymiarze indywidualnym, jak i całego systemu). Dlaczego? Ponieważ poziom konkurencyjności w tych periodykach jest niebotycznie wyższy niż w tych, które obsługują polską przestrzeń akademicką. I nie jest to kwestia znajomości języka angielskiego (bo to jest dzisiaj zupełnie bez znaczenia). Tu chodzi o to, że przy współczynniku odrzucenia na poziomie 98-99%, jak bywa w przypadku renomowanych czasopism naukowych, opublikowanie w nich czegośkolwiek graniczy z cudem. Czy to ma nas zwalniać z prób? Nie. Przeciwnie, należy je podejmować. Czy

to ma być podstawą systemu oceny? No chyba już jest jasne, że nie, bo takie postawienie sprawy doprowadzi do sytuacji, w której już dziś możemy powiedzieć: nikt niczego wartościowego nie publikuje. A czy to jest prawda? Nie jest to prawda. Powstają znakomite publikacje, które po prostu takie są, i to nie za sprawą decyzji redaktorów tych czy innych czasopism lub wydawnictw. Te czasopisma i wydawnictwa dodają prestiżu i pozwalają wyodrębnić grupę badaczy o wysokiej rozpoznawalności, za którą idzie najwyższa jakość naukowa i wybitność, ale to nie oznacza, że tej jakości i wybitności nie ma gdzie indziej.

Racja 3. System parametryczny całkowicie zagubił korelację między kształceniem a prowadzeniem badań, a co gorsza, petyfikuje model, który faworyzuje jeden typ aktywności. Zadajmy sobie dwa pytania: Czy badanie genomu wymaga uczestniczenia w procesie kształcenia? Naturalna odpowiedź brzmi: nie do końca. Czy badanie petroglifów (rysunków naskalnych) przez archeologów wymaga uczestniczenia w procesie kształcenia? Odpowiedź jest już bardziej złożona. Dlaczego? Ponieważ w tym drugim przypadku mamy do czynienia z istotnym składnikiem kultury materialnej i duchowej, która ma bezpośredni wpływ na kształtowanie w społeczeństwie wyobrażenia o historii, tradycji i wartościach, jakie nam przyświecają. Kształcimy archeologów po to, by mówili, najpierw studentom, potem całemu społeczeństwu, że relikty przeszłości są świadectwem vitalności naszej kultury i pozwalają z optymizmem myśleć o przyszłości. Oczywiście badacz genomu może powiedzieć, że przecież on też musi komunikować społeczeństwu swoje odkrycia, lecz w istocie rzeczy ta komunikacja jest zapośredniczona przez skomplikowane narzędzia matematyczne, dzięki którym wielokrotnie powtarzane eksperymenty czynią przynosić określone rezultaty naukowe i dopiero wówczas staje się to częścią procesu kształcenia, najczęściej po długim czasie.

Racja 4. Przyjrzyjmy się czemuś, co jest ledwo widoczne, a stanowi istotną okoliczność dla procesu ewaluacji: wszystkie nauki, poza humanistycznymi i częścią społecznych, mają to do siebie, że rezultat procesu badawczego jest osiągany za sprawą agregacji i koordynacji, a nie ściśle indywidualnego działania naukowego. Naukę robią konkretni naukowcy, ale rezultaty są gremialne. W humanistyce i części nauk społecznych (także matematyce) rezultaty osiągane są na gruncie indywidualnego zaangażowania, choć nierazko przy wsparciu osób trzech i instytucji. To zmienia dynamikę pracy naukowej, przygotowania publikacji oraz profil naukowca. System parametryczny wymusza gremialność rezultatu, ale nawet w najlepszych ośrodkach czy systemach akademickich nie udało się i nie uda osiągnąć dokładnie takich samych rezultatów w humanistyce, części nauk społecznych oraz reszcie nauk. Ze zrozumiałych względów powoduje to napięcia i generuje nowy spór fakultetów, by odwołać się do znanej pracy Immanuela Kanta. Rozwiązanie tego sporu i jego skutki są przed nami. Dziś warto jednak być ostrożnym, formułując te same zasady i oczekiwania wobec całego spektrum aktywności naukowej.

Racja 5. Przyjrzyjmy się pozyskiwaniu grantów, kolejnemu ważnemu wymiarowi ewaluacji. W październiku 2023 roku ukazał się na stronie NCN tekst, w którym prof. Zbigniew Błocki, dyrektor NCN, mówi o wskaźniku sukcesu w niektórych konkursach i jednocześnie wyraźnie zaznacza granice między przypadkowością sukcesu a systemowością. Ta granica przechodzi w obrębie współczynnika 20-25%, czyli na 100 złożonych wniosków finansowanych jest około 20-25. W wybranych (flagowych) konkursach NCN wskaźnik ten spadł dramatycznie, właściwie do poziomu nieakceptowalnego, bo przecież przy 12% (a są przypadki wartości poniżej 10%) trudno mówić o wiarygodnych procesach oceny i przyznawania środków. Nie mówimy przy tym o demotywacji, przekonananiu o bezsensie składania wniosków

(to pracochłonna czynność) czy identyfikowaniu swojej jakości z systemem ewaluacji proponowanym przez tę czy inną instytucję finansującą badania. Nawet jeśli przyjrzymy się innym agencjom, to sytuacja radykalnie się nie poprawia, bo na przykład w European Research Council konkurencyjność niewyobrażalnie wzrasta, a wskaźnik sukcesu dramatycznie maleje.

Do czego to prowadzi? Do tworzenia mechanizmów zastępczych, modeli finansowania, które udają wsparcie badań, a faktycznie powodują formowanie spółdzielni, kół wzajemnej adoracji i błędnego koła w przyznawaniu finansowania: finansuje się tych, którzy już zdobyli finansowanie. Czy to istotnie decyduje o jakości polskiej nauki? To pytanie retoryczne, proszę nie próbować na nie nawet odpowiadać, bo z gruntu prowadzi do paradoksów. NCN jest bardzo potrzebne. Określa zasady, na mocy których środki są przyznawane, pilnuje standardów, pozwala środowisku formułować własne dezyderaty dotyczące wartości naukowych. Jednocześnie nie jest to żaden rebis zmieniający miód w złoto. Takiego magicznego kamienia nie ma żaden system i nigdy mieć nie będzie.

Racja 6. Przyjrzyjmy się kryterium wpływu. Gdybyśmy się przyjrżeli temu, jakie dane zostały wprowadzone przez uczelnie, mogłoby się okazać (lepiej jednak nie zaglądać), że jest to kryterium do pewnego stopnia fikcyjne. Dlaczego? Ponieważ zwrócono jedynie uwagę na to, jak aktywność badawcza i badawczo-rozwojowa bezpośrednio przekłada się na gospodarkę i społeczeństwo. Jest to całkowite nieporozumienie, bo główna misja uczelni (a nie jednostek badawczych!) polega na zrównoważonej aktywności związanej z badaniami i kształceniem, a to oznacza, że wpływ na społeczeństwo mierzony może być także pośrednio, np. poprzez liczbę absolwentów danego ośrodka zatrudnionych w różnych obszarach gospodarki, ich osiągnięć, oddziaływania społecznego, politycznego etc. Można też z łatwością wykazać fakt, co całkowicie pominięto, że wpływ fundamentalny związany jest z przygotowaniem do aktywności naukowo-dydaktycznej kadry o najwyższych kwalifikacjach, a więc doktorów i doktorów habilitowanych. Czyż nie jest to wpływ? Jest. Dlaczego go nie ma w trzecim kryterium ewaluacji? Jak się wydaje, powód jest prozaiczny, „bo zaraz wszystkie uczelnie zaczęłyby nadawać doktoraty i habilitacje”. Ten argument zdradza podstawę do racji fundamentalnej, dlaczego pudrowanie aktualnego modelu ewaluacji nie przyniesie oczekiwanych rezultatów.

Racja 7. System jest oparty na negatywnych przesłankach dotyczących polskiego środowiska naukowego. Po pierwsze, że jest naukowo na niskim poziomie. Po drugie, że co do zasady nie posiada żadnego etosu. Po trzecie, że jest zbyt liczne. Po czwarte, że przy relatywnie niskim poziomie wynagradzania kadry krytycznej dla procesu badawczo-dydaktycznego (doktorów i młodych doktorów habilitowanych) i tak musi pracować na wiele etatów i w związku z tym nie będzie miała czasu na pracę naukową w sensie ścisłym. Po piąte wreszcie, że wydatkowane środki publiczne na naukę i kształcenie akademickie są zbyt wysokie w stosunku do aspiracji społeczeństwa i polityków – żadnych Nobli, Medali Fieldsa, spektakularnych osiągnięć i sukcesów.

Jeśli sprowadzimy te wszystkie przesłanki do wspólnego mianownika, okaże się, że mamy do czynienia z systemem niskiego zaufania, kwestionowania zasadności aktywności naukowo-dydaktycznej, a tym samym zaspokajania przez środowisko akademickie fundamentalnych potrzeb społeczeństwa. Stąd bierze się brak faktycznego uznania różnicy między dyplomem MBA Collegium Humanum oraz jednej z głównych uczelni ekonomicznych w Polsce czy dyplomem ukończenia studiów na uczelni dzisiaj chętniej się wysoką oceną parametryczną oraz głównymi uczelniami w Polsce (na marginesie: ta teza dotyczy także relacji między tymi uczelniami a najbardziej prestiżowymi ośrodkami zagranicznymi). Zmienić ten stan rzeczy można tylko i wyłącznie metodami radykalnymi, a nie pudrowaniem trupa. O tym jednak w kolejnej sekcji.

Racja 8. Spójrzmy teraz na tabelę z wagami poszczególnych kryteriów ewaluacji. To jest cudenka i cacko całego systemu. Popatrzmy na poszczególne dziedziny nauki i zobaczymy, jak „wyceniono” poszczególne kryteria. Porównajmy nauki humanistyczne, społeczne i teologiczne (jeden koszyk) z inżynieryjnymi, technicznymi i rolniczymi (drugi koszyk). Sformułujmy najpierw pytanie: W jakim celu na uczelniach technicznych i rolniczych prowadzi się kierunki kształcenia, które powiązane są z dziedziną nauk inżynieryjnych, technicznych i rolniczych? Weźmy informatykę albo dla większej wyrazistości technologię żywności. Jest oczywiste, że kształcą się studenci po to, by nauczyć ich konkretnych umiejętności związanych z danym obszarem problemowym, który ma ściśle określony charakter. Innymi słowy, uprawianie nauki w tej dziedzinie korzysta w dużej części z badań podstawowych, a jeśli nawet nie, to ma charakter opracowywania rozwiązań technologicznych. Spójrzmy teraz do tabeli. Widzimy w niej, że poziom pracy naukowej oszacowany jest na 50%, czyli wyniki aktywności naukowej są brane w całej puli ewaluacyjnej jedynie w połowie. Do rangi kryterium rozstrzygającego urasta drugie kryterium: efekty finansowe prowadzenia badań naukowych lub prac rozwojowych, które stanowi 35% całej puli. Można pomyśleć: nie jest źle. No to teraz popatrzmy na wpływ na społeczeństwo i gospodarkę. Tutaj mamy wartość 15, a więc przy założeniu, że to są wyłącznie bezpośrednie efekty wpływu, można rzec, że rzeczywiście składa się to w jedną całość. Prawda jest zgoła inna. Wpływ na gospodarkę i społeczeństwo ma charakter fundamentalny, ponieważ źle wykształceni inżynierowie to potężne zagrożenie, które uniemożliwia faktyczny rozwój gospodarczy i techniczny państwa. Wystarczy zadać sobie wyjściowe pytanie, by stwierdzić, że źle określony efekt wpływu w istocie rzeczy zaburza obraz tego, co poddajemy ocenie.

Kryterium oceny	Waga kryterium [%]			
	Dziedziny nauk: humanistycznych, społecznych i teologicznych	Dziedziny nauk: ścisłych i przyrodniczych oraz medycznych i nauk o zdrowiu	Dziedziny nauk: inżynieryjno-technicznych oraz rolniczych	Dziedzina sztuki
K1: Poziom naukowy	70	60	50	80
K2: Efekty finansowe	10	20	35	-
K3: Wpływ na społeczeństwo i gospodarkę	20	20	15	20

Slajd z prezentacji prof. Błażeja Skoczenia

Teraz czas na nauki humanistyczne, społeczne i teologiczne. Pominę milczeniem dorzucenie do koszyka tej ostatniej nauki, bo uważam, że albo jest nauką humanistyczną, albo nie jest żadną nauką; ale to na marginesie. Zaczniemy od pytania: Jaką rolę spełniają w systemie akademickim nauki humanistyczne, społeczne i teologiczne? To nie jest trudne pytanie. Odpowiedź na nie jest dosyć banalna. Przyczyniają się do pogłębionego zrozumienia wieloaspektowej aktywności człowieka w wymiarze indywidualnym i ponadindywidualnym. Takie zrozumienie określa naszą tożsamość, daje podstawę do rozpoznania mechanizmów działania społeczeństwa, polityki, administracji, a tym samym wprowadzenia szeregu usprawnień. Tego rodzaju rozumienie wreszcie stanowi podstawę do tego, by kształcić następne pokolenia, określać ramy debaty publicznej, cywilizować afektywny wymiar funkcjonowania ludzi w wymiarze publicznym, kreować dalekosiężne cele dla społeczeństwa i państwa oraz dobierać do nich środki. Wreszcie pozwala na to, by członkowie wspólnoty społecznej, politycznej i gospodarczej mieli swoich liderów, za którymi mogliby podążać i żeby byli to liderzy odpowiedzialni, gotowi do pogłębionej refleksji i przyjęcia argumentów, znajdując dla wspólnoty najlepsze rozwiązania palących problemów.

No dobrze, to teraz popatrzmy na kryteria oceny zawarte w tabeli. Wynika z nich, że poziom naukowy prowadzonych badań (kryterium 1) określony jest na 70%, efekty finansowe badań lub prac rozwojowych – 10%, a wreszcie wpływ na 20%. Od razu zróbmy szach-mat i dodajmy, że w dziedzinie nauk przyrodniczych i ścisłych oraz medycznych i o zdrowiu kryterium pierwsze określone jest na 60% (sic!), a efekty finansowe oraz wpływ po 20%. Takie postawienie sprawy może wskazywać na: 1) chęć zmotywowania kadry należącej do dziedzin nauk humanistycznych, społecznych i teologicznych do zwiększenia efektywności w obszarze wysoko punktowanych publikacji; 2) ministerstwo szacuje tę grupę naukowców i nauczycieli akademickich na zbyt liczną, a tym samym za pomocą tak ustalonego kryterium ma zamiar wyrzucić wpływ na jej ograniczenie rękami kierownictwa uczelni; 3) ktoś w ministerstwie i KEN błędnie rozpoznał status tych dziedzin nauk (zwłaszcza w powiązaniu z dziedzinami nauk przyrodniczych i ścisłych oraz medycznych i o zdrowiu).

Co jest tak w przypadku tak określonych proporcji w kryteriach ewaluacji? Po pierwsze, całkowicie niezrozumiałe jest to, jakimi przesłankami kierowało się ministerstwo i KEN w odniesieniu do wyznaczania tych proporcji w poszczególnych koszykach dziedzin. Po drugie, w odniesieniu do koszyka nauk humanistycznych, społecznych i teologicznych nastąpiło przewartościowanie kryterium pierwszego, natomiast w przypadku nauk przyrodniczych i ścisłych oraz medycznych i o zdrowiu niedowartościowanie tegoż kryterium. Więcej nawet, takie postawienie sprawy prowadzi do całkowitego niezrozumienia tego, że istotą aktywności w przypadku nauk ścisłych i przyrodniczych (mniej nauk medycznych i o zdrowiu) jest zespolona działalność badawcza, podczas gdy w przypadku nauk humanistycznych, społecznych i teologicznych balans między badaniami a kształceniem i oddziaływaniem na społeczeństwo i gospodarkę za pomocą narzędzi dydaktycznych i formacyjnych. Po czwarte, całkowicie gubi się to, że w przypadku nauk humanistycznych, społecznych i teologicznych zasadniczy wymiar misji badawczej w przeważającej mierze powiązany jest z aktywnością indywidualną. Po piąte, tak ukształtowane proporcje popychają nauki humanistyczne, społeczne i teologiczne do tego, by odstąpiły, przynajmniej częściowo, od swojej funkcji oddziaływania poprzez kształcenie.

Racja 9. Zadajmy sobie pytania bardzo praktyczne: Ile osób jest zatrudnionych przy ewaluacji (na uczelniach, gdzie przygo-

towywane są dane), w ministerstwie, KEN, gdziekolwiek? Jaka jest skala wydatkowanych środków (w różnych formach, w tym także na postępowania przed sądami)? Jaka jest skala oddziaływania ewaluacji przy spłaszczonych wynikach i niejasnych konsekwencjach, które w istocie rzeczy (jak w przypadku szkół doktorskich) są nic nieznaczące? Jaka jest wymierna wartość ewaluacji dla środowisk naukowych, gdy okazuje się, że filozofia z UJ czy UW ma tę samą kategorię, co z PW czy uczelni regionalnej, która swój wynik uzyskuje środkami, o których już pisaliśmy? Jakie są skutki psychologiczne i społeczne ewaluacji, w tym szafowanie liczbą N0, określanie pracowników naukowo-dydaktycznych w kategoriach slotów, widzenie aktywności naukowej jednowymiarowo? Obawiam się, że odpowiedzi na te pytania są potężnym wyzwaniem dla decydentów, ale też samego środowiska akademickiego, które ma głębokie poczucie krzywdy (choćby poprzez długoletnie zaniedbania w finansowaniu), przy ciągłej inkryminacji, że jego członkowie są darmozjadami, których społeczeństwo nie potrzebuje. Czy system ewaluacji to zmieni? Nawet nie chce mi się odpowiadać.

Racja 10. No i wreszcie deser. Przypuśćmy na chwilę, że zostanie zmienione to czy tamto w kryteriach ewaluacji, na nowo zbudowana lista czasopism i w ogóle całe środowisko uzna, że wszystko już jest dobrze. Uzna tak dla świętego spokoju, bo w tej chwili jest już tak zmęczone ciągłym grzebaniem przy różnych aspektach funkcjonowania nauki, że najwzyczajniej albo popadnie w apatię, albo będzie czynnie sabotować (np. poprzez szukanie dróg obejścia) kolejne pomysły ministerstwa i powiązanych z nim ciał. To są potężne wydatki psychologiczne i społeczne, o których ministerstwo w ogóle nie myśli, wychodząc pewnie z założenia, że skoro płaci, to wymaga.

Zamiast zakończenia, czyli po co w ogóle ewaluacja?

Powyższe pytanie jest fundamentalne dla całego systemu oceny. Od razu ciśnię się nam na usta: po to, by ograniczyć zatrudnienie, weryfikować, sprawdzać, określać, wykazywać nieprzydatność etc. Każdy może sobie podstawić wyrażenie, które najlepiej oddaje intencje zawarte w pytaniu. Zostawmy to, przejdźmy do kwestii naprawę ważnych i spróbujmy rzetelnie odpowiedzieć na wyjściowe pytanie. Ujmijmy zasadność ewaluacji w postaci pięciu parametrów: 1) podstawy finansowania; 2) podstawy do udzielania uprawnień; 3) podstawy wewnętrzznego zróżnicowania systemu; 4) podstawy zróżnicowania prestiżu i 5) podstawy dla społecznej, gospodarczej i politycznej przydatności uczelni. Zasadne pytanie brzmi: czy obecny system oceny zadość czyni tym pięciu parametrom. Otóż nie. Dlatego należy do ewaluacji podejść zupełnie inaczej, ale to jest temat na inny artykuł.

Podsumowując: systemy ewaluacyjne nigdy nie będą doskonałe, ale na pewno muszą odpowiadać na konkretne zapotrzebowanie. Nasz nie odpowiada na nic. Trzeba też sobie jasno powiedzieć, że doskonałość naukowa i doskonałość dydaktyczna nie są i nie będą rozsiane po systemie akademickim w takim samym stopniu i po równo. Oznacza to, że należy pogodzić się z tym, że w dużych, silnych ośrodkach będzie jej więcej, a w mniejszych będą jedynie wyspy doskonałości dydaktycznej i naukowej, co powinno znaleźć swój wyraz w rzetelnych i transparentnych rankingach. Wreszcie, jeśli chcemy mieć prestiż społeczny uczelni oraz wewnętrzny, na potrzeby nas samych, członków wspólnoty akademickiej, to po prostu pogódźmy się z tym, że ograniczenia (w różnych obszarach) muszą być zdjęte, a jednocześnie uczelnie muszą czuć, że zawierają faktyczny kontrakt ze społeczeństwem, studentami oraz kadrami.

Dr hab. Sebastian Kołodziejczyk, prof. UJ, Instytut Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie

Roman Niestroj

Gdzie się podzielała nauka o biznesie?

Kogo kształcimy na kierunku zarządzanie? Z praktycznego punktu widzenia w ogólnym ujęciu kształcimy potencjalnych przedsiębiorców, a w zależności od kierunkowych specjalności są to księgowi, analitycy finansowi, marketerzy, handlowcy, logiści, HR-owcy, organizatorzy produkcji oraz wiele innych nowych specjalności.

Już z górą pięć lat polska nauka i szkolnictwo wyższe funkcjonują w warunkach stworzonych przez reformę wprowadzoną ustawą z dnia 20 lipca 2018 roku. Jedną z ważniejszych zmian dotyczyła rekonstrukcji klasyfikacji dziedzin i dyscyplin naukowych. Regulację tę poprzedziła ożywiona dyskusja w środowisku naukowym, której pokłosie odnajdujemy w licznych publikacjach z tego okresu. (m.in. *Ewolucja nauk ekonomicznych – Jedność a różnorodność, relacje do innych nauk, problemy klasyfikacyjne*, red. Marian Gorynia, Polska Akademia Nauk, Warszawa 2019 r.). Pięć lat to dostatecznie długi czas, aby zaobserwować zamierzone i niezamierzone następstwa zmiennej klasyfikacji. W sposób szczególny zmiany te dotknęły dziedziny nauk ekonomicznych, którą po prostu zlikwidowano, zaś wchodzące w jej zakres dyscypliny w zmodyfikowanej formie włączono bezpośrednio do dziedziny nauk społecznych. W wykazie dyscyplin nauk społecznych ekonomia i finanse znajdują się na miejscu pierwszym, zaś nauki o zarządzaniu i jakości na miejscu szóstym. Odległość ta, aczkolwiek wynikająca wyłącznie z porządkowania alfabetycznego, symbolicznie ukazuje pogłębiającą się przepaść pomiędzy obiema dyscyplinami wywodzącymi się z wspólnego pierwiątka nauk ekonomicznych. Szczególnie w odniesieniu do nauk o zarządzaniu i jakości skutkuje to nie tylko kryzysem tożsamości tej dyscypliny, lecz przede wszystkim wywiera znaczący wpływ na zakres przedmiotowy i metodykę prac badawczych, a w konsekwencji także na programy kształcenia realizowane w tak szeroko i niejednoznacznie zakreślonej dyscyplinie. W szczególności dostrzegalne są następujące niepokojące zjawiska:

1. Rozluźnienie związków nauk o zarządzaniu z mikro- i makroekonomią.
2. W badaniach przedsiębiorstw osłabienie nurtu poznawczego na rzecz podejścia normatywnego.
3. W obszarze metodologii badań zdecydowane przesunięcie w kierunku metod typowych dla badań społecznych (ankietyzacja, wywiady), kosztem analizy i wnioskowania na podstawie danych pochodzących z pomiarów rzeczywistych wielkości ekonomicznych.

4. Przyjęta w środowisku nauk o zarządzaniu klasyfikacja subdyscyplin pomija całkowicie niektóre subdyscypliny biznesowe (np. rachunkowość przedsiębiorstw, inwestycje, ekonomika handlu) lub uwzględnia jedynie ich aspekt zarządczy (zarządzanie marketingiem, zarządzanie logistyką itd.). Struktura ta w niewielkim stopniu sprzyja profilowaniu specjalności studiów odpowiednio do rzeczywistej struktury zatrudnienia w zawodach biznesowych.

Uniwersytety, kupcy, inżynierowie

Zastanawiając się nad sposobami powstrzymania negatywnych skutków ostatniej rekonstrukcji nauk ekonomicznych, warto przypomnieć, że nauki te wywodzą się z trzech różnych źródeł. Najstarszym są uniwersytety, gdzie w ramach rozważań filozoficznych mieściło się między innymi poszukiwanie prawdy „o naturze i przyczynach bogactwa narodów”. Dzieło Adama Smitha zapoczątkowało nowożytną ekonomię. Na uniwersytetach kształtowały się także zręby prakseologii, ogólnej teorii organizacji i kierowania oraz socjologii organizacji, do których odwołuje się współczesna nauka o zarządzaniu.

Drugim źródłem nauk ekonomicznych okazały się, na przełomie wieków XIX i XX, aspiracje i potrzeby edukacyjne środowiska kupieckiego. W tym okresie w Europie i Stanach Zjednoczonych powstawały uczelnie zawodowe o profilu handlowym lub biznesowym skupiające się na praktycznych aspektach działalności gospodarczej, takich jak: ekonomika handlu, towaroznawstwo, rachunkowość i finanse przedsiębiorstw, statystyka, ekonomika i organizacja przedsiębiorstw, geografia gospodarcza. Większość tych uczelni, w tym także najstarsze polskie uczelnie handlowe, takie jak ponadstuletnia Szkoła Główna Handlowa czy blisko stuletni Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie, z czasem osiągnęły status w pełni akademickich szkół wyższych o profilu ekonomicznym. Również wiele renomowanych zachodnich szkół biznesu wywodzi się z tego nurtu rozwoju edukacji ekonomicznej. Warto w tym miejscu wymienić czołowych ekonomistów Harvard Business School, takich jak Theodore Levitt czy Michael Porter.

Trzecie źródło nauk ekonomicznych odnajdujemy w środowisku inżynierów dynamicznie rozwijającego się w tym samym okresie przemysłu. Wybitni absolwenci uczelni technicznych zajmując odpowiedzialne stanowiska kierownicze, łączyli wiedzę technologiczną z troską o wydajność pracy. Wystarczy przypomnieć tu takie nazwiska jak Fryderyk W. Taylor czy Henri Fayol, a z polskich inżynierów Karol Adamiecki. Naukowe podejście do pracy fizycznej, a także administracyjnej zaowocowało wprowadzeniem w krąg nauk ekonomicznych takich dyscyplin jak nauka o organizacji pracy i kierownictwa, badanie metod pracy, ergonomia, naukowe zarządzanie oraz wiele innych pól badawczych, często zazębiających się z innymi dyscyplinami naukowymi.

W krajach zachodnich, w wyniku łączenia wymienionych trzech nurtów w różnych konfiguracjach przedmiotowych i metodologicznych, ukształtował się w obrębie nauk społecznych współczesny zakres nauk ekonomicznych w formule „economics and business”. Łączy ona dwie dyscypliny różniące się przede wszystkim podejściem metodologicznym, a częściowo także zakresem przedmiotowym badanych procesów i struktur gospodarczych. Polem wspólnym mikroekonomii i biznesu jest gospodarka przedsiębiorstw, z tą różnicą, że ekonomiczna teoria przedsiębiorstwa głównie opiera się na podejściu dedukcyjnym, z zastosowaniem licznych założeń upraszczających rzeczywistość, aksjomatów i modelowania ekonometrycznego, natomiast teoria biznesowa odwołuje się do empirycznych źródeł badania zróżnicowania form i wielkości podmiotów gospodarczych, ich pozycji rynkowej i zasad gospodarowania.

Wspomniane wcześniej ekonomiczne motywy zainteresowania badaczy organizacją pracy i zarządzaniem w sposób naturalny również ten zakres badań lokowały w dyscyplinie nauki o biznesie. Jednakże wraz z postępującą profesjonalizacją zarządzania korporacjami, między innymi w wyniku przekazywania władzy przez właścicieli firm zawodowym menedżerom, zarządzanie biznesem zaczęło wyodrębniać się jako trzecia dyscyplina nauk ekonomicznych, skupiająca uwagę na zarządzaniu strategicznym, organizacyjnych aspektach korporacji gospodarczych, a z czasem organizacji w ogóle.

Biorąc powyższe pod uwagę, można założyć, że współcześnie dziedzinę nauk ekonomicznych tworzą trzy częściowo zachodzące na siebie dyscypliny: ekonomia – nauka o biznesie – nauki o zarządzaniu (Rys. 1.). W obrębie tak zakreślonej triady nauk ekonomicznych można pozycjonować rozmaicie definiowane subdyscypliny oraz interdyscyplinarne, indywidualnie zakreślane pola badawcze, z uwzględnieniem także powiązanych

dyscyplin zewnętrznych w stosunku do nauk ekonomicznych, takich jak matematyka, informatyka, socjologia, psychologia, prawo i inne.

Ekonomia bez rynku i problemy z biznesem

W Polsce, wskutek drugiej wojny światowej i jej następstw politycznych, proces wykształcania się nauk ekonomicznych został przerwany na pięćdziesiąt lat. W momencie przywrócenia gospodarki rynkowej proces ten rozpoczął się niejako od nowa, w oparciu o stan początkowy ukształtowany w okresie PRL. Należy tu wskazać przede wszystkim narosłe w tamtym okresie ilościowe i jakościowe dysproporcje pomiędzy potencjalnymi naukowymi poszczególnych dyscyplin i specjalności. Stosunkowo największe możliwości rozwoju istniały w dyscyplinach w niewielkim stopniu ograniczanych czynnikami ustrojowo-politycznymi, takich jak tzw. metody ilościowe czy ogólna teoria organizacji i zarządzania, organizacja pracy itp. Natomiast gorsze warunki rozwoju miały dyscypliny ściśle ekonomiczne. W gospodarce socjalistycznej utraciły one podstawowe pole badawcze w postaci wolnego rynku i samodzielnego przedsiębiorstwa, a także możliwości pomiaru rzeczywistych wielkości ekonomicznych z użyciem pieniądza jako miernika wartości. Do tej grupy dyscyplin, oprócz makro- i mikroekonomii, należała nauka o biznesie, przede wszystkim w zakresie takich specjalności jak marketing, rachunkowość i finanse przedsiębiorstw czy analiza finansowa.

W momencie przystąpienia do gruntownej restrukturyzacji nauki i szkolnictwa ekonomicznego w naszym kraju nauka o biznesie nie istniała ani jako samodzielna dyscyplina naukowa, ani jako subdyscyplina ekonomii. Co więcej, wśród przedstawicieli szybko odradzających się subdyscyplin biznesowych często brakowało poczucia przynależności do tej dyscypliny. Reformując bowiem nauki ekonomiczne, początkowo

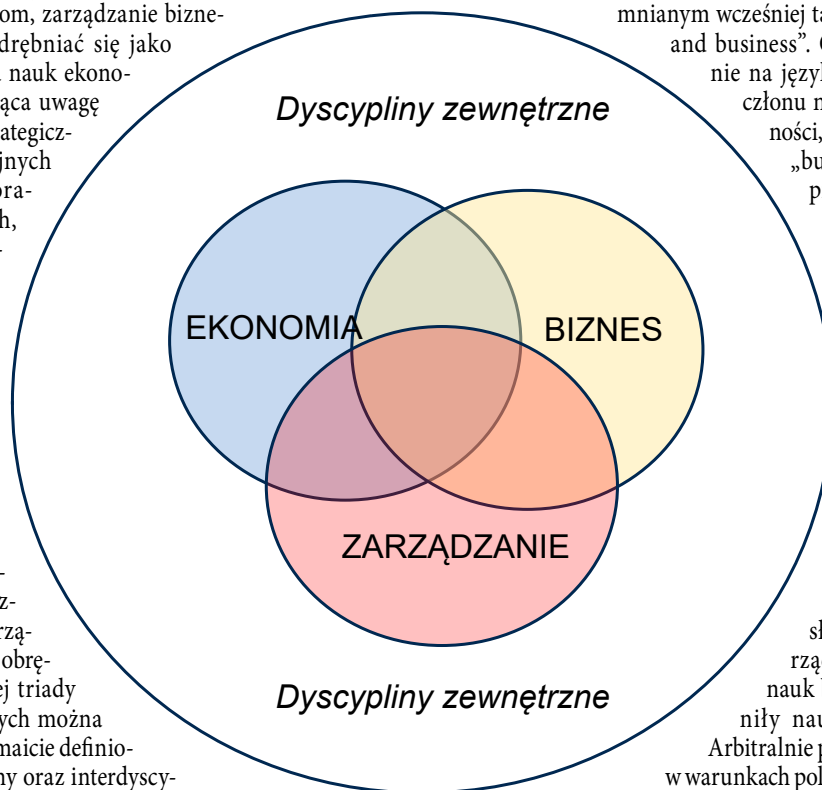
założono oparcie się na wzorcu zachodnim, wspomnianym wcześniej tandemie „economics and business”.

O ile przetłumaczenie na język polski pierwszego członu nie nastroczało trudności, to adaptacja terminu „business” okazała się problemem. Widocznie

w owym czasie w wyobraźni autorów reformy jeszcze nie mieściło się proste tłumaczenie „business” na biznes, mimo że w przedwojennej literaturze ekonomicznej ten termin już funkcjonował. Lukę wynikającą ze słabości dopiero tworzącego się środowiska nauk biznesowych wypełniły nauki o zarządzaniu.

Arbitralnie przyjęto założenie, że w warunkach polskich nauka w obszarze „business” jest równoznaczna z dyscypliną „nauki o zarządzaniu”.

W rezultacie zakres nauk o zarządzaniu uległ znacznemu i do końca niesprecyzowanemu rozszerzeniu. Tymczasem



Rys. 1. Triada nauk ekonomicznych



Rys. Sławomir Makal

w istocie pola badawcze zarządzania i biznesu pokrywają się tylko częściowo. Domeną zarządzania jest świat organizacji, którego znaczną część, ale niejedyną, stanowią organizacje gospodarcze. Z drugiej strony należy zauważyć, że działalność gospodarczą niekoniecznie trzeba prowadzić w formie wieloosobowej, zorganizowanej instytucji. Trudno bowiem, bez intelektualnej ekwilibrystyki, uznać za takowe mikroprzedsiębiorstwa oraz małe firmy rodzinne, które – jak wiadomo – stanowią znaczącą część gospodarki narodowej. Ponadto kategoria „biznes” jako obiekt badań obejmuje także studia sektorowe w obrębie poszczególnych gałęzi i branż gospodarki narodowej. W gospodarce rynkowej tak wyodrębnione obiekty badawcze nie mieszczą się w klasie organizacji, których elementy są powiązane zależnościami typu zarządczego. Nieuprawnione zatem jest twierdzenie, że nauka o biznesie mieści się w całości w ramach nauk o zarządzaniu. Jako przejaw wątpliwości co do zakresu przedmiotowego nauk o zarządzaniu można potraktować początkowy częściowy kompromis w nazwie wiodącego dla tej dyscypliny kierunku studiów. Najpierw przyjęto nazwę „zarządzanie i marketing”. Jednakże po kilku latach odrzucono drugi człon, bezpodstawnie argumentując, że nauka o marketingu jest subdyscypliną nauk o zarządzaniu.

Brak nauki o biznesie jako odrębnej dyscypliny wkrótce objawił się odejściem od dwuczłonowego modelu klasyfikacji nauk ekonomicznych. Rachunkowość i finanse przedsiębiorstw połączono z finansami publicznymi i wyodrębniono jako trzecią dyscyplinę – „finanse”. Również towaroznawstwo wywodzące się z nauk handlowych, a nijak nieprzystające do zarządzania, wydzielono jako odrębną, czwartą dyscyplinę w dziedzinie nauk ekonomicznych. Mimo sygnalizowanych powyżej niekonsekwencji takiego podziału dyscyplin ekonomicznych elementem pozwalającym omijać rafy klasyfikacyjne była ich przynależność do wspólnej dziedziny nauk. Ostatnia reforma likwidując dziedzinę nauk ekonomicznych, zerwała spinającą je klamrę. Wskutek specyficznego polskiego zdefiniowania nauk o zarządzaniu oraz ich włączenia bezpośrednio do nauk społecznych, naukę o biznesie formalnie

wyjęto z zakresu nauk ekonomicznych. Wynikające z tego zamieszanie ujawnia się między innymi przy okazji afiliowania przewodów doktorskich i habilitacyjnych w zakresie poszczególnych subdyscyplin ekonomicznych. Dotyczy to między innymi tematów w zakresie marketingu, rachunkowości i analizy finansowej, ekonomiki pracy, które w zależności od bliżej niesprecyzowanych kryteriów zaliczane są albo do ekonomii, albo do nauk o zarządzaniu. Często zupełnie bezpodstawnie czynnikiem rozstrzygającym o zaliczeniu rozprawy do nauk o zarządzaniu jest występowanie w tytule pracy słowa „zarządzanie”.

Kogo kształcimy?

Innym następstwem omawianej zmiany klasyfikacji dyscyplin jest możliwość zakwestionowania podstawy formalnej do identyfikacji kwalifikacji badaczy i absolwentów niektórych specjalności biznesowych. Poprzednio jeśli ktoś zajmował się np. przedsiębiorczością lub marketingiem, miał podstawy uważać się za ekonomistę i odpowiednio przyporządkowywać swój profil zawodowy i dorobek naukowy. Natomiast obecnie formalnie brak podstawy do takiej identyfikacji, przy czym nie wiadomo, jakim określeniem można by ją zastąpić. W powszechnym rozumieniu – ograniczając się do przykładów z dziedziny nauk społecznych – z grubsza wiadomo, co/kto kryje się za terminami takimi jak: geograf, politolog, prawnik, socjolog, pedagog, psycholog. Dla nauk o zarządzaniu i jakości nie znajdujemy analogicznego, powszechnie akceptowanego terminu. Stosowanie w tym przypadku określeń „zarządca” lub „menedżer” byłoby nadużyciem, jako że terminy te oznaczają funkcję, a nie profil kompetencji zawodowych. Dodać należy – funkcję, do której, jak wykazuje praktyka, dochodzi się poprzez awans z rozmaitych stanowisk organizacyjnych, niekoniecznie związanych z wykształceniem na kierunku zarządzanie. Jak wiadomo, sprawdzoną w praktyce drogą uzupełniania kompetencji menedżerów w zakresie aktualnej wiedzy i umiejętności menedżerskich stanowią prowadzone na odpowiednim poziomie studia podyplomowe typu MBA.

Kogo zatem kształcimy na kierunku zarządzanie? Z praktycznego punktu widzenia w ogólnym ujęciu kształcimy potencjalnych przedsiębiorców, a w zależności od kierunkowych specjalności są to księgowi, analitycy finansowi, marketerzy, handlowcy, logistycy, tzw. HR-owcy (czyli dawni kadrowcy), organizatorzy produkcji oraz wiele innych nowych specjalności, często jeszcze nieposiadających ugruntowanej nazwy. W sumie specjalności te składają się na profil kompetencji pożądanego dla skutecznego prowadzenia zyskowej działalności gospodarczej, czyli biznesu. Teoretyczną podstawę tak postrzeganego zakresu przedmiotowego kształcenia, oprócz dyscyplin wykształcenia ogólnego, stanowią subdyscypliny nauk o biznesie i zarządzaniu.

Problem identyfikacji tożsamości zawodowej w mniejszym stopniu dotyczy pracowników naukowo-dydaktycznych afiliowanych w dyscyplinie nauki o zarządzaniu i jakości. W ich bowiem własnym rozumieniu – w zależności od kierunku wykształcenia – najczęściej uważają się za ekonomistów, socjologów, inżynierów itp. Tym niemniej wskutek ścisłego powiązania klasyfikacji dyscyplin z systemem ewaluacji, a w ślad za tym również finansowania nauki, problem adekwatności klasyfikacji do rzeczywistego zróżnicowania przedmiotowego dyscyplin nabrał istotnego znaczenia w obszarze zarządzania nauką i szkolnictwem wyższym.

Zmiana polityczna, jaka ostatnio dokonała się w naszym kraju, daje nadzieję na pogłębioną krytyczną ocenę rozwiązań ustawowych wprowadzonych w minionych latach oraz wprowa-

dzenie niezbędnych korekt. W odniesieniu do problemu omawianego w niniejszym artykule rysują się co najmniej dwa warianty niezbędnych korekt. Rozwiązanie stosunkowo proste polegałoby na przekształceniu dyscypliny „nauki o zarządzaniu i jakości” w dyscyplinę „nauki o biznesie i zarządzaniu”, z uznaniem nauki o jakości (towaroznawstwa) jako subdyscypliny nauki o biznesie.

Wariant dalej idący nawiązuje do omówionej wcześniej triady nauk ekonomicznych. Zakłada wyodrębnienie w dziedzinie nauk społecznych zespołu nauk ekonomicznych złożonego z trzech dyscyplin: ekonomii, nauki o biznesie i nauk o zarządzaniu. Kwestią dyskusyjną może się przy tym okazać przyporządkowanie finansów. Należałoby rozważyć, czy istnieją dostateczne merytoryczne powody, by wyodrębnić finanse jako czwartą dyscyplinę w zespole nauk ekonomicznych, czy raczej należałoby uznać finanse publiczne za subdyscyplinę makroekonomii, natomiast finanse przedsiębiorstw i bankowość komercyjną włączyć jako subdyscypliny do nauk o biznesie.

Tekst powstał na podstawie referatu wygłoszonego przez autora na zebraniu naukowym Komisji Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Umiejętności 25 stycznia 2024 r.

Prof. dr hab. Roman Niestrój jest profesorem w Akademii WSB oraz emerytowanym profesorem, byłym dziekanem Wydziału Zarządzania i byłym rektorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie.

Nowi profesorowie

26 marca 2024 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: Leszek Marek Chybowski (AM Sz), Krystyna Alicja Ciarkowska (URK), Stanisław Bogdan Fic (PL), Dariusz Gątarek (IBS PAN Warszawa), Marcin Jan Janicki (PŁ), Waldemar Bolesław Korzeniowski (AGH), Dorota Maria Kręgiel (PŁ), Zbigniew Ranachowski (IPPT PAN), Damian Bernard Słota (PŚ), Tomasz Zdzisław Tarasiuk (UMG)

NAUKI HUMANISTYCZNE: Elżbieta Małgorzata Biardzka (UWr), Anna Gemra (UWr), Dorota Zofia Gil (UJ), Katarzyna Eugenia Jaśtal (UJ), Wojciech Krawczuk (UJ), Ewa Piechurska-Kuciel (UO), Jakub Polit (UJ), Renata Suchowiejko (UJ), Jean Ward (UG), Beata Janina Wojciechowska (UJK), Sławomir Zonenberg (UKW)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: Anna Bednarek-Skublewska (UML), Adrian Paweł Doroszko (UMWr), Katarzyna Anna Drabko (UML), Dorota Dziewulska (WUM), Marek Jastrzębski (UJ), Anna Feliksa Jurczak (PUM), Artur Jan Jurczyszyn (UJ), Jacek Aleksander Kaczmarczyk (WSMJS Poznań), Paweł Franciszek Kukołowicz (NIOMSC – PIB Warszawa), Renata Radosława Mikołajczak (NCBJ), Anna Monika Oniszczuk (UML), Maksymilian Przemysław Opolski (IKSW – PIB), Tomasz Piotrowski (UMP), Krystyna Maria Rożek-Piechura (AWFWr), Jacek Sławomir Szeliga (UMK), Anna Joanna Żaczek (GUMed), Aleksandra Żebrowska (AWFK)

NAUKI ROLNICZE: Ewa Błońska (URK), Aneta Kopeć (URK), Małgorzata Materska (UPL), Justyna Nowakow-

ska (UKSW), Tomasz Oniszczuk (UPL), Chandra Pareek (UMK), Rafał Starzyński (IGiBZ PAN), Tomasz Strabel (UPP), Marcin Weiner (PIW – PIB), Kinga Wiczorek (PIW – PIB)

NAUKI SPOŁECZNE: Ilona Biernacka-Ligieza (UMCS), Jolanta Grotowska-Leder (SGGW), Tomasz Jałowicz (ASW), Urszula Grażyna Jarecka (IFiS PAN Warszawa), Piotr Marek Kostyło (UKW), Wojciech Marek Kulesza (USWPS), Magdalena Pyter (KUL), Seweryn Spałek (PŚ), Anna Barbara Szelałowska (SGH), Agnieszka Szpitter (UG)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: Tadeusz Ciupa (UJK), Tomasz Kulik (UWM), Andrzej Stanisław Kupść (Uniwersytet w Uppsali), Adam Stanisław Rostański (UŚ), Agnieszka Świerczewska-Gwiazda (UW), Ryszard Maria Zach (PK), Roman Waldemar Zagórski (NCBJ)

NAUKI TEOLOGICZNE: ks. Krzysztof Kaucha (KUL)
SZTUKI: Janusz Antonik (AMuz Kraków), Lech Konrad Bałaban (AMuz Bydgoszcz), Ewa Biegas (AMuz Katowice), Jakub Maciej Haufa (AMuz Poznań), Paweł Witold Kamiński (UMFC), Arkadiusz Damian Kubica (AMuz Katowice), Tomasz Józef Kudyk (AMuz Kraków), Hanna Kulenty (AMuz Bydgoszcz), Joanna Ławrynowicz-Just (UMFC), Jacek Aleksander Ozimkowski (AMuz Kraków), Maria Antonina Pomianowska (AMuz Kraków), Małgorzata Przedpeńska-Bieniek (UMFC), Anna Dorota Sikorzak-Olek (AMuz Gdańsk), Przemysław Stanisławski (AMuz Gdańsk), Aleksander Teliga (UMFC), Paweł Zawadzki (AMuz Wrocław)

Marek Wroński

Nierzetelny doktorat byłego rektora – reaktywacja

Aby skutecznie walczyć z nieuczciwością naukową, muszą zostać przywrócone odpowiednie przepisy i muszą pojawić się ludzie, którzy chcą to szkodliwe zjawisko zwalczać, a nie tylko o tym mówić.

Sprawa nierzetelnych dyplomów MBA prywatnej warszawskiej uczelni Collegium Humanum – Szkoły Głównej Menedżerskiej króluje w polskich mediach od kilku miesięcy. Od połowy czerwca 2022 tematem tym zajmuje się red. Renata Kim wraz z red. Jakubem Korusem z „Newsweeka”. Ukazało się już wiele publikacji na temat uczelni i jej kierownictwa. Jednak pierwszy artykuł o nierzetelnej karierze naukowej głównego bohatera tej afery, opisujący plagiaty w doktoracie Pawła Czarneckiego, ówczesnego rektora Wyższej Szkoły Menedżerskiej, a potem Collegium Humanum, opublikowaliśmy na łamach „Forum Akademickiego” w lutym 2014, czyli 10 lat temu (zobacz *Nierzetelny doktorat rektora*, FA 2/2014). Mimo mocnych dowodów na przepisanie ok. 140 stron tekstu oraz przedstawienia dwóch recenzji potwierdzających ewidentny plagiat, ówczesna Rada Wydziału Teologii Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej nie unieważniła stopnia doktorskiego. Dlaczego tak się stało, objaśniam poniżej.

Dysertacja doktorska pt. *Geneza, przebieg i skutki rozłamu w Starokatolickim Kościele Mariawitów w Polsce w roku 1935* została napisana przez Pawła Czarneckiego jakoby pod promotorstwem ks. bp. prof. dr. hab. Wiktora Wysoczańskiego (1939–2023). Jednak jesienią 2015 r. publicznie na uczelni stwierdził on, że z gotowym tekstem doktoratu przyszedł do niego ks. prof. Michał Czajkowski z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Podkreślił, że ponieważ miał on cofniętą misję kanoniczną na nauczanie w Akademii Teologii Katolickiej (UKSW na bazie ATK powstał 3 września 1999 r. i ks. Czajkowski był tam czynnym nauczycielem akademickim, zatem ta informacja była nieprawdziwa – MW), więc formalnie zgodził się zostać promotorem. Trzeba wiedzieć, że ks. prof. W. Wysoczański był od 1983 r. biskupem starokatolickim, zaś w 1995 r. został zwierzchnikiem Kościoła Polskokatolickiego (to niewielki odłam kościoła rzymskokatolickiego w Polsce, który nie uznaje jurysdykcji Watykanu i zezwala na małżeństwa księży). Co więcej, wówczas gdy biegł przewód doktorski, pełnił godność rektora ChAT (2002–2008). Recenzentem doktoratu został ks. prof. Michał Czaj-

kowski (ur. 1934), promotor pracy magisterskiej P. Czarneckiego o podobnym tytule, obronionej niecałe kilka miesięcy wcześniej na Wydziale Teologicznym UKSW w Warszawie. Był to jawny konflikt interesów, dlatego nie powinien on zostać powołany do oceny doktoratu. Drugim recenzentem został ks. prof. dr hab. Karol Karski (ur. 1940 r.), w latach 1996–2002 prorektor ChAT, a od 2009 r. przewodniczący warszawskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ewangelickiego i znany teolog-ekumenista.

Wznowienie doktoratu

W piśmie z 20 lutego 2014 r. do przewodniczącego Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, prof. Antoniego Tajdusia, wnioskowałem o wznowienie przewodu doktorskiego z tego powodu, iż doktorat, o którym mowa, jest ewidentnym plagiatem. Oparto go na wcześniejszych książkach: *Mariawityzm. Studium historyczne* Stanisława Rybaka, wydanej przez Wydawnictwo LEGE, Warszawa 1992 r. oraz *Rozłam w łonie Starokatolickiego Kościoła Mariawitów w 1935 roku* autorstwa Krzysztofa Łojka, której wydawcą było Europejskie Kolegium Edukacji, Warszawa 2001.

Paweł Czarnecki jako rektor był zaufanym dr. Stanisława Dawidziuka (ur. 1935 r.), prezydenta i faktycznego właściciela Wyższej Szkoły Menedżerskiej. Działa ona do dziś pod nazwą Menedżerska Akademia Nauk Stosowanych z siedzibą przy ulicy Kawęczyńskiej 36 w Warszawie. Stanowisko rektora P. Czarnecki pełnił tam pięć lat: od 1 września 2013 r. do 31 sierpnia 2018 r. Zarzut plagiatu opisany w „Forum Akademickim” mocno uderzał w wizerunek uczelni, wcześniej już nadwyróżony licznymi artykułami na temat niechlubnej przeszłości jej prezydenta.

Obrona rektora Czarneckiego

Energiczne działania w obronie jakoby „bezpodstawnie zaatakowanego” wówczas najmłodszego rektora w Polsce (ur. w 1980 r. miał wtedy 34 lata!) pojawiły się już na początku marca 2014 r. Głównym strategiem obrony w WSM był prof. dr hab. Wojciech

Słomski (ur. 1969 r.). Ten socjolog, teolog, filozof i etyk doktoryzował się z filozofii religii w 1996 r. w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Habilitację uzyskał na Słowacji (25 IV 2002 r., Uniwersytet w Preszowie), podobnie jak trzy lata później profesurę prezydencką (29 XI 2005 r., również w Preszowie). Jest wieloletnim bardzo dobrym i zaufanym znajomym Czarneckiego i spiritus movens jego błyskawicznej kariery naukowej. To właśnie prof. Słomski jako przewodniczący Senackiej Komisji ds. Organizacji Kadry Akademickiej WSM zajął się budowaniem linii obrony. Na recenzenta plagiatowych zarzutów wskazał prof. dr. hab. Henryka Bednarskiego (1934–2023), wówczas 80-letniego, byłego komunistycznego aparatczyka z Bydgoszczy, który w okresie PRL-u był sekretarzem Centralnego Komitetu PZPR, a w latach 1987-88 zajmował stanowisko ministra edukacji w rządzie Zbigniewa Messnera. Kolejnym recenzentem został dr hab. Bazyl Nazaruk, wówczas ostatni rektor Wyższej Szkoły Menedżerskiej w Legnicy, zlikwidowanej w 2018 r. Obaj recenzenci od lat współpracowali z prof. Słomskim w radzie naukowej czasopisma „Społeczeństwo i Edukacja. Międzynarodowe Studia Humanistyczne”. Redaktorem naczelnym był wtedy dr Zdzisław Sirojć. Z kolei Paweł Czarnecki został w 2012 r. wiceprzewodniczącym rady naukowej czasopisma. Założony przez niego w czerwcu 2011 r. Instytut Studiów Międzynarodowych i Edukacji Humanum był spółką z ograniczoną odpowiedzialnością oraz z kapitałem 5 tys. zł. Początkowo służył jako wydawnictwo i przewodniczącym jego Rady Naukowej jest do dzisiaj prof. W. Słomski. To ISMiEH przejął w 2013 r. wydawanie czasopisma „Społeczeństwo i Edukacja”. Na redaktora naczelnego powołano wtedy P. Czarneckiego. Pismo przestało się ukazywać w 2018 r., kiedy powstało Collegium Humanum. Jego formalnym założycielem i właścicielem był i jest właśnie ISMiEH, którego 98% akcji ma P. Czarnecki. Jest tam także prokurentem.

Po otrzymaniu zamówionych recenzji, 28 kwietnia 2014 r. zebrała się Senacka Komisja ds. Organizacji Rozwoju Kadry Akademickiej WSM w Warszawie. Jej przewodniczącym był prof. W. Słomski, zaś wiceprzewodniczącym dr hab. Zdzisław Sirojć (habilitacja 2012, Uniwersytet w Preszowie, Słowacja). Z kolei doc. Kiejstut Szymański i mgr praw Bartłomiej Nowaczyński (rzecznik prasowy WSM) byli członkami komisji. Ponieważ prof. Słomski uznał, że ma konflikt interesów, formalnie wyłączył się z obrad.

Prof. Sirojć przedstawił obie opinie profesorskie, które zgodnie uznały, że bezpodstawnie i niesłusznie oskarżyłem P. Czarneckiego o plagiat. Autor doktoratu „w sposób właściwy cytuje i parafrazuje teksty w narracji swojej”, zaś „praca jest w pełni samodzielna i dobrze napisana. (...) Teza postawiona przez p. Marka Wrońskiego jest całkowicie nieuzasadniona”. Następnie odczytano oświadczenie prof. Słomskiego z 26 marca 2014 r. z którego wynikało, że książka Krzysztofa Łojka została wydana w 3 lata po obronie pracy doktorskiej, a na okładce jest błąd drukarski, gdyż ukazała się w 2007 r. a nie w 2001 r. Komisja uznała, że cała sprawa została przeze mnie nagłośniona medialnie i jest przejawem mojej frustracji. Zdecydowano, że sprawa zostaje zamknięta, zaś wypracowane materiały przekazane zostaną władzom ChAT oraz Centralnej Komisji. Akurat w tym czasie (kwiecień-maj 2014 r.) w Kancelarii Prezydenta Słowacji w Bratysławie oceniany był wniosek profesorski dr. hab. Pawła Czarneckiego, złożony przez Wyższą Szkołę Zdrowia i Pracy Socjalnej im. św. Elżbiety w Bratysławie.

Wbrew logice zdarzeń ani redakcja „Forum Akademickiego”, ani niżej podpisany tego „protokołu ustalen” od kierownictwa WSM nigdy nie dostali. Co więcej, nie zażądano od nas wydrukowania jakiegokolwiek sprostowania.

Ciekawe jest, że mgr Krzysztof Łojek swój doktorat *Metroplie Ostrołęki – studium antropologiczno-historyczne*, którego

promotorem był ks. prof. Edward Nawrot (1947–2005), obronił na UKSW w 2004 r. Z kolei habilitację z teologii uzyskał w 2008 r. na Słowacji. W latach 2009–2019 był zatrudniony jako profesor uczelniany w Wyższej Szkole Kadr Menedżerskich w Koninie. Jednak nigdy oficjalnie nie zareagował na to, że znaczna część jego książki została przejęta do doktoratu P. Czarneckiego. Nie dziwię się, bo jego opiekunem naukowym też był prof. W. Słomski.

Opinia dla Centralnej Komisji

Po otrzymaniu wniosku o wznowienie doktoratu P. Czarneckiego Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów poprosiła o ocenę sprawy prof. Iwonę Chrzanowską z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Z końcem kwietnia 2014

r. jej szczegółowa i bardzo rzetelna 11-stronicowa opinia była gotowa. Autorka potwierdziła w niej, że dysertacja P. Czarneckiego „zawiera szereg fragmentów identycznych z treścią publikacji Stanisława Rybaka, *Mariawityzm. Studium historyczne*, LEGE, Warszawa 1992 (...). Taki sam jest styl i język narracji analiz historycznych. (...) Zgodność treści obejmuje część rozdziału I., podrozdziały: 1.3., 1.4 niemal w całości, a także wcześniejsze i późniejsze krótsze fragmenty doktoratu. (...) Fragmenty mają najczęściej identyczną treść, czasami nieznacznie zmieniono warstwę językową wypowiedzi, co nie ma wpływu na sens informacji. Treści «zapożyczone» przeplatane są akapitami, których nie odnajduje się w publikacji S. Rybaka”. Jak stwierdziła recenzentka, P. Czarnecki „powołuje się na publikację S. Rybaka, tak w tekście podstawowym, wskazując na skorzystanie z ok. 20 stron jego publikacji, jak i w bibliografii. To właśnie rozdział I. (obejmujący strony 14-87 na 230 stron dysertacji – bez wykazu skrótów, bibliografii i aneksów) wykazuje bardzo wiele podobieństw do analiz dotyczących zakresu, jak i uszczegółowienia prezentowanych wydarzeń, a również wspomianej już warstwy stylistycznej, sposobu narracji, jest «bliźniaczo» podobny do tekstu publikacji S. Rybaka”.

Z kolei odnosząc się do analizy dotyczącej identyczności doktoratu z książką Łojka: „Rozdział II w dużej (zdecydowanej) części, a także rozdział III do podrozdziału 3.4., rozdział IV niemal w całości są identyczne z treścią publikacji Krzysztofa Łojka, *Rozłam w łonie Starokatolickiego Kościoła Mariawitów w 1935 roku (studium historyczne)*, EKE, Warszawa 2001. Analogie dotyczą tre-



ści obu rozpraw, tożsamości źródeł, treści przypisów nie tylko w nocy bibliograficznej, ale i sensie, dosłowności dopowiedzeń, wyjaśnień w nich zawartych. Analogiczna jest nie tylko treść, ale również tytuły podrozdziałów obu prac”. Zabrakło jakiegokolwiek odniesienia bibliograficznego do w/w książki.

W dalszej analizie prof. Chrzanowska wzięła pod uwagę przesłane do CK oświadczenie prof. W. Słomskiego z 17 kwietnia 2014 r., że udostępnił zarówno p. Czarneckiemu, jak i p. Łojkowi swoje niewykorzystane materiały dotyczące Kościoła Mariawitów, nie informując ich o tym fakcie. Zwracam uwagę, że W. Słomski był autorem 71-stronicowej książki *Polscy Starokatolicy*, Warszawa 1997, Wyd. Mix. Jednak ważnym argumentem był fakt formalnego wykazania przez prof. W. Słomskiego (wydawcę książki), że ta publikacja Łojka została w rzeczywi-

stości wydrukowana w 2007 r. a nie w 2001 r., jak wskazuje okładka. Z tego powodu biegła uznała, że nie można w tym aspekcie postawić zarzutu plagiatu dysertacji Pawła Czarneckiego, gdyż książkę Łojka wydano trzy lata później i z tego logicznie wynika, że to ten ostatni spłagiatował treść doktoratu.

Mimo tego, że jeden z dwóch plagiatowych zarzutów został obroniony, ten który się ostał, był na tyle poważny, iż prof. I. Chrzanowska uznała, że dysertacja jest niesamodzielna i narusza prawa autorskie S. Rybaka i należy ją wznowić.

Wznowienie przewodu doktorskiego

Prezydium CK 26 maja 2014 r. wznowiło przewód doktorski i sprawę po dwóch miesiącach przesłało do ChAT. Tam 26 września 2014 r. powołano dwóch nowych recenzentów: ks. prof.



Rys. Sławomir Makal

Stanisława Nabywańca (ur. 1958 r.) z Instytutu Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego oraz ks. prof. dr. hab. Artura Mezglewskiego (ur. 1960 r.), kierownika Katedry Prawa Administracyjnego z Uniwersytetu Opolskiego.

Opinia ks. prof. Nabywańca była pozytywna dla doktoratu P. Czarneckiego. Przedstawiono dokładnie przebieg działań Komisji Senackiej ds. Kadr WSM, nie zauważając sprzeczności. Recenzent zacytował oświadczenie P. Czarneckiego, że jego doktorat jest rzetelny, nie narusza praw autorskich innych osób, a jego osiągnięcia naukowe są „wynikiem ciężkiej i sumiennej pracy i efektem wielu wyrzeczeń”. Przytoczył oświadczenie prof. Słomskiego, że książka K. Łojka wyszła w 2007 r. Opisał też opinie oddalające zarzuty plagiatu przedstawione przez prof. H. Bednarskiego oraz prof. B. Nazaruka. Recenzent podał też, że 22 września 2014 r. prof. Czarnecki zwrócił się do dziekana Wydziału Teologii ChAT o zawieszenie postępowania wznowieniowego. Motywował to faktem, że wystąpił jednocześnie do Centralnej Komisji „o usunięcie naruszenia prawa, jakim jest wznowienie jego przewodu doktorskiego”, gdyż plagiat uległ przedawnieniu. Oba organy nie odpowiedziały na jego wnioski. W dalszej części recenzji ks. prof. Nabywaniec skrytykował książkę Rybaka jako opatrzoną zbyt ubogą bibliografią. Podkreślił też, że zarówno jej autor, jak i doktorant, czerpali z tych samych źródeł, stąd pojawiają się liczne zbieżności tekstu. Wydaje się, że chodzi o to, iż są podawane dosłownie wypisy z dokumentów archiwalnych, źródłowych, ale p. Rybak je przytaczał 12 lat wcześniej. Jest to błąd metodologiczny, za który odpowiada promotor. W konkluzji prof. Nabywaniec uznał, „że osąd dr hab. Marka Wrońskiego opiera się na zewnętrznej płaszczyźnie podobieństw. W moim przekonaniu nie doszło do bezprawnego zawłaszczenia cudzego dorobku naukowego, czyli plagiatu, a jedynie do nieumiejętnego i niefrasobliwego korzystania ze źródeł, zarówno przez S. Rybaka jak i P. S. Czarneckiego. Co do tego ostatniego, jako pretendującego do stopnia naukowego doktora, bardziej to go obciąża odpowiedzialnością, a jak się okazuje, również przykrymi skutkami”.

Druga szczegółowa, licząca 15 stron recenzja sporządzona została przez ówczesnego profesora prawa administracyjnego i znawcy prawa wyznaniowego, ks. prof. Artura Mezglewskiego z Uniwersytetu Opolskiego (pracował tam w latach 2012-2018). Wcześniej zatrudniony był na KUL w Lublinie, a obecnie jest kierownikiem Katedry Prawa Publicznego Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie. Recenzja była jednoznacznie negatywna. Autor podkreśla, że merytoryczna część doktoratu (bez wstępu, zakończenia, bibliografii itp.) to 206 stron tekstu, w którym zaledwie 29 stron jest bez przejęć z książek Rybaka i Łojka. Na pierwszą pozycję P. Czarnecki powoływał się w przypisach dolnych zaledwie ośmiokrotnie, przy czym kilkakrotnie nieprecyzyjnie. Recenzent zamieścił aż trzy rodzaje konkordancji, które pokazują miejsce, zakres i niekiedy dosłowny obraz zapożyczeń z książki Rybaka.

Zapożyczenia z książki Łojka w doktoracie P. Czarneckiego prof. Mezglewski skomentował tak: „Różnice pomiędzy tekstem dysertacji, znajdującym się na stronach 94-103, 108-157, 159-170, 173-176, 194-219, a tekstem książki K. Łojka są tak niewielkie, iż można śmiało twierdzić, iż teksty te są bliźniacze. Identyczny jest tekst główny, ale również przypisy”. Odnosząc się do faktu, iż „udowodniono”, że książkę Łojka wydrukowano jakoby w 2007 r., recenzent uważa, iż zapewne obaj autorzy zacerpnęli tożsamy tekst z nieznanego innego źródła, które nazwał „źródłem Q”. Sugerował, że być może to Łojek jest autorem tego nieznanego tekstu. Odnosił się też „do oświadczenia prof. Słomskiego z 10 marca 2014 r., zawierającego sugestię, że dwa identyczne teksty zauważone w porównywanych pracach powstały niezależnie od siebie, na podstawie materiałów (dokumentów, wycinków prasowych, kserokopii oraz innych materiałów doty-

czących starokatolicyzmu), które prof. Słomski zebrał i przekazał jednocześnie „zainteresowanym tematyką starokatolicką, a szczególnie tematyką mariawicką p. K. Łojkowi oraz p. P. Czarneckiemu”. W opinii recenzenta „sugestia ta jest niedorzeczna – nie jest bowiem rzeczą praktycznie możliwą, aby dwóch autorów napisało jednocześnie identyczny ponad 120-stronicowy tekst, zawierający identyczne przypisy, a w dodatku identyczne aneksy, nawet w sytuacji, gdyby dysponowali identycznym materiałem źródłowym”. Podkreślił, iż prof. Słomski nie jest wiarygodny w tej sprawie, gdyż pracuje na uczelni, gdzie rektorem jest doktorant, dlatego zachodzi „ewidentny stosunek podległości”. W podsumowaniu recenzent uznał, że praca doktorska powstała „z naruszeniem prawa autorskiego oraz dobrych obyczajów w nauce”. Z tego powodu uchwała o nadaniu stopnia doktora teologii powinna zostać uchylona.

Rada Wydziału Teologicznego ChAT w związku z otrzymaniem dwóch przeciwstawnych recenzji, powołała 3 marca 2015 r. trzeciego recenzenta, którym został ks. prof. dr hab. Paweł Bortkiewicz, były dziekan Wydziału Teologicznego UAM w Poznaniu. Ku zdziwieniu wszystkich, ten po prawie dwóch miesiącach, 29 kwietnia 2015 r., odmówił sporządzenia recenzji, powołując się na otrzymany 19 marca 2015 r. list od Pawła Czarneckiego. Motywował to tym, że jakoby „istotą sporu stają się kwestie formalnoprawne między uczelnią, p. Czarneckim i Centralną Komisją ds. Stopni i Tytułów”, co jak można się zorientować z powyższego tekstu i dokumentacji, nie było prawdą. Różne są wykręty recenzentów...

Powołano więc na recenzenta ks. prof. Zygmunta Zielińskiego (ur. 1931 r.), byłego kierownika Katedry Historii Kościoła w XIX i XX wieku w Instytucie Historii KUL w Lublinie. Jego krótka czterostronicowa opinia stwierdzała, że ze względu na wcześniejsze powstanie niż książka Łojka, doktorat nie jest plagiatem tekstu tego autora. Natomiast „poważne części pracy doktorskiej p. Czarneckiego zawierają zapożyczenia dosłowne z pracy p. Stanisława Rybaka. Znaczy to, iż występują tam duże fragmenty pracy Rybaka bez cudzysłowu i odnośnika do teźże pracy, a jedynie w 6 przypadkach autor powołuje się na pracę Rybaka. (...) Identyczne teksty zachodzą wszakże w trzech branych tu pod uwagę pracach: p. Czarneckiego, p. Rybaka i p. Łojka. Mogę tylko stwierdzić istnienie takich zależności, natomiast nie jestem w stanie wskazać na ich genezę”.

Posiedzenie Rady Wydziału Teologicznego ChAT

Posiedzenie Komisji do spraw Przewodów Doktorskich Wydziału Teologicznego, składającej się z czterech osób: prof. prawa i teologii Tadeusza J. Zielińskiego (przewodniczącego) oraz członków: abp. dr. hab. Jeremiasza Jana Anchimiuka (1943-2017), bp. prof. Wiktora Wysoczańskiego oraz dr. hab. Jakuba Sławika, prof. ChAT i ówczesnego prodziekana, odbyło się 29 października 2015 r. Wszyscy zebrani zapoznali się z treścią trzech recenzji wznowieniowych. W głosowaniu nad projektem uchwały RW proponującej unieważnienie doktoratu p. Czarneckiego dwaj członkowie, profesorowie Anchimiuk i Wysoczański, zagłosowali za utrzymaniem stopnia, natomiast profesorowie: Zieliński i Sławik głosowali za odebraniem nierzetelnego doktoratu. Głosowanie pozostało nierozstrzygnięte.

Muszę skomentować, iż komisji z parzystą liczbą członków raczej się nie powołuje, aby głosowania nie kończyły się patem, czyli brakiem rozstrzygnięcia. Z kolei prof. Wysoczański, jako promotor plagiatowego doktoratu i z tego powodu mający konflikt interesów, powinien być wykluczony z głosowania, co się nie stało i narusza zasady rzetelności akademickiej.

Zaraz potem, o godz. 12, miało miejsce posiedzenie Rady Wydziału Teologicznego, na którym przedstawiono propozycję uchwał w sprawie odmowy przyjęcia przedprawy doktorskiej P.

Czarneckiego i odmowy dopuszczenia jej do publicznej obrony oraz stwierdzenia nieważności postępowania w sprawie nadania mu 17 czerwca 2004 r. stopnia doktora. Na posiedzenie jako gość przybył ówczesny rektor ChAT, ks. prof. Bogusław Milerski. Obrady prowadził prodziekan Jakub Ślawik, prof. ChAT, który przyzywał przybyłych dwóch recenzentów: ks. prof. Zygmunta Zielińskiego oraz ks. prof. Artura Mezglewskiego. Trzeci recenzent, ks. prof. Stanisław Nabywaniec z Rzeszowa, mimo wcześniejszego potwierdzenia, nie przybył, informując prodziekana porannym mailem, że go nie będzie ze względów zdrowotnych.

Prof. Ślawik przedstawił przebieg „tej nieprzyjemnej dla wydziału sprawy”. Obecni recenzenci omówili treść i konkluzje swych opinii. W dyskusji pierwszy zabrał głos promotor doktoratu, ks. prof. Wysoczyński. Przyznał, iż otrzymał gotową już pracę doktorską p. Czarneckiego. Uważa, że należy utrzymać ten doktorat, gdyż „w innym przypadku ChAT czekają kolejne procesy”. Następnie wypowiedział się dr hab. Andrzej P. Kluczynski, iż recenzje ewidentnie potwierdzają plagiat doktoratu. Oświadczył, że nie rozumie, dlaczego komisja doktorska miała w tej kwestii jakiegokolwiek wątpliwości. W dodatku jasno wynika z oświadczenia prof. Słomskiego, że „Paweł Czarnecki wykorzystał nieswoje ustalenia naukowe”. Innych głosów w dyskusji nie było. Po przedstawieniu treści uchwały odbyło się tajne głosowanie. Dziewięć osób było za odebraniem stopnia, 8 przeciwko, a jedna osoba się wstrzymała. Sprawa nie została rozstrzygnięta, ale w opinii Biura Centralnej Komisji była formalnie zamknięta.

Przyczyną takiego „obrazu głosowania” – jak usłyszałem wtedy niepotwierdzoną nigdy informację – był list od jednego z dostojników warszawskiego Kościoła do obydwu biskupów profesorów, aby w sprawie doktoratu „wybaczyć, jak i wam jest wybaczone”.

„Siedmiu wspaniałych” profesorów

Jednak takie „załatwienie” tej znanej w Warszawie i w Polsce sprawy wywołało oburzenie grupy siedmiu profesorów z Wydziału Teologicznego ChAT. Zwrócili się oni w połowie lutego 2016 r. do Centralnej Komisji o ponowne wznowienie doktoratu naruszającego prawa autorskie innych osób. Motywowali to faktem zakulisowych nacisków, w tym pism doktora P. Czarneckiego do recenzentów, co spowodowało rezygnację ks. prof. Pawła Bortkiewicza z recenzowania. Pismo podpisali: prof. Włodzimierz Wołoski (ówczesny dziekan), dr hab. Jakub Ślawik (ówczesny prodziekan), prof. Janusz Maciuszko (zm. 2017 r.), bp prof. Jerzy Pańkowski, prof. Tadeusz J. Zieliński, dr hab. Andrzej Kluczynski oraz dr hab. Kalina Wojciechowska.

Prezydium Centralnej Komisji 21 marca 2016 r. przychyliło się do tego wniosku i ponownie wznowiło przewód doktorski. Zażądano od Rady Wydziału Teologicznego ChAT zbadania „czy fragmenty dysertacji doktorskiej dr. Pawła Czarneckiego spełniają warunki oryginalnego rozwiązania problemu naukowego w rozumieniu przepisów ustawy z dnia 14 marca 2003 r. o stopniach naukowych i tytułach naukowych”. Potępiono też „próby dr. P. Czarneckiego oddziaływania na członków Rady Wydziału i recenzentów, mające na celu wpływanie na ich stanowisko w sprawie oceny stawianych zarzutów plagiatowych. Działania tego typu są prawnie niedopuszczalne, stanowią też jaskrawe naruszenie dobrych obyczajów w nauce”.

Niestety z przykrością muszę napisać, że ChAT z tym wnioskiem dalej już nic nie zrobiła, gdy w latach 2016-2020 rektorem uczelni ponownie był ks. dr hab. Bogusław Milerski, prof. ChAT. Nad sprawą zawisł „szklany sufit”. O powodach nikt nie chciał ze mną rozmawiać, nawet nieoficjalnie. Uważam, że jest to spowodowane tym, iż ta chrześcijańska uczelnia założona dla kilku mniej licznych w Polsce kościołów chrześcijań-

skich, opiera się na trzech „skrzydłach religijnych”. Pierwsze jest ewangelicko-protestanckie, drugie prawosławne, a trzecie starokatolickie. Od lat na uczelni jest przestrzegana swoboda „równowaga władzy i wpływów”. Dlatego, gdy po prośbie katolickiego dostojnika dwaj „przywódcy skrzydeł” sprzeciwili się unieważnieniu doktoratu, na uczelni nic nie można było zrobić.

Mogła w to wkroczyć Centralna Komisja, która do końca 2020 r. miała narzędzie do odbierania lub czasowego zawieszenia uprawnień do nadawania stopni naukowych. Taka sankcja zmusiłaby ChAT do działania. Jednak tak się nie stało, mimo iż Prezydium CK odmówiło w czerwcu 2019 r. umorzenia drugiego postępowania wznowieniowego, o co wystąpił Paweł Czarnecki. Zatem oba postępowania wznowieniowe są do dzisiaj formalnie otwarte, gdyż pierwszego nie umorzono ani nie zostało ono zamknięte prawomocną uchwałą CK. Jednak przepisy, na podstawie których je wszczęto, wygasły, gdy od stycznia 2021 r. zadania CK przejęła Rada Doskonałości Naukowej i ostatecznie wygasła ustawa o stopniach naukowych i tytułach naukowych z 2003 r.

Nowa przesłanka unieważnienia

Na początku marca 2024 r., kiedy ponownie zająłem się sprawą tego doktoratu, odkryłem, że książka K. Łojka, którą jakoby wydano w 2007 r., to jego praca magisterska, obroniona w 2001 r. pod tym samym tytułem na Wydziale Nauk Historycznych i Społecznych UKSW. Promotorem był ks. prof. Jerzy Mysior. Znacząco to, że książka jest wtórna w stosunku do pracy magisterskiej i po prostu zawiera jej treść. Stąd zarzuty plagiatu z książki Łojka są ponownie ważne i aktualne.

Złożyłem zatem 24 marca 2024 r. wniosek do obecnego rektora ChAT, abp. prof. Jerzego Pańkowskiego, o stwierdzenie z urzędu nieważności decyzji w sprawie nadania stopnia doktora P. Czarneckiemu. Obecny rektor jest jednym z wymienionych wcześniej „siedmiu wspaniałych” profesorów, zaś uczelnia ma nowych, młodych i rzetelnych samodzielnych nauczycieli akademickich na Wydziale Teologicznym. Dodatkowo utrzymywany wcześniej nad tym doktorantem w ChAT „parasol” religijno-polityczny nagle się zamknął... Wierzę, że tym razem doktorat Pawła Czarneckiego zostanie skutecznie unieważniony. Zasluguje na to.

Komentarz

Opisana historia pokazuje, że papier wszystko zniesie. Znajomości i poplecznictwo mają się w naszym kraju nieźle. Brakuje skutecznych przepisów do walki z nierzetelnością naukową. Wykorzystując ostatnio zamknięty „parasol polityczny”, zwracam się do ministra Dariusza Więcorka, aby wystąpił do prezydenta Andrzeja Dudy o cofnięcie odznaczenia państwowego, Srebrnego Medalu za Długoletnią Służbę, nadanego Pawłowi Czarneckiemu na wniosek poprzedniego ministra. Medal ten, przyznany przez prezydenta 12 maja 2023 r., wręczył rektorowi ówczesny dyrektor generalny ministra edukacji i nauki Stanisław Adamiec podczas inauguracji roku akademickiego w Collegium Humanum 26 października 2023 r. Ta prośba zasługuje na uwzględnienie, gdyż prawo pozwala na odebranie medalu, „gdy odznaczony dopuścił się czynu, wskutek którego stał się niegodny odznaczenia”. Wierzę, że tak się stanie.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od 26 lat.

W wersji online znajdują Państwo dodatkowe materiały.

Dać głos innym

Głośno jest o nich zazwyczaj przy okazji różnego rodzaju uczelnianych afer i skandali. Niejako na przekór, nie szukając zbytnej sensacji, przyjrzelśmy się ich codziennej, może mało efektownej, ale jakże potrzebnej pracy.

Umieć słuchać. Ale nie w biegu, jednym uchem bądź – jak to się ongiś mówiło – piąte przez dziesiąte. Nie, tu trzeba naprawdę być w rozmowie, wykazać się uwagą, cierpliwością. Nie wszyscy to potrafią, toteż i nie każdy nadaje się na to stanowisko. Ale są i tacy, którzy tę umiejętność mają udokumentowaną.

– Szkoliłem się w słuchaniu – przyznaje dr Jan Gałkowski, a widząc moją skonsternowaną minę, potwierdza, że to nie żart. – Kiedy byłem na postdoku na Uniwersytecie w Cambridge, ukończyłem kilkutygodniowy kurs ze słuchania. Metodą warsztatową nauczyliśmy się, jak słuchać i jak przez słuchanie wspierać innych, pomagać, „dawać głos”. To jest dziś niesamowicie pomocne w pracy, która w głównej mierze właśnie na tym polega – dodaje rzecznik akademicki Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Do jego drzwi pukają zarówno studenci, jak i pracownicy uczelni, przy czym w tej drugiej grupie przeważają tzw. NNA, czyli niebędący nauczycielami akademickimi. Zgłaszają się najczęściej ze sprawami dotyczącymi komunikacji interpersonalnej. Pytają, czy sytuację, której doświadczyli, można już uznać za mobbing, czy to „tylko” niewłaściwe zachowanie. Przychoǳą, bo czują się nierówno traktowani, również w kwestii płac, a od współpracowników oczekiwali by szacunku. Wreszcie, chcą porozmawiać. Zamiast składać skargi, iść od razu do rzecznika dyscyplinarnego – te opcje zawsze zostają w odwodzie – wolą zażegnać konflikt na drodze nieformalnej, po prostu się dogadać. Nie zawsze się to udaje, ale spróbować warto. Chodzi przecież nie o to, by zamieść problem pod dywan albo uciszyć kogoś. Wprost przeciwnie – ten głos ma wybrzmieć.

– Mam bardzo dużo uprawnień, ale żadnych formalnych. Negocjuję, mediuję, wysłuchuję, szukam rozwiązań, lecz żadnej decyzji nie podejmuję. Moim zadaniem jest naoliwienie mechanizmu, żeby ten działał lepiej i się nie zaciął – obrazowo tłumaczy.

Generator problemów

Niektórym przypomina sąd, innym wizytę u terapeuty, przy czym nie jest ani jednym, ani drugim. Nie ma też nic wspólnego ze wspomnianym już rzecznikiem dyscyplinarnym. Ombudsman akademicki działa bezstronnie i nieformalnie oraz zgodnie z zasadą poufności. Choć na świecie funkcja ta istnieje już przeszło pół wieku – w Kanadzie czy USA pojawiła się w latach sześćdziesiątych, a większość członków International Ombudsman Association to właśnie rzecznicy akademicki – w Polsce jest stosunkowo nowa. Pierwszą uczelnią, która zdecydowała się ją wprowadzić, był w 2011 roku Uniwersytet Warszawski. To

był czas wielu akcji popularyzujących mediację jako podejście do rozwiązywania konfliktów. Ten swoisty eksperyment nie od razu spotkał się z aplauzem środowiska. Obawy budziło to, jak rozwiązania przeniesione z oceanu sprawdzą się w polskiej akademii, nienawykłej przecież do krytycznego dyskursu o sobie samej. Niedługo trzeba było czekać, by obawy okazały się słuszne.

– Mam poczucie, że nikt się po mnie niczego szczególnego nie spodziewał, a już na pewno nie tego, że „wygeneruję” tyle problemów – wspomina z uśmiechem Anna Cybulko, od 13 lat ombudsman UW.

Składane przez nią coroczne sprawozdania pokazują zmianę nie tylko liczbową (od kilkunastu spraw na początku do ponad trzystu w 2022), ale i jakościową. W przypadku studentów kiedyś dominowały napięcia i konflikty w dziekanatach, sekretariatach, gdzie spotykano się z niezyczliwością, otrzymywano niewłaściwe informacje, trudno było cokolwiek załatwić. Studenci byli traktowani przez pracowników administracji nie jak partnerzy, ale zło konieczne. Zmiany w tym względzie, jak zapewnia Cybulko, widoczne są gołym okiem. Zgłoszeń tego typu jest dużo mniej, w zasadzie to pojedyncze skargi. W lawinowym tempie przybywa za to spraw związanych z naruszeniem czyichś dóbr, nękaniami, również w mediach społecznościowych. Pandemia stanowiła punkt zwrotny w zgłoszeniach różnego typu wyzwań i problemów psychoemocjonalnych wpływających na funkcjonowanie na uczelni: od spektrum, przez depresję, zaburzenia lękowe, aż po choroby psychiczne, takie jak zaburzenie dwubiegunowe czy schizofrenia.

– Z jednej strony to kwestia, na ile uczelnia jest gotowa dostosować sposób przekazywania i egzekwowania wiedzy do ich potrzeb. Z drugiej, jaka jest jej rola w zapewnieniu bezpieczeństwa. Te osoby nierzadko naruszają ustalone granice, ich zachowanie bywa wyzwaniem dla wykładowców i dla kolegów, w skrajnych przypadkach mogą stanowić zagrożenie dla siebie bądź dla innych. Ilość tego typu spraw wzrosła w ostatnim czasie w sposób przerażający – raportuje Cybulko.

Przychodzą do jej biura także pracownicy uczelni. W tej grupie zauważalny jest przyrost skarg na dyskryminację i molestowanie seksualne. Związane jest to z kampanią „Wszyscy jesteśmy równoważni”, którą przeprowadzono na UW, ale też i dużo więcej się o tym mówi w przestrzeni publicznej. Ośmieliło to niektórych, inni zobaczyli, że uczelnia reaguje, coś próbuje robić. Choć to sprawy bardzo bolesne, dotyczące wrażliwej sfery, paradoksalnie na drobne zarzuty przejawiające się np. w niestosownych żartach czy seksualizujących komentarzach –

zdaniem ombudsmanki – łatwiej skutecznie zareagować. Zwykle wystarczy prosty sygnał, by osoba, która np. opowiada na zajęciach niewybredne żarty lub komentuje czyjś wygląd, zrozumiała i zmieniła swoje postępowanie. Niektórym przez lata nikt nie powiedział, że to, co robią, nie jest ani śmieszne, ani odpowiednie.

– Część tych spraw naprawdę da się rozwiązać. Ale działałam tylko wtedy, gdy jestem do tego upoważniona, nigdy wbrew osobie zgłaszającej. Miałam studentów, którzy przez trzy lata przychodzili z problemem, lecz za każdym razem zastrzegali, by jednak nie działać, bo się boją. Mimo namów, przekonywania, że to jest bezpieczne, nie miałam od nich zgody. Dopiero gdy ją w końcu dostałam, posłam do wykładowcy, powiedziałam mu, co musi zmienić i to zrobił – mówi Cybulko.

Amerykański model nad Wisłą

O wiele trudniej jest z coraz częstszymi skargami na mobbing. Coś, co nim jest w rozumieniu psychologii, nie zawsze wyczerpuje wszystkie przesłanki prawne. Oczywiście to nie unieważnia skutków, jakich doświadcza osoba poszkodowana, ale pokazuje trudność w działaniu rzecznika. Jak przekonywać potencjalnego sprawcę, bywa, że kogoś o fantastycznych osiągnięciach naukowych, do zmiany postępowania, jeśli ma się w ręku argumenty czysto psychologiczne, a nie prawne? Niewątpliwie, z uwagi na rosnącą świadomość, i tak jest dziś o niebo lepiej niż na początku, gdy poruszano się w całkowitej próżni. Niewiele się wtedy mówiło o prawach społeczności akademickiej, mobbingu, dyskryminacji, molestowaniu seksualnym, równości czy różnorodności. Takie tematy w dyskusjach akademickich praktycznie nie istniały. Podobnie jak nie było gotowości do dostrzegania tego rodzaju problemów. Przebytą drogę i skalę zmian najlepiej obrazuje właśnie przykład stołecznej uczelni. Przez ten czas zdołano wprowadzić procedurę antydyskryminacyjną i antymobbingową, stworzono rozbudowany system instytucjonalnej pomocy w zakresie molestowania seksualnego, są pełnomocnicy wydziałowi, jest dział zajmujący się równością, wdrożono plan równości płci.

– Wiele badań pokazuje, że w instytucjach akademickich ryzyko wystąpienia mobbingu jest wyższe niż np. w małych i średnich przedsiębiorstwach. Uniwersytet Warszawski nie jest tu wyjątkiem. Cenne, że możemy o tym coraz bardziej otwarcie rozmawiać – przyznaje Cybulko.

Jako pionierka z satysfakcją odnotowuje, jak wdrożone przez nią przed laty rozwiązania stano-

wią punkt odniesienia dla innych, którzy idą śladem wyznaczonym na UW. Zaszczepiają u siebie wzorce amerykańskie, a więc model korporacyjnego ombudsmana, który ma być przede wszystkim wsparciem w procesie rozwiązywania sporów w trybie mediacyjnym, w odróżnieniu od skandynawskiego, który stanowi instytucję kontroli na uczelni. Nic zatem dziwnego, że właśnie ten pierwszy, siłą rzeczy, dominuje w polskim systemie. Tak jest też na toruńskim Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, na którym ombudsman, drugi w Polsce, pojawił się w 2013 roku. Dziś już nikt nie wyobraża sobie, żeby go tam nie było.

– Wszyscy, łącznie z władzami rektorskimi, dostrzegli w tym pewną wartość. Kiedy np. do osoby kierującej zespołem trafia podanie, wniosek czy skarga, z których wynika, że ujawnił się jakiś spór, wówczas nie musi ona już samodzielnie zajmować się tą sprawą, może liczyć na pomoc rzecznika akademickiego. Z tego punktu widzenia ten pomysł odpowiada na potrzeby naszej wspólnoty i to się sprawdziło – mówi dr Bartłomiej Chludziński, który od samego początku pełni tę funkcję.

Przyjęto go z życzliwym zaciekawieniem, bez specjalnych oporów. Zrazu pełnił funkcję administracyjną, teraz jest już statutowym pełnomocnikiem rektora. Współpracuje z pełnomocniczką do spraw równego traktowania i pełnomocnikiem do spraw bezpieczeństwa. Niekiedy w bardziej złożonych sprawach działają w porozumieniu. Ale to rzecznik akademicki jest wskazany w zarządzeniu rektora jako podmiot właściwy do rozwiązywania sporów w UMK. W ciągu dziesięciu lat zdążył wypracować swój indywidualny warsztat pracy. Kiedy przychodzi do niego ktoś z problemem, stara się najpierw zdiagnozować

istotę sporu, określić, czy nadaje się on do mediacji i w zależności od tego podejmuje dalsze kroki. Jeśli nie ma przeszkód, podejmuje działania premediacyjne, a potem dąży do zorganizowania wspólnej sesji, w trakcie której próbuje doprowadzić do rozwiązania sprawy, zawarcia porozumienia. Potem często także udziela wsparcia w dotrzymanywaniu warunków umowy będącej efektem mediacji. Jest otwarty na każdą grupę tworzącą uniwersytecką wspólnotę. Przyznaje, że o ile w pierwszym okresie funkcjonowania rzecznika akademickiego na UMK przychodzili do niego w przeważającej mierze studenci, o tyle w ostatnich dwóch, trzech latach w statystykach coraz wyraźniej widać wzrost spraw pracowniczych.

– Jednym z powodów może być rosnąca świadomość korzyści płynących z mediacji. Myślę, że pracownicy doszli do



Bartłomiej Chludziński

wniosku, że rzeczywiście warto rozwiązywać tego typu sytuacje właśnie w trybie mediacyjnym, że uczelnia oferuje im profesjonalne wsparcie w tym zakresie, z którego warto skorzystać – przypuszcza.

Mediator, nie prokurator

Tu i ówdzie słychać jednak głosy, że ten alternatywny sposób rozwiązywania sporów w postaci mediacji to nic innego jak zniechęcanie w praktyce do składania formalnych skarg. Moi rozmówcy stanowczo przeciwko takim sugestiom oponują, wskazując na specyfikę swojej pracy. O ile rzecznik dyscyplinarny dąży w swoim postępowaniu do ukarania sprawcy jakiegoś deliktu, o tyle rzecznik akademicki wprost przeciwnie – zawsze zmierza do polubownego rozwiązania sprawy i zawarcia ugody między stronami prowadzącymi spór. W dużym skrócie można go więc określić jako swego rodzaju mediatora.

– Rzecznik dyscyplinarny jest w pewnym sensie „prokuratorem”, który szuka dowodów, zbiera zeznania. Przede mną nikt nie zeznaje, nie spisuje protokołów. Próbuję dojść do tego, żeby ludzie się dogadali – tłumaczy Gałkowski, który zaczął działać dwa lata temu. – Myślałem, że w pierwszym roku pracy będzie niewiele, że mało kto wie o moim istnieniu, tymczasem dostałem przeszło sześćdziesiąt mniej lub bardziej trudnych zgłoszeń. Mam wrażenie, że społeczność akademicka tego potrzebowała – dodaje.

Kiedy pytam o przebieg standardowego postępowania, wszyscy podkreślają, że takich nie ma. Inaczej będzie wyglądał przypadek z molestowaniem seksualnym, a inaczej konflikt z wykładowcą, który na pierwszych zajęciach niezgodnie z sylabussem zmienił zasady zaliczania, nie mówiąc o tym. Sprawy są bardzo różne, trwają od kilku dni do paru tygodni. Zaczynają się zawsze od rozmowy na żywo. Nie ma mowy o działaniu w reakcji na zgłoszenia mailowe czy telefoniczne.

– Muszę się zobaczyć z człowiekiem, to jest podstawa. Po drugie, to z nim uzgadniam, co robić dalej, on współdecyduje. I po trzecie, audi alteram partem – trzeba dać szansę temu drugiemu, by się wypowiedział. Potem szukamy rozwiązania, które obie strony by zadowolilo. Taka jest idea mediacji – opisuje Gałkowski.

Przez długi czas uczelnie nie widziały sensu powoływania rzeczników akademickich. Być może niektórzy rektorzy uznawali podległe sobie instytucje za wyjątkowe i nie sądzili, że tego typu problemy występują i u nich. Wszystko zmieniło się

w wyniku tzw. reformy Gowina i uchwalenia „Konstytucji dla nauki”. Jeszcze w 2019 roku Krajowa Sekcja Nauki NSZZ „Solidarność” podważała sens wprowadzenia instytucji ombudsmiana do polskiego systemu. Zwracano uwagę, że bez odpowiednich uprawnień będzie jedynie fasadowa, a dodatkowo – ze względu na formę zatrudnienia – narażona na konflikt lojalności. „Rzecznik praw i wartości akademickich w Polsce jest zaprzeczeniem zasad i wartości, jakimi kierują się ombudsmi na świecie” – pisano.

Mimo tego w połowie 2020 roku ówczesny minister nauki i szkolnictwa wyższego Wojciech Murdzek skierował do rektorów pismo, w którym rekomendował rozważenie powołania ombudsmianów na ich uczelniach. Była to reakcja na wystąpienie Rzecznika Praw Obywatelskich w sprawie nieprawidłowości na Śląskim Uniwersytecie Medycznym. Chodziło o mobbing i molestowanie studentek i studentów tej uczelni, co według nich miało być stałą i powszechnie znaną praktyką. Nagłośnienie problemu sprawiło, że w innych ośrodkach przejrano na oczy. Rzecznicy akademicki zaczęli się nagle pojawiać jak grzyby po deszczu. Pod różnymi nazwami działają dziś na wielu uczelniach. Są rzecznikami równości (AGH), rzecznikami ds. etyki (ASP Kraków, SGH), pełnomocnikami rektora ds. równego traktowania (UAP), rzecznikami praw i wartości akademickich (UJ, UŚ), rzecznikami ds. równości szans (UWM). Bez względu na sztyld, pod jakim działają i obrany styl pracy, obowiązują ich cztery zasady wpisane do zawodowego kodeksu etycznego: niezależność, bezstronność, nieformalność i poufność.

W ciszy gabinetu, w świetle kamer

Ta pierwsza oznacza, że podejmują decyzje tylko we własnym imieniu, sami decydują, czy i w jaki sposób zajmą się zgłoszonym problemem, działają niezależnie od innych instytucji uniwersyteckich. Anna Cybulko wspomina, że choć jej stanowisko od początku podlegało bezpośrednio rektorowi, czuła się zawsze w pełni niezależna – nikt na nią nie wpływał, niczego nie narzucał ani nie oczekiwał.

– Z pewnością sprzyjało to, że nie pracowałam na żadnym z wydziałów, a co za tym idzie pozostawałam poza jakimikolwiek układami wewnątrz uczelni. Myślę, że to w istotny sposób umocowało tę instytucję – podkreśla i zwraca uwagę, że od czasu Ustawy 2.0 mediatorem w sprawach dyscyplinarnych może być już tylko osoba, która jest nauczycielem akademickim.



Anna Cybulko

Bezstronność z kolei przejawia się w tym, że działania rzecznika są neutralne, nie reprezentuje on żadnej ze stron sporu, jest rzecznikiem akademickich wartości i praw, a nie konkretnych osób. Kolejna z zasad – nieformalność – może być traktowana dwojako: w tym, że nie prowadzi on oficjalnych postępowań, nie uczestniczy w podejmowaniu decyzji administracyjnych czy dyscyplinarnych, niektórzy dostrzegą słabość tej funkcji, inni – jej walor.

– Dla mnie to niewątpliwie zaleta, bo w ten sposób stanowią uzupełnienie systemu oprowadzania sporów na uczelni. Właśnie poprzez tę elastyczność, nieformalność można zrobić więcej w krótszym czasie. Spójrzmy dla porównania na bardzo sformalizowane postępowanie dyscyplinarne. Tam rzecznik musi doręczyć wezwania, protokolować spotkania itd., mnie takie wymogi nie dotyczą – przyznaje Chłudziński.

Dodaje, że z tą zasadą ściśle połączona jest kolejna – poufność. Obie stwarzają skomplikowanym osobom dogodne warunki do tego, aby się porozumieć. Chodzi też czasami o to, by po tym, jak strony podadzą sobie ręce i uznają, że sprawa została załatwiona, nie pozostał po niej ślad. Oczywiście bywa i tak, że ani mediacje, ani różnego rodzaju próby polubownego rozwiązania sporu nie pomagają. Wtedy pozostaje wkroczenie na drogę dyscyplinarną, a nawet sądową.

– To ostateczność, dlatego od zawsze uważam, że jeśli w moim biurze nie uda się zawrzeć porozumienia, to potem są już tylko gorsze rozwiązania: ktoś wygra, ktoś przegra. Tutaj możemy wciąż jeszcze uzyskać rezultat „win-win”. Jak mówią niektórzy prawnicy: lepsza najgorsza ugoda niż najbardziej sprawiedliwy wyrok. Taka zasada przyświeca mi w pracy – przyznaje.

Jest jeszcze jedno wyjście, w ostatnim czasie bardzo popularne: jeśli ktoś nie jest zadowolony z mediacji bądź niecierpliwi się przewlekłością działania na uczelni, próbuje sprawę nagłośnić, np. poprzez media tradycyjne bądź społecznościowe. O poufności mowy wtedy być już nie może. Co więcej, przedstawiona z własnej perspektywy rzeczywistość, nawet jeżeli subiektywnie prawdziwa, niekoniecznie ukazuje wszystkie okoliczności. Takie wyjście na zewnątrz wpływa też mocno na wizerunek uczelni. Ale w żadnym wypadku nie powinno na pracę rzecznika.

– Widzę swoją rolę w oderwaniu od dyskursu medialnego, presji mediów, polityki. Staram się podążać własną ścieżką.



Jan Gałkowski

Zajmuję się sprawami trudnymi, często ocieającymi się o naruszenia prawa albo wprost związanymi z naruszeniami, traumami i emocjami. Rozumiem, jeśli ktoś idzie do mediów, bo ma poczucie, że sprawy nie toczą się dla niego wystarczająco szybko. Ale żebym skutecznie mogła wspierać, muszę robić swoje, bez oglądania się na presję medialną, w adekwatnym tempie – twierdzi Cybulko.

Z kolei Bartosz Chłudziński przywołuje ciekawy przykład z Anglii i Walii, gdzie działa Office of the Independent Adjudicator for Higher Education. To jednostka funkcjonująca na szczeblu centralnym. Do niej współpracujące uczelnie kierują wszystkie tego typu sprawy.

– O ile wiem, Anglicy generalnie współpracują z mediami i niekiedy celowo nagłaśniają daną sprawę w prasie, po to żeby wyrzucić presję na wła-

dze czy osoby, w których domenie ona pozostaje. Ale oni pod tym względem są absolutnie wyjątkiem, to nie jest styl postępowania w tej części Europy. Naszym standardem postępowania jest jednak bardzo ograniczony kontakt z mediami – zastrzega.

Gałkowski z kolei widzi inny problem: granice wolności słowa. I pyta, czy członek społeczności akademickiej na prywatnym koncie na Facebooku może powiedzieć, co mu się żywnie podoba, czy też jako pracownik, student powinien się ograniczać ze względu na dobre obyczaje akademickie? Jednym słowem, czy pisząc w tym, czy innym medium, pozostaje akademikiem? A może wychodzi z tej roli?

Również o tego typu kwestiach rzecznicy rozmawiają ze sobą w ramach European Network for Ombudsman in Higher Education. W Polsce w ubiegłym roku powołano z kolei Akademicką Sieć Bezpieczeństwa i Równości. Do niedawna miała jedynie charakter networkingu, teraz nabrała formuły stowarzyszenia. Jak można przeczytać w statucie, ma ono zapewnić przestrzeń bezpiecznego i poufego dzielenia się wiedzą i doświadczeniami na temat problemów istniejących na uczelniach i sposobów ich rozwiązywania; poszukiwaniem najlepszych schematów działania w sytuacjach wymagających pomocy; tworzeniem bazy wiedzy i dobrych praktyk; diagnozowaniem i sygnalizowaniem problemów wspólnych dla wielu instytucji akademickich; prowadzeniem wspólnych badań i tworzeniem raportów „transunwersyteckich”. Do sieci należą rzecznicy z ponad trzydziestu polskich uczelni.

Chyba można by kształcić i tak

Reorganizacja podejścia do uprawiania nauki nie mogła nie zrodzić refleksji dotyczących nowoczesności i atrakcyjności dydaktyki. Zdecydowano się na weryfikację programów kształcenia od samych podstaw, zaangażowali się w to zwłaszcza młodzi pracownicy nawiązujący bliższy kontakt z aktualną generacją studentów.

Chciałbym poddać pod rozważenie projekt edukacyjny, który został podjęty na Wydziale Zarządzania Politechniki Warszawskiej (dalej WZ PW) w latach 2017-19, ale ostatecznie zaniechany w takim kształcie, jak o nim początkowo myślano. Nie ma potrzeby analizowania przyczyn rezygnacji z tego pomysłu, bo były związane z ówczesną polityką zarządzania edukacją na Politechnice, natomiast uważam, że warto pokazać go szerszemu gronu dydaktyków, zwłaszcza w czasie kiedy można się spodziewać kolejnego rewidowania edukacji wyższej w Polsce.

Na wstępie warto zaznaczyć, że WZ PW jest spadkobiercą i kontynuatorem tradycji uprawiania nauk o zarządzaniu zapoczątkowanej przez prof. Karola Adamieckiego. Ten prekursor naukowego zarządzania pracował na Politechnice od 1919 roku, a w 1922 roku otrzymał Katedrę Zasad Organizacji Pracy i Przedsiębiorstw Przemysłowych na Wydziale Mechanicznym. Po II wojnie światowej kontynuatorem był Oddział Inżynieryjno-Ekonomiczny na Wydziale Mechanicznym Technologicznym kierowany przez prof. Seweryna Chajtmana. Od 1953 roku Oddział prowadził kierunek kształcenia inżynierów organizatorów przemysłu, co trwa do dziś. W 1970 r. z połączenia Oddziału z Katedrą Ekonomiki i Organizacji Produkcji Wydziału Mechaniki Precyzyjnej (dziś Mechatroniki), kierowaną przez prof. Zygmunta Zbichorskiego, powstał Instytut Organizacji Zarządzania, przemianowany w 1985 r. na Instytut Organizacji Systemów Produkcyjnych, którym kolejno kierowali prof. Stanisław Lis, dr Marek Siudak i prof. Tadeusz Krupa. W 2008 r. na bazie większości zasobów tego instytutu utworzono Wydział Zarządzania, a jego dziekanem przez dwie kadencje był prof. Tadeusz Krupa. Taki rys historyczny niech służy podkreśleniu, że jednostki organizacyjne Politechniki Warszawskiej zajmujące się nauczaniem zarządzania miały i mają swoją wieloletnią specyficzną tradycję i doświadczenie.

W okresie ogólnopolskiego szykowania „reformy Gowina” na WZ PW dokonana się wprawdzie reorganizacja odpowiadająca głównemu wątkowi tej reformy, czyli postawieniu na intensywniejszy rozwój naukowy. Równocześnie reorganizacja podejścia do uprawiania nauki nie mogła nie zrodzić refleksji dotyczących nowoczesności i atrakcyjności dydaktyki. Zdecydowano

się na weryfikację programów kształcenia od samych podstaw, zaangażowali się w to zwłaszcza młodzi pracownicy nawiązujący bliższy kontakt z aktualną generacją studentów. Po pierwsze uznano, że przesłanką zmian powinien być wysoki poziom rekrutowanych kandydatów zdolnych do bardzo samodzielnego studiowania. Z uwagi na to przyjęto, że wiodącym hasłem takiej edukacji będzie „Więcej niż studia”. Po drugie dokonano analizy pomysłów na nowoczesne kształcenie w czołowych ośrodkach nauczania zarządzania biznesem na świecie. Nie przytaczam tutaj szczegółów tych analiz, tylko zreferuję od razu przyjęty ostatecznie pomysł, odnosząc się do kierunku kształcenia zarządzanie w gospodarce cyfrowej (taka nazwa była rozważana na początku, ale z uwagi na tylko częściowo zrealizowany pomysł ostateczna to inżynieria zarządzania), ramowy program przedstawiają tabele 1 i 2.

Rezygnacja z klasycznych przedmiotów

Prace projektowe nowego programu kształcenia przeprowadzono w klasycznej kolejności top-down, od sylwetki absolwenta zaczynając. Uzgodniono, że kierunek będzie podejmować zagadnienia menedżerskie zarządzania produkcją w perspektywie inżynierii cyfrowej, kształcąc na I stopniu absolwentów przygotowanych do pełnienia ról kierowniczych w zakresie zarządzania projektami cyfryzacji oraz posiadających umiejętności uruchomienia i prowadzenia własnego przedsięwzięcia technologicznego startupu, zaś na II stopniu przygotowanych do pełnienia ról kierowniczych związanych z kreowaniem rozwoju organizacji w ramach gospodarki cyfrowej oraz z zapewnianiem bezpieczeństwa i ciągłości działania organizacji w warunkach wszelkich zagrożeń, zwłaszcza cyfrowych.

W ramach definiowania profilu absolwenta uznano, że zawód menedżera produkcji w gospodarce cyfrowej składa się z 9 grup kompetencji zarządczych, z których sześciu należy uczyć na I stopniu (tytuł zawodowy inżyniera), a trzech na II stopniu (tytuł zawodowy magistra). Na I stopniu kształcenia jako kompetencje wspólne dla dwóch specjalizacji tego kierunku wytypowano: zarządzanie, inżynierię produkcji (w optyce cyfryza-

Tabela 1. Studia inżynierskie na kierunku zarządzanie w gospodarce cyfrowej

	Specjalności i profile kompetencji	
	Przedsiębiorczość cyfrowa Inżynier-założyciel startupu technologicznego	Inżynieria cyfrowa Inżynier-kierownik projektów cyfryzacyjnych
Moduły kierunkowe:	Semestralne projekty zaliczeniowe w ramach modułów kierunkowych	
Zarządzanie	Analiza, ocena i modelowanie procesów zarządzania	
Inżynieria produkcji	Projekt cyfrowy procesu produkcyjnego	
Ekonomia	Analiza i ocena efektywności przedsięwzięcia	
Moduły specjalności i semestralne projekty zaliczeniowe		
Wiodący	Przedsiębiorczość technologiczna: Projekt startupu technologicznego	Kompetencje cyfrowe: Projekt systemu informatycznego zarządzania
Uzupełniający 1	Innowacje i technologie: Prototyp produktu sporządzony z wykorzystaniem narzędzi cyfrowych	IT w zarządzaniu: Projekt cyfrowej architektury korporacyjnej
Uzupełniający 2	Cyfrowe wsparcie marketingu i sprzedaży: Projekt internetowego systemu komunikacji i sprzedaży	Zarządzanie projektami cyfryzacji: Projekt środowiska technicznego zarządzania projektem
Moduły obieralne (bez projektów semestralnych, tylko ćwiczenia)		
	IT w zarządzaniu	Innowacje i technologie
	Kompetencje cyfrowe	Przedsiębiorczość technologiczna
Egzamin dyplomowy (zamiast pracy dyplomowej)		

Źródło: Kosieradzka A., Kunikowski G., Rostek K., Zawila-Niedźwiecki J. (2017), Wydział Zarządzania Politechniki Warszawskiej – historia i współczesność, „Przegląd Organizacji”, nr 5, s. 64–68.

Tabela 2. Studia magisterskie kierunku Zarządzanie w gospodarce cyfrowej

	Specjalności i profile kompetencji	
	Innowatyka i zarządzanie rozwojem Menedżer rozwoju i innowacji	Zapewnianie bezpieczeństwa i ciągłości działania Menedżer bezpieczeństwa (w tym cyberbezpieczeństwa)
Moduły kierunkowe	Semestralne projekty zaliczeniowe w ramach modułów kierunkowych	
Zarządzanie	Projekt zmian procesów zarządzania	
Inżynieria produkcji	Projekt optymalizacji procesu produkcyjnego	
Ekonomia	Plan finansowy przedsięwzięcia	
Moduły specjalności (bez projektów semestralnych, tylko ćwiczenia)		
Wiodący	Innowatyka i zarządzanie rozwojem	Zarządzanie ryzykiem
Uzupełniający 1	Innowacje i technologie	Bezpieczeństwo w organizacji
Uzupełniający 2	Gospodarka cyfrowa	Zarządzanie ciągłością działania
Moduły obieralne (bez projektów semestralnych, tylko ćwiczenia)		
	Ekosystemy przedsiębiorczości	Innowacje i technologie
	Marketing	Gospodarka cyfrowa
Obrona pracy dyplomowej		

Źródło: Kosieradzka A., Kunikowski G., Rostek K., Zawila-Niedźwiecki J. (2017), Wydział Zarządzania Politechniki Warszawskiej – historia i współczesność, „Przegląd Organizacji”, nr 5, s. 64–68.

cji), ekonomię (i finanse), a następnie w odniesieniu do każdej ze specjalności kolejne kompetencje, tak jak to pokazano w tabeli 1. W dalszym wywodzie niniejszego artykułu referowana jest idea kształcenia na I stopniu, a ideę kształcenia na II stopniu można sobie wyobrazić przez analogię i na podstawie opisu w tabelach.

Najistotniejsza zmiana polegała na rezygnacji z klasycznych przedmiotów w opisie programu kształcenia na rzecz modułów problemowych kształcących pod kątem osobnych rodzajów kompetencji zawodowych, z których 6 na studiach I stopnia, a 3 na studiach II stopnia miały być wieńczące rozbudowanymi projektami semestralnymi kształtującymi finalne umiejętności absolwenta. Oczywiście od strony organizacyjnej przedmioty zachowano, natomiast ich zawartość została od nowa skomponowana w układzie logicznego następstwa treści kształcenia wynikającego z nowo ustalonej zawartości każdego modułu, także z synchronizacją pomiędzy modułami.

Moduły problemowe nie były projektowane jako tradycyjny ciąg przedmiotów, lecz jako ciąg zagadnień jednoznacznie określonych i o bardzo różnym wymiarze godzinowym zajęć (od pojedynczych godzin do kilkudziesięciu), chodziło o przemysłową na nowo kompozycję zagadnień służących dostarczeniu wiedzy i wykształceniu umiejętności odpowiadających danemu modułowi tematycznemu. W celu odwrócenia uwagi od tradycyjnego podejścia używano pojęcia granulacji treści modułu. Przykładowo: tradycyjne, pojmowane jako wspólny punkt wyjścia do kształcenia inżynierskiego, zablokowane uczenie matematyki zostało podzielone pomiędzy moduły. I tak, w ramach programu modułu ekonomia (i finanse) ulokowano takie zagadnienia matematyczne jak: analiza funkcji, rachunek prawdopodobieństwa, statystyka; w ramach programu modułu inżynieria produkcji umieszczono matematykę dyskretną; a w ramach modułu kompetencje cyfrowe teorię grafów i teorię algorytmów. Kolejnym przykładem są uniwersalne techniki organiza-

torskie, np. analiza SWOT (silnych versus słabych stron organizacji oraz szans versus zagrożeń w otoczeniu organizacji), która choć powstała w ramach teorii zarządzania strategicznego, to znajduje zastosowanie w szeregu innych koncepcji zarządzania. Wobec tego została wyodrębniona jako osobne zagadnienie dydaktyczne i umieszczona w programie kształcenia już na początkowym jego etapie, aby umiejętność posłużenia się nią mogła być wykorzystywana w różnych innych zagadnieniach. Natomiast zarządzanie strategiczne jako zaawansowana kompetencja menedżerska zostało ulokowane w programie studiów II stopnia w ramach poznawania syntezy wiedzy o zarządzaniu.

Tak znaczna liczba poważnych projektów została w programie rozłożona na trzy ostatnie z siedmiu semestrów kształcenia na I stopniu (po dwa w semestrze) i skłoniła do pomysłu rezygnacji z klasycznej pracy dyplomowej na I stopniu na rzecz samego egzaminu końcowego przeprowadzanego na bazie tych sześciu projektów, jakie w toku studiów opracowywał student. Miało to też prowadzić do płynnego przechodzenia z I na II stopień studiów tych studentów, którzy się na to zdecydują. Na marginesie i bez dyskusji argumentów dodam, że ten akurat element projektu kształcenia nie znalazł uznania u decydentów uczelni i spowodował znaczące okrojenie ostatecznie wdrożonego projektu zmiany programu kształcenia.

Inną ważną zmianą była całkowita rezygnacja z formy wykładowej na II stopniu kształcenia i znaczne jej ogranicze-

nie na I stopniu do najbardziej podstawowych treści. Dominujące stały się formy interaktywne wymagające samodzielnego studiowania podstaw teoretycznych poza zajęciami z nauczycielem akademickim. Założono dominację form ćwiczeniowych i projektowych.

Jak uczyć?

W tym roku i w następnych latach spodziewam się kolejnej, może wreszcie konstruktywnej reformy szkolnictwa wyższego i należytego zwrócenia uwagi na to, co przez dobrych sto lat było jego siłą w Polsce: solidność, nowoczesność i kreatywność. W dodatku mamy do czynienia z pokoleniem młodzieży zanurzonej w cyfryzacji, co niekiedy określa się nawet jako nowy gatunek ludzi. To żartobliwe określenie jest dobrym sformułowaniem wyzwania, że tak jak dotychczas uczyć nie należy. Powstaje pytanie: jak uczyć wobec tego? Nie usiłuję udawać, że znam odpowiedź, natomiast chciałbym zobaczyć żywą dyskusję w tym względzie, zapewne posegmentowaną według rodzajów uczelni, kierunków, lokalnych uwarunkowań itp. Taka jest rola uniwersytetu i akademii w klasycznym rozumieniu tych pojęć. I taki motyw przyświecał napisaniu tego tekstu.

Dr hab. n. ekon. inż. Janusz Zawiła-Niedźwiecki, prof. PW, kierownik Zakładu Zarządzania Publicznego na Wydziale Zarządzania Politechniki Warszawskiej, przewodniczący Rady Naukowej Instytutu Łączności – PIB

SOLIDNIE - NOWOCZEŚNIE - KREATYWNIE



rys. Sławomir Mahal

Zbigniew Drozdowicz

Akademickie długi wdzięczności

Lista form zaciągania akademickich długów staje się coraz dłuższa i bardziej zróżnicowana. Może się ona zaczynać od długu zaciągniętego u promotora pracy doktorskiej, a kończyć na długu zaciągniętym u tych, którzy pozytywnie zaopiniowali osiągnięcia naukowe osób ubiegających się o tytuł profesora. Może się ona jednak również zaczynać od zwyczajnej życzliwości okazanej przy rozpatrywaniu prośby o pozytywne załatwienie jakiejś życiowej sprawy.

Długi zwykle chętniej się zaciąga niż spłaca. Nie inaczej jest z długami wdzięczności. Od innych różnią się tym, że są nie tylko trudniejsze do określenia, ale także do satysfakcjonującego lub przynajmniej nie rozczarowującego „wierzycieli” spłacenia. W akademickim życiu zarówno te długi, jak i ich spłacenie mają specyficzne formy.

Zaciąganie długów

Jedną z najdawniejszych i najbardziej rozpowszechnionych form tych długów było i jest zaciąganie ich przez szukających intelektualnego wsparcia u mądrzejszych lub przynajmniej bardziej doświadczonych. W ten sposób w starożytności powstawały szkoły filozoficzne, a później również szkoły naukowe lub przynajmniej wspólnoty akademickie funkcjonujące pod nazwą szkoły. O powstawaniu i funkcjonowaniu niektórych szkół sporo wiadomo, bowiem zachowały się świadectwa pisane mistrzów i nauczycieli, a także uczniów. Na miano szkoły zasłużyła m.in. Akademia Platona, zawdzięczająca swoje powstanie Platonowi, a późniejsze funkcjonowanie wielu jego uczniom. W okresie średniowiecza szkołę stanowili scholastycy (z łac. scholasticus – szkoła). Rzecz nie w tym, że scholastycy nie kontynuowali starożytnych tradycji, a nawet nie w tym, że nie mieli swoich mistrzów i nauczycieli, lecz w tym, że do grona dawnych mistrzów (takich jak Arystoteles) dołączyli tacy, którym z dawnymi mistrzami nie było specjalnie po drodze. Wprawdzie niektórzy z nowych mistrzów wyniesieni zostali na chrześcijańskie ołtarze, jednak to nie to samo, co akademickie katedry i w miarę upływu czasu różnice między nimi stawały się coraz bardziej widoczne. Jeszcze w czasach Izaaka Newtona starano się je zacierać – ten wybitny matematyk i fizyk w końcu zmuszony został do przyjęcia święceń kapłańskich, bowiem bez nich nie mógłby dłużej zajmować profesorskiego stanowiska w Trinity College (Kolegium Świętej Trójcy) Uniwersytetu Cambridge. Po upadku wielu europejskich uniwersytetów w XVIII stuleciu nastąpiły czasy ich stopniowego odradzania się. Dzisiaj na świecie pod szyldem uniwersytetu występuje wiele uczelni, które z kościelnymi ołtarzami mają mało wspólnego.

Nowe czasy przyniosły ze sobą również nowe formy zaciągania akademickich długów. W przodujących pod niejednym względem Stanach Zjednoczonych stosunkowo najbardziej rozpowszechnioną formą długów studenckich jest kredyt brany na pokrycie kosztów studiowania. Kredyty udzielane są nie z wdzięczności, lecz w oczekiwaniu na finansowe zyski. W bogatych krajach funkcjonują również instytucje i osoby prywatne, które przyznają studiującym różnego rodzaju stypendia. Rzecz jasna nie bez konkretnych oczekiwań, a te już można uznać za zaciąganie długów wdzięczności. Natomiast w krajach, w których formalnie studia są bezpłatne, największymi kredytodawcami są wszyscy podatnicy.

Obecnie ma miejsce nie tylko przywracanie znaczenia form zaciągania długów, które występowały już w starożytnych szkołach filozoficznych, ale także pojawia się wiele takich, które pod niejednym względem różnią się od dawniejszych. Na uczelniach o charakterze wyznaniowym pozostaje zaciąganie długów wdzięczności wobec Kościoła, reprezentowanego zarówno przez kościelnych hierarchów, jak księży biznesmenów. Na uczelniach świeckich poczynania tych osób budzą liczne zastrzeżenia. Natomiast za rzecz normalną uznawane jest wystawianie świadectwa, jeśli nawet nie naukowej wybitności, to przynajmniej naukowej przyzwoitości przez naukowych opiekunów osób ubiegających się o miejsce w gronie akademickich uczonych, a po dołączeniu do tego grona przez decydentów o ich dalszym byciu lub niebyciu akademikiem. Sprawia to, że lista form zaciągania akademickich długów staje się coraz dłuższa i bardziej zróżnicowana. Może się ona zaczynać od długu zaciągniętego u promotora pracy doktorskiej, a kończyć na zaciągniętym u tych, którzy pozytywnie zaopiniowali osiągnięcia naukowe osób ubiegających się o tytuł profesora. Może się ona jednak również zaczynać od zwyczajnej życzliwości okazanej przy rozpatrywaniu prośby o pozytywne załatwienie jakiejś życiowej sprawy, a kończyć na wyrozumiałości w traktowaniu osób, które dopiero zdobywają akademickie „szlify” i popełniają tak kardynalne błędy, jak np. niemądre wypowiedzianie się o kwalifikacjach i osiągnięciach tych, którzy



Rys. Sławomir Malal

mogą im zamknąć drzwi do kariery akademickiej. Może się ona też zaczynać od dołączenia do dobrze rokującego zespołu badawczego, a kończyć albo naukowym osiągnięciem (wówczas sukces miewa wielu „ojców”), albo niepowodzeniem (wówczas porażka może okazać się „sierotą”, jaką jest najmniej doświadczona osoba).

Splacanie długów

Splacanie długów wdzięczności ma tak samo długie tradycje jak ich zaciąganie. Potwierdzeniem tego są apologetyczne obrazy filozoficznych mistrzów nakreślone przez ich uczniów. Stosunkowo najbardziej znanym jest obraz Sokratesa nakreślony przez jego ucznia Platona. Apologia ta jest do tego stopnia pozbawiona elementów krytycznych, że można się poważnie zastanawiać, czy jej autor był samodzielnym filozofem, czy jedynie popularyzatorem tego, czego się nauczył u swojego mistrza. W średniowieczu również nie brakowało apologetów. Nie kreślili oni jedynie apologii Boga, w którego istnienie i moce sprawcze wierzyli, ale także tych, którzy przez różne chrześcijańskie wspólnoty zaliczeni zostali do grona świętych. Pojawienie się w Europie uniwersytetów oznaczało wprowadzenie nowej jakości w splacaniu długów wdzięczności, jednak wyraźniej zaznaczyła się ona stosunkowo późno, dopiero na przełomie XV i XVI stulecia. Jej wyrazem była m.in. *Pochwała głupoty* Erazma z Rotterdamu. U jednych dzieło to wywołało uznanie, a nawet spore rozbawienie, u wielu innych zaś tzw. święte oburzenie. W końcu uczelnie chciałyby uchodzić nie za ostoję głupoty, lecz mądrości i „nie kala się własnego gniazda”, przedstawiając ich profesorowie w taki sposób, jakby z mądrością mieli mało wspólnego. Trzeba przy tym przypomnieć, że autor tego dzieła nie tylko studiował na dobrych uczelniach, ale także na nich wykładał.

W późniejszym okresie do głosu doszły formy splacania akademickich długów mające jeszcze mniej wspólnego ze świętością, natomiast sporo z naukowością, w której liczą się dokładne wyliczenia i doświadczenia. Jednak nie tylko, bowiem sporą rolę odgrywały również sympatie i antypatie między uczonymi. Przykładem może być m.in. mający miejsce na przełomie XVII i XVIII stulecia spór Newtona z Robertem Hooke'em w sprawie kształtu soczewek do teleskopu oraz siły sprawiającej, że planety poruszają się po eliptycznych torach. Z zachowanej korespondencji między tymi uczonymi wynika, że przez dłuższy czas zgodnie współpracowali, a Hooke – w okresie, kiedy stał na czele Towarzystwa Królewskiego (Angielskiej Akademii Nauk) – pomógł Newtonowi dołączyć do grona jego członków. Później relacje między nimi się pogorszyły do tego stopnia, że Newton – po przejściu zwierzchnictwa w towarzystwie – nakazał usunąć z jego pomieszczeń wszystkie świadectwa obecności Hooke'a. Można wprawdzie powiedzieć, że w ten sposób „odwdziczył się” swojemu oponentowi, jednak taką formę „odwdziczenia się” trzeba brać w cudzysłów. Przywołuję ten przykład przede wszystkim po to, by powiedzieć, że dzięki takim sposobom okazywania wdzięczności można czasami zapisać się w historii akademickiego życia, ale raczej nie na kartach wielkiej nauki, w której Newton miał znaczące osiągnięcia.

Na uznanie zasługuje natomiast forma splacania akademickich długów, jaką są uroczyste pożegnania, a później zaproszenia na uczelniane uroczystości – począwszy od rozpoczęcia roku akademickiego, a skończywszy na spotkaniu grona najbliższych uczniów i przyjaciół. Godne odnotowania jest również przyznawanie byłym akademikom finansowych dodatków do emerytury. Na mojej uczelni występują one pod nazwą „nagrody rektora” i przyznawane są wszystkim bez wyjątku emerytowanym profesorom na koniec każdego roku kalendarzowego. Zaniepokojony taką rozrzutnością uczelni powiem,

że nagrody nie porażają wysokością. Ale rzecz jasna, lepsze to niż zapomnienie. Bardziej ambitną formą splacania akademickich długów jest przygotowanie, opublikowanie i uroczyste wręczenie tzw. książki jubileuszowej. Jest ona dobrym testem na pamięć zarówno tych, którzy coś zawdzięczają jubilatowi, jak i tych, którzy jedynie z nim się spotkali na akademickiej drodze. Podobnie rzecz się ma z przedłużaniem przez uczelnianych decydentów zatrudnienia tym, którzy wprawdzie już osiągnęli wiek emerytalny, ale trudno jest im się rozstać z macierzystą uczelnią. Nie widzę w tym niczego nagannego, jeśli tak wyróżnieni są nadal aktywni naukowo i mogą mieć istotny wkład w umocnienie naukowej pozycji swojej dyscypliny lub dziedziny nauki. Problem jednak w tym, że choć niektórzy z ubiegających się o przedłużenie zatrudnienia emerytów skłonni są zadowolić się jakąś częścią etatu, to jednak po zsumowaniu wszystkich takich części wyjdzie spory wydatek finansowy. W związku z tym na mojej uczelni (UAM) podjęte zostały działania „naprawcze”. Nie będę jednak wchodził w szczegóły. Rozumiem, iż uczelniani decydenci mają również długi wdzięczności do splacenia. Dobrze byłoby jednak, aby splacali je z własnej kieszeni.

Moje długi

W każdym wieku może się pojawić potrzeba dokonania „rachunku sumienia”, w którym znajdują się zarówno splacone, jak niesplacone długi wdzięczności. Moje akademickie życie jest tak długie, że nie jestem w stanie spamiętać wszystkich długów zaciągniętych wobec mojej uczelni oraz osób, które pojawiły się na mojej akademickiej drodze. Dobrze jednak pamiętam moje studia i mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że nie byłyby możliwe nie tylko bez wsparcia mojej rodziny, ale także świadczeń ze strony uczelni, których wyrazem było m.in. przyznanie mi miejsca w akademikach za stosunkowo niską opłatą. Pamiętam również akademickich nauczycieli, w szczególności prof. Janusza Pajewskiego, który był promotorem mojej pracy magisterskiej. Niejednokrotnie zresztą później przedstawiałem go studentom jako wzór człowieka i nauczyciela. Zapewne inni uczniowie uznają go również za wzór uczonego. Jednak w późniejszym okresie nasze naukowe drogi się rozeszły i prowadziły do istotnie różniących się obszarów badawczych. Czy na swojej drodze spotkałem uczonego, o którym z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że był mistrzem w swoim fachu i wzorem pracy badawczej? Raczej nie. Jednak sporo się nauczyłem zarówno od wspierających moje wysiłki badawcze, jak i od utrudniających je, a nawet od tych, którzy przyczynili się do mojego odejścia z instytutu, w którym przez kilkadziesiąt lat funkcjonowałem. Czy „odwdziczyłem” się im na sposób newtonowski? Nie mnie to oceniać. Powiem jednak, że nie tylko w życiu akademickim lekceważenie nie jest cnotą. Czasami okazuje się wręcz głupotą i ma wysoką cenę. Czy splaciłem dług wdzięczności wobec uczelni, w której najpierw studiowałem, a później przez ponad pół wieku pracowałem? To również pozostawiam do oceny innym.

Mam świadomość, że „przywoływane do tablicy” – nie tylko zresztą w tym artykule – władze rektorskie mojej uczelni mogą poczuć się urażone moimi uwagami i sugestiami. Powiem jednak coś, co być może również im się nie spodoba: Uniwersytet to jednak coś dużo więcej niż władze rektorskie. Te bowiem przychodzą i odchodzą, a Uniwersytet pozostaje i realizuje swoje społeczne misje. Władze rektorskie mogą, a nawet powinny być mu w tym pomocne. Rzecz jasna w praktyce różnie z tym bywało. W każdym razie mojej uczelni życzę takich, które zapiszą się w historii nie tylko portretami na ścianach rektorskiego gabinetu. Uwagę tą traktuję jako głos w dyskusji związanej z wyborami władz rektorskich.

Tuuli kääntyy pohjoiseen

Studia i praca na uniwersytecie w Finlandii

Ze względu na efektywną współpracę uniwersytetu, ośrodków badawczych i tutejszego parku technologicznego, miasto nazywane jest „Doliną Krzemową Północy”. Nie ma w tym określeniu nadużycia, bo od lat 90. XX w. gospodarka Finlandii opiera się na wysoko zaawansowanych technologiach wytwarzanych przy udziale ośrodków akademickich.

Rok akademicki zaczął się jak zawsze z początkiem września, a już od końca października zapanowała śnieżna i mroźna zima. Na przełomie grudnia i stycznia słupek rtęci przez wiele dni wskazywał blisko minus 30°C, ale nie zniechęciło to studentów i pracowników uniwersytetu do transportu rowerowego. Niedobór w organizmie witaminy D przy oświetleniu dziennym trwającym trzy i pół godziny wynagradzają polowania na zorzę polarną. Niemniej spektakularnie prezentuje się zamrożony Bałtyk, po którym wytycza się drogę jezdnią do jednej z pobliskich wysp. Jak wygląda życie akademickie 170 km od koła podbiegunowego i praca naukowa w Finlandii? Zapraszamy w krótką podróż do Uniwersytetu w Oulu.

Fiński system szkolnictwa, podobnie do innych krajów Fennoskandii, stawiany jest często za wzór edukacji. Byliśmy zawsze ciekawi, jak wygląda to w praktyce, a teraz możemy to sprawdzić. Autor artykułu realizuje na Uniwersytecie w Oulu projekt badawczy finansowany przez Narodową Agencję Wymiany Akademickiej, a autorka, biegle posługująca się językiem fińskim, podjęła tu studia doktorskie. Nasz tekst nie jest inspirowany chęcią metodycznego omówienia uwarunkowań rządzących nauką i badaniami w Finlandii. Chcemy natomiast wskazać na kilka niuansów, które decydują o obrazie fińskiego uniwersytetu i uchwycić specyfikę miejsca, w którym pracujemy.

Oulu z 215 tys. mieszkańców to piąte z największych miast Finlandii. Zostało założone w 1605 r. nad Zatoką Botnicką. Jest stolicą regionu zwanego Północną Ostrobotnią, graniczącego bezpośrednio z fińską Laponią. Jest to także największy poza Helsinkami ośrodek akademicki, nie bez przyczyny specjalizujący się w badaniach Arktyki i Subarktyki. Ze względu na efektywną współpracę uniwersytetu, ośrodków badawczych i tutejszego parku technologicznego, miasto nazywane jest „Doliną Krzemową Północy”. Nie ma w tym określeniu nadużycia, bo od lat 90. XX w. gospodarka Finlandii opiera się na wysoko zaawansowanych technologiach wytwarzanych przy udziale ośrodków akademickich.

Uniwersytet w Oulu powołany został w 1958 r. na bazie wcześniejszej uczelni o profilu medycznym. Jednostka zatrudnia 3,8 tys. pracowników. Kadre w 51% tworzą kobiety, 22% personelu pochodzi z zagranicy, 39% ma stopień doktora. Wśród znanych absolwentów uczelni znajduje się laureat Pokojowej

Nagrody Nobla, były prezydent Finlandii Martti Ahtisaari. W strukturze uniwersytetu mieści się 8 wydziałów, na których studiuje 13,9 tys. studentów. Uniwersytet posiada dwa kampusy. Główny znajduje się w dzielnicy Linnanmaa, ok. 5 km na północ od centrum miasta i wyposażony jest w ogólnodostępną bibliotekę uniwersytecką Pegasus. W kampusie założono także dodatkowe jednostki badawcze, w tym najprężniej rozwijający się Instytut Kerttu Saalasti. Uczelnia zarządza także stacjami badawczymi w innych rejonach Finlandii.

Uniwersytet w Oulu realizuje zadania w ponad 70 obszarach badawczych. Strategiczne cele badawcze uczelni skupiają się na pięciu tematach. Są to: 1) molekularne i środowiskowe podstawy zdrowia, 2) zrozumienie ludzi w erze zmian, 3) zmieniający się klimat i środowisko Północy, 4) digitalizacja i rozwój społeczeństwa cyfrowego (smart society), 5) systemy wspierające zrównoważony rozwój użytkowania zasobów i materiałów. Uczelnia dąży do pogłębienia współpracy między specjalistami z różnych dziedzin w celu pogłębienia badań o charakterze multi- i interdyscyplinarnym, czego przykładem może być program zrzeszający naukowców Biodiverse Anthropocene (ANTS). Naukowcy osiągają znaczące sukcesy w dziedzinie nowych technologii. Od roku 2000 opublikowano blisko 80 prac naukowych, które były pochodną badań firm spin-off. Uniwersyteccy naukowcy i działające tu instytuty zgłaszają rocznie 40–60 patentów. W 2022 r. uczelnia miała 3,1 tys. afiliowanych publikacji. Wszystko to sprawia, że Uniwersytet w Oulu notowany jest wśród 3% najlepszych uczelni świata, przy rocznym budżecie 274 milionów euro.

Studenci odpowiedzialni za własne plany studiów

Edukacja jest jednym z kamieni węgielnych fińskiego społeczeństwa opiekuńczego. Umiejętności czytania i pisania były zresztą istotnym dogmatem dominującego tu luteranizmu (rozumienie Biblii), który do sakramentów bierzmowania i małżeństwa dopuszczał osoby umiejące czytać. Sprawilo to, że pod koniec XVIII w. ponad 50% Finów potrafiło pisać i czytać, a w połowie XIX w. odsetek ten wzrósł do 80–90%. W 1880 r., gdy zaczęto prowadzić oficjalne statystyki, wynosił już 97,6%. Państwo dba tu o równe szanse edukacyjne, a edukacja na każdym poziomie, łącznie z opieką przedszkolną, jest bezpłatna.

Uczelnie dzielą się na dwa rodzaje: uniwersytety nauk stosowanych (fin. ammattikorkeakoulu lub w skrócie AMK) kończące ścieżkę zawodową edukacji (fin. ammattioppilaitos) oraz uniwersytety tradycyjne (fin. yliopisto) kończące ścieżkę akademicką z tytułem inżyniera (insinööri), licencjata (kandidaatti) i dalej magistra (maisteri). Studentów obowiązuje przynależność do związku studenckiego. Nabywają jednocześnie prawa do opieki zdrowotnej i innych świadczeń socjalnych, które jednak mogą zostać zawieszane w przypadku braku postępów w nauce.

Opracowana w latach 90. XX w. polityka edukacyjna Finlandii dążyła do wykształcenia na poziomie wyższym 60–70% społeczeństwa. Wobec utrzymującej się tendencji wzrostu bezrobocia absolwentów uczelni i postulatów sfery gospodarczej, trend ten prawdopodobnie nie zostanie utrzymany, podobnie jak liczne ulgi przysługujące studentom wobec cięć budżetowych. Przeciwno ograniczaniu funduszy studenci zorganizowali zresztą w październiku 2023 r. strajk okupacyjny w kampusie Linnanmaa. Podejmowane są jednak inne inicjatywy. Przykładowo w 2018 roku Uniwersytet Helsiński wspólnie z fińską firmą technologiczną ogłosili, że zamierzają kształcić 1% społeczeństwa (w sumie 54 tys. osób) w zakresie podstaw sztucznej inteligencji. Opracowany kurs jest dostępny w Internecie i zgromadził już ponad 220 tys. rejestracji.

W Finlandii uniwersytety są podmiotami niezależnymi, co ma gwarantować wolność nauki, sztuki i szkolnictwa wyższego. Ta niezależność przenoszona jest także na studentów, którzy nawet na poziomie licencjackim są odpowiedzialni za własne plany studiów i mają dużą elastyczność w przystępowaniu do kursów i egzaminów. Być może jest to jedna z przyczyn tego, że często studiują oni dłużej niż pięć lat, aby uzyskać stopień magistra. Rok akademicki składa się z semestru wiosennego (kevätlukukausi) i jesienno (syyslukukausi), które są podzielone na periody, rozdzielane tygodniowymi przerwami: syysloma jesienią i talviloma (synonim hiihtoloma, dosł. ferie narciarskie) w marcu, gdy Finowie na poważnie zajmują się jazdą na nartach. Obowiązują także dwutygodniowe ferie w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Niestety nawet fiński system edukacji napotkał na swojej drodze nieprzyjazne rafy. Opublikowany przez fińskie Ministerstwo Edukacji i Kultury raport (Sivistyskatsaus 2023) stwierdza, że po okresie dynamicznego wzrostu w latach 1950–1990, postępuje spadek osiąganych efektów kształcenia, podob-

nie jak nakładów na naukę. Najlepiej wykształconą grupą wiekową są osoby urodzone w roku 1978 i jest mało prawdopodobne, aby kolejne roczniki kiedykolwiek osiągnęły podobny poziom edukacji. Szeroko dyskutuje się także szwedzkie doświadczenia wykazujące jednoznacznie zły wpływ cyfryzacji na efekty nauczania, zarówno w szkołach, jak i na uniwersytetach. Opisuje się wręcz epidemię ADT (*Attention Deficit Trait* – syndrom deficytu uwagi, nie mylić z ADHD), który jest jedną z przyczyn problemów w nauczaniu, wzrostu agresji i zaburzeń mentalnych, często właśnie młodszej części populacji. Mimo opisanych przeciwności, w XXI wieku wzrósł poziom wykształcenia kadr badawczo-rozwojowych. Udział pracowników z wykształceniem wyższym podniósł się z około jednej trzeciej na początku lat 90. XX w. do prawie 45% w 2010 r. Wzrost ten jest szybszy w firmach niż na uczelniach, w sektorze publicznym czy prywatnych organizacjach non-profit. Od 2017 r. liczba badaczy wzrosła, zwłaszcza w sektorze przedsiębiorstw, i obecnie zbliża się do 90 tys. (Finlandia liczy 5,5 mln mieszkańców).

Zadowolenie z pracy umiarkowane

O rzeczywistej sytuacji naukowców wiele mówi opublikowany z końcem 2023 r. raport *Peräkkäin, rinnan ja päällekkäin* (dosłownie: „Kolejne, równoległe i nakładające się”) podsumowujący odpowiedzi 1100 ankietowanych pracowników



Uniwersytet w Oulu otaczają liczne parkingi rowerowe zapełnione bez względu na warunki meteorologiczne. Ponieważ główny budynek kampusu jest istnym labiryntem, w nawigacji pomagają aplikacje mapowe na smartfony. Jego wnętrza oferują studentom wiele kąciówek pracy i relaksu. Na dolnym zdjęciu można dostrzec m.in. szafkę do wypożyczenia laptopów.

Fot. M. Kasprzak

ków sektora nauki. Zadowolenie z pracy jest tu umiarkowane. 68% respondentów sfinansowało swoją pracę dyplomową kilkoma grantami. Kobiety miały więcej źródeł finansowania niż mężczyźni, tj. otrzymywały więcej grantów, jednak na krótsze okresy. 50% pracowników nauki świadczyło pracę na podstawie co najmniej 10 odrębnych umów. Średnie wynagrodzenie osób pracujących w pełnym wymiarze czasu pracy wynosiło 4130 euro i nie było znaczących różnic w zarobkach kobiet i mężczyzn (dla porównania: przeciętna pensja lekarzy wynosiła 4461 euro, a osób z wykształceniem wyższym 3334 euro; wynajęcie mieszkania lub domu szeregowego to w Oulu koszt 400–900 euro, cena litra oleju napędowego wynosi 1,9 euro, chleba ok. 3 euro – te dane dopisujemy od siebie). 43% respondentów uważało, że ich wynagrodzenie jest zbyt niskie w porównaniu z obowiązkami służbowymi, 38% stwierdziło, że system wynagrodzeń oparty na trudności zadania został zastosowany nieprawidłowo. Praca w nadgodzinach często nie była opłacana, 45% ankietowanych samodzielnie kupiło część narzędzi pracy. Wypalenia zawodowego doświadczyło 48% respondentów. Duży stres odczuwało 45% osób, najwięcej wśród kadry dydaktycznej (52%), a następnie pracowników naukowych (49%). Najwięcej stresu wywołują terminy, niepewność kontynuacji stosunku pracy i ubiegania się o finansowanie, a także zbyt mało czasu na badania naukowe. Brzmi znajomo. 70% respondentów złożyło co najmniej jeden wniosek o dofinansowanie w ciągu ostatniego roku (2022). 55% ankietowanych rozważało zmianę pracy.

Czy jest zatem tak, że zawsze odległe wzgórze wydają się bardziej zielone (przysłowie irlandzkie)? I tak, i nie. Poziom stresu na polskich uczelniach zbliża się niekiedy do wartości trzydziśfowej. Wracając do Finlandii – do tej pory państwo mocno dotuje szkolnictwo wyższe. Beneficjentami systemu socjalnego z pewnością są studenci i doktoranci. Korzystają z niezłych stypendiów (doktorancka pensja etatowa to na początek 2300 euro), dotowanych akademików i stołówek, mają dostęp do różnorodnego oprogramowania, kursów, wydarzeń kulturalnych, debat. Nasz Uniwersytet w Oulu wyraźnie organizuje swoją pracę z myślą o nich. Ale stawia się im także konkretne wymogi. Podobnie pracownicy naukowo-dydaktyczni są mocno obciążeni pracą. Nie oznacza to jednak, że prowadzą tyle samo zajęć, co ich polscy koledzy. Wymiar godzinowy regulują podpisane kontrakty i jest on odpowiedni do zajmowanego stanowiska. W Finlandii pracownik akademicki jest zobowiązany do przepracowania 1612 godzin, w tym maksymalnie 394 tzw. godzin kontaktowych (fin. kontaktiopetuksen), to jest nauczania w formie bezpośredniej. Przyjmuje się, że na jedną godzinę zajęć przypada 4–5 godzin pracy dodatkowej, co wypełnia całkowicie podany wyżej limit. Dotyczy to jednak nauczania przedmiotów niewymagających większego przygotowania i obejmuje pracę nad planem zajęć (np. 100 godzin rocznie). Dydaktyka staje się głównym zadaniem nauczycieli akademickich (fin. yliopistolehtori). Jeśli jednak w ścieżce kariery przechodzi się na szczebel asystenta profesora czy pracownika naukowego (fin. yliopistotutkija), głównym zajęciem powinny być badania naukowe. Obciążenie dydaktyczne takich osób jest mniejsze i dodatkowo się obniża, gdy realizują oni projekty grantowe. Na stanowisku profesora liczba godzin kontaktowych nie może przekroczyć 124 rocznie. W praktyce naukowcy obciążeni są zajęciami dydaktycznymi w wymiarze około 50–60 godzin rocznie. Osoby realizujące rozprawy doktorskie nie powinny mieć obciążeń dydaktycznych przekraczających 5% wymiaru pracy. Mogą jednak istnieć wyjątki od podanych powyżej limitów, zwłaszcza że liczą się one niekiedy dla ogółu godzin w danej jednostce. Tym niemniej poziom czegós, co określibyśmy jako work-life balance, jest w Finlandii zdecydowanie wyższy niż w Polsce, zwłaszcza poza stolicą kraju. W złym tonie jest tu wysyłanie

do współpracowników maili w dni wolne od pracy, zwłaszcza jeśli zachodzą zależności służbowe. Wytężonej pracy musi towarzyszyć odpoczynek.

Umiejdzynarodowienie i centralizacja zarządzania

Młodzi naukowcy są powszechnie zatrudniani w projektach grantowych i przy flagowych projektach danego uniwersytetu, które są z reguły jedynym źródłem finansowania aktywności badawczej. W Finlandii funkcjonuje znacznie więcej instytucji stale wspierających naukę niż w Polsce, jest ich co najmniej kilkanaście. Największą państwową instytucją tego typu jest Fińska Rada ds. Badań Naukowych (Suomen Akatemia). W kraju działa też wiele prywatnych fundacji wspierających naukę i sztukę, takich jak KONE, Kordelin czy Wihuri. Wśród doktorantów jest wielu obcokrajowców. Na Uniwersytecie w Oulu ich udział sięga 35%. Wśród studentów ten odsetek jest niższy, bo większość kursów prowadzona jest w języku fińskim. Tym niemniej uczy się tu, w zależności od roku, 5–10% obcokrajowców, szczególnie w dziedzinach ekonomii i informatyki. Mobilność studentów należy do głównych celów uczelni, która jest absolutnie umiejdzynarodowiona, a studentów i pracowników wspierają systemy informatyczne i aplikacje instalowane na smartfonach. Bardzo aktywny dział komunikacji codziennie informuje drogą mailową o publicznych odczytach i debatach, kursach doszkolających czy konkursach grantowych. Informacje te podawane są w formie ilustrowanych newsletterów.

Cechą charakterystyczną Uniwersytetu w Oulu jest centralizacja zarządzania. Mniejsze jednostki naukowo-dydaktyczne nie mają z reguły własnej kadry administracyjnej i technicznej. Trudno nam jednoznacznie ocenić to rozwiązanie, widzimy w nim kilka wad. Sprzyja mu jednak architektura kampusu uniwersytetu. Jest to zasadniczo jeden gigantyczny budynek z licznymi przybudówkami. Znajduje się tu przestrzeń do pracy i wypoczynku dla studentów, w tym Tellus – kompleks sal konferencyjnych, oszklonych kabin oraz licznych różnego kształtu siedzisk dedykowanych pracom grupowym i nauce. Służą temu także inne sale, które można rezerwować na wyłączność, np. w doskonale wyposażonej bibliotece. Infrastrukturę uzupełniają bary, stołówki i restauracje oferujące znaczne zniżki na podstawie karty pracowniczej (25–30%) lub legitymacji studenckiej (50%). Możliwe jest wypożyczenie laptopa z automatu, obleganie stołów do pingponga czy przyłączenie się do grup grających w planszówki. Zakup niedrogiej karty UniMove (20 euro za semestr) uprawnia do korzystania z oferty zajęć rekreacyjnych w pobliskich obiektach sportowych lub na powietrzu, jeśli uprawiamy hokej. Uczelnia nie zamyka się przed studentami i jest wypełniona młodymi ludźmi nawet późnym popołudniem. Spełnia rolę integracyjną, czemu sprzyja peryferyjne położenie kampusu i ograniczona oferta kulturalna centrum miasta (oraz obowiązujące tam ceny).

Warto wspomnieć także o organizacjach studenckich tzw. kiltat, działających na poszczególnych kierunkach studiów. Przykładowo w Oulu studenci geografii są zrzeszeni w społeczności „Atlas”. Każdy zrzeszony student ma swój kombinizon i nosi go dumnie, zwłaszcza z okazji imprez studenckich i juwenaliów. Szyku dodaje powiększana w czasie studiów kolekcja naszywek. Obeznani w kodzie kolorystycznym bez trudu poznają, który kierunek studiów tak odziana osoba reprezentuje. Jeśli w autobusie spotkamy osobę w obszernych, rubinowych spodniach, będzie to właśnie członek „Atlasu”. Opiswane organizacje studenckie nie są specjalnie skupione na uczeniu się czegokolwiek, ale wzajemnym wspieraniu się i oddawaniu rozrywkom. Może lepiej pozostawmy przy polskim modelu koła naukowego.

Większe wsparcie, mniejsze obciążenia dydaktyczne i lepsze pensje

O wrażenia z nauki w Oulu spytaliśmy za pomocą sporządzonej ankiety kilku studentów z Polski, których udało się nam zidentyfikować. Realizowali programy Erasmus, niektórzy już drugi raz na tutejszej uczelni. Ich powtarzające się opinie dotyczyły dobrych warunków do studiowania i mniej napiętego programu studiów, nastawionego bardziej na prace projektowe i grupowe niż zagłębianie się w specjalistyczną wiedzę. Jako potencjalne wady wskazywali na ograniczony kontakt z wykładowcami i zbyt wiele zajęć prowadzonych on-line. Jednak gdy ktoś zna specyfikę Finów, wie, że są oni początkowo powściągliwi w kontakcie z nieznanymi i o kontakt ten nie zabiegają.

Nie oceniamy fińskiego i polskiego systemu edukacji. Na wielu płaszczyznach są one bardzo podobne. Zbliżone są także wysokie oczekiwania, jakimi obarczeni są pracownicy naukowo-dydaktyczni w obu krajach. Tym niemniej wyraźnie widać, że w Finlandii mają oni większe wsparcie instytucjonalne, mniejsze obciążenia dydaktyczne i lepsze pensje. Z perspektywy Polski można pozazdrościć wysokiego statusu społecznego, jakim w Finlandii cieszą się nauczyciele na wszystkich poziomach nauczania. Tu jednak uwaga – najbardziej cenione są przedszkolanki i nauczyciele podstawówki. Według ankietowego badania statusu społecznego 457 zawodów, opublikowanego przez magazyn „Ilta-Sanomat”, zajmują oni 13 miejsce

w rankingu, podczas gdy profesor uczelni jest na miejscu 48. Nie mamy dobrych wiadomości dla humanistów. Badacze z tej dziedziny i filozofowie plasują się na miejscu 152. Godna uwagi jest także panująca w Finlandii ogólna wyrozumiałość, życzliwość i przywiązanie do idei równości. Być może dzięki trzymaniu się tych ideałów, kraj Muminków i tysiąca jezior – a tak naprawdę wielu innych niepospolitych rzeczy – jest od wielu lat uznawany za najszczęśliwszy na świecie (*World Happiness Report 2023*). Polska na 39 miejscu spośród 137 uwzględnionych krajów także pnie się na tej liście.

Tuuli kääntyy pohjoiseen (dosł. wiatr skręca na północ) – fiński aforyzm a także tytuł książki autorstwa Urpo Huhtana ze wspomnieniami czasu spędzonego w Laponii. Niniejszy tekst powstał podczas realizacji projektu M. Kasprzaka „Wrażliwość na zmiany klimatu obszarów z wieloletnią zmarzliną w Laponii” w ramach programu Bekker NAWA (BPN/BEK/2022/1/00134/U/00001).

Dr hab. Marek Kasprzak, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego, geograf fizyczny, geomorfolog. Specjalizuje się w obrazowaniu geofizycznym podłoża skalnego i analizach numerycznych modeli terenu. Uczestnik licznych ekspedycji naukowych w Arktyce i Antarktyce.

Mgr Anita Poturska – geograf, członkini zespołów badawczych geografii fizycznej (PGRG) oraz geoinformatyki (GRS) na Uniwersytecie w Oulu, absolwentka Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Od 2019 r. nieprzerwanie mieszka w Finlandii.



Zorza polarna i kadry znad zamrożonego Bałtyku w Zatoce Botnickiej. Na dole także migawka z centrum miasta Oulu. Warunki subpolarne wpływają na tryb życia i pracy, zwłaszcza podczas krótkich zimowych dni.

Fot. M. Kasprzak

Rozmowa z prof. Włodzimierzem Cyganem,
kierownikiem Pracowni Tkaniny Unikatowej w Łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych

Oblicza tkaniny

Jeżeli natura tkaniny jest punktowa, to znaczy, że idzie w kierunku struktury wielopunktowej, a nie w kierunku naśladowania ruchu pędzla.

Dyplom w Łódzkiej PWSSP obronił pan w 1980 roku w Pracowni Gobelinu i Dywanu prof. Antoniego Starczewskiego. Po prawie trzydziestu latach powrócił pan na macierzystą uczelnię jako wykładowca i kierownik Pracowni Tkaniny Unikatowej. Jaką drogę przeszedł pan w tym czasie?

Jako nauczyciel zacząłem pracować dopiero po kilkunastu latach od ukończenia studiów. Niedługo po moim dyplomie rozpoczął się stan wojenny i nastąpiły różne przegrupowania na uczelni. Próbowałem na niej zostać, ale nie miałem w tym czasie silnych argumentów, więc nie udało się i stałem się wolnym strzelcem. W 1994 roku przystąpiłem do konkursu na stanowisko kierownika prowadzącego pracownię w gdańskiej PWSSP – było to trochę szalone, gdyż nie miałem jeszcze doktoratu, a funkcja kierownika pracowni powiązana była ze stanowiskiem profesora nadzwyczajnego. Co ciekawe, konkurs wygrałem i jako magister zostałem profesorem uczelnianym.

To pewien ewenement. Został pan przyjęty na podstawie dorobku?

Tak, przez czternaście lat intensywnie pracowałem, więc miałem co pokazać. W czasach kiedy związałem się z Gdańskiem, na uczelni ciążyła jeszcze – w dobrym znaczeniu – osobowość prof. Józefy Wnukowej, po której przez kilka lat pracownię prowadziła jej asystentka Bernarda Świdarska. Profesor Wnukowa podczas kilkudziesięciu lat pracy postawiła na gobelin monumentalny, który powstawał na bazie kartonów wykonywanych przez malarzy. Nie jest to tkanina szczególnie przeze mnie lubiana, ale w Gdańsku była bardzo ceniona i ja to w pełni szanowałem. Bernarda Świdarska zasmakowała trochę łódzkich klimatów i zliberalizowała pracownię. Za Wnukowej był tu jeszcze druk klockowy – powstawały koltryny, które często przeradzały się w tkaniny użytkowe, zasłonowe. Podczas mojej kilkunastoletniej pracy w gdańskiej ASP postanowiłem kontynuować to, co było tradycją uczelni, mianowicie druk na tkaninie. Zaproponowałem zakup narzędzi do sitodruku, które pozwalały studentom pracować zarówno na papierze, jak i na tkaninach. To im się spodobało i przyciągnęło do pracowni sporą grupę osób, które wcześniej w ogóle w tej części szkoły nie bywały. Od początku stawiałem na indywidualną wypowiedź, swobodę, autentyczność i oczywiście także na warsztat, żeby tego sita nie spalić, nie zatkać, żeby nie zaschło.

Sitodruk sytuuje się gdzieś pomiędzy tkaniną artystyczną a grafiką.

I malarstwem, jeżeli do tego dochodzą jakieś rozwiązania kolorystyczne. Gdańsk pod tym względem zawsze był bardzo dobry. Po dwóch latach zrobiłem doktorat i otrzymałem propozycję pracy na Politechnice Łódzkiej. Zapewne dlatego że dostałem nagrodę w Japonii, co zostało nagłośnione w łódzkiej prasie. Od pewnego czasu wydawałem też polsko-angielskie czasopismo poświęcone tkaninie. Kierunek włókienniczy powstał na Politechnice Łódzkiej jako jeden z pierwszych w czterdziestym piątym roku, ale kiedy rozpocząłem tu pracę, chylił się już ku upadkowi.

To były czasy ogromnego kryzysu w polskim przemyśle włókienniczym.

Tak, zapaść dotknęła także łódzkie szkolnictwo w dziedzinach związanych z tym przemysłem. Próbowano wówczas ożywić zainteresowanie kandydatów włókiennictwem. Inicjatorem tego pomysłu był profesor Janusz Szosland, który postanowił wprowadzić więcej plastyki. Widocznie był pod wrażeniem tego, co się działo na Akademii Sztuk Pięknych: tam życie aż kipiało, a tu – grobowiec.

Czy wcześniej na studiach włókienniczych na politechnice prowadzone były jakieś przedmioty artystyczne?

Studenci uczestniczyli wówczas w zajęciach o charakterze technicznym, bo były to studia inżynierskie, nie mieli więc właściwie do czynienia z tkaniną w aspekcie artystycznym. Mieli co prawda praktyki zawodowe w zakładach przy krosnach, ale na ogół stali za plecami mistrza, a on im mówił: „tak ustawiamy wątki osnowy, tu mamy podajnik kolorów...” i tak dalej. Teoretycznie oni to wszystko dobrze opanowali, natomiast gdyby mieli ocenić, który projekt jest lepszy, a który gorszy, albo zdecydować jak zestawić tkaniny, aby pasowały do wnętrza, to nie byli do tego przygotowani, gdyż nikt ich tego nie uczył.

W pewnym momencie przy Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej powołano do życia Instytut Architektury Tekstyliów. Później wydział zmienił nazwę, bo uznano, że termin „włókiennictwo” nie jest marketingowy, kojarzy się z czymś schyłkowym, a kandydaci bardziej zwracają się w kierunku mody i kreatywności. W Instytucie zatrudniono czterech nowych wykładowców, w tym mnie, dając absolutnie wolną rękę. Uznałem, że moim zadaniem jest zarażanie kreatywnością. Od początku we czwórce tak ustawialiśmy program, aby



Prof. Włodzimierz Cygan

Jak pojawienie się programów komputerowych wspomagających projektowanie wpłynęło na pracę studentów?

Wiele zależało od tego, jak te narzędzia traktowano, bo jeżeli służyły celowi artystycznemu, np. zwizualizowaniu czy wyszukiwaniu wariantów, to były bardzo przydatne. Gorzej, gdy komputer stawał się głównym bohaterem. Zdarzało się na politechnice, że kogoś fascynowały typowo komputerowe sztuczki: odbicie lustrzane, efekt śniegu, efekt rozciągania. Takie projekty były bezduszne, sztampowe i to nas motywowało, żeby zachęcać studentów w większym stopniu do pracy odręcznej. Jedno z pierwszych ćwiczeń polegało na zaprojektowaniu nitki, aby zacząć od zera, bo przecież nitkę można skrócić z różnych materiałów, w różny sposób i czasami sama nitka jest już punktem wyjścia do tego, jaka w rezultacie będzie tkanina. Następnym etapem było projektowanie tkanin z użyciem nitki fantazyjnych, oczywiście nie dało się tego zrobić na krośnie przemysłowym, gdzie była bardzo gęsta osnowa, ale mieliśmy ramki ćwiczeniowe, na których studenci mogli wykonywać próbne modele. Gdyby ktoś z przemysłu, na jakichś targach, zainteresował się projektem, to po odpowiednim przetransponowaniu można by wdrożyć ten projekt do produkcji. Oprócz zajęć projektowych prowadziłem jeszcze wykłady z historii sztuki, które miały charakter ogólny, ale z naciskiem na tkaninę. Wskazywałem takie momenty w historii, gdy tkanina odgrywała szczególną rolę, a wykłady dotyczące tkaniny XX-wiecznej i współczesnej, gdy stała się ona niezależną dziedziną sztuki, miały już charakter samoistny.

dać studentom możliwość poczucia się twórcami, możliwości wyrażania swojej wrażliwości także na estetyczne i włókiennicze aspekty tkaniny, takie jak gęstość, dotyk itp. Studenci byli kształceni również w zakresie malarstwa, rysunku i rzeźby. Potem, pojawiły się jeszcze grafika użytkowa oraz ubiór, który przyciągnął wielu kandydatów na studia.

Swoją pracownię musiał pan tworzyć od podstaw.

Tak, dostaliśmy pomieszczenia zlokalizowane w starych budynkach pofabrycznych, w których wcześniej składowano części do maszyn. Potem zrewitalizowano je i wprowadzono tam studia międzynarodowe IFE, a nas wyprowadzono. W międzyczasie zakupiono nam krosno żakardowe sterowane komputerem, typowo przemysłowe, które zostało wykorzystane do ćwiczeń, gdyż w przemyśle nie było możliwości, żeby wpuścić studenta na tzw. produkcję, aby utkał sobie 10 cm i zobaczył, czy to dobrze wygląda, a jeśli nie, aby zatrzymał maszynę, zmienił podajniki i zrobił inną kombinację, bo te maszyny po prostu się psuły, nie były pomyślane tak, aby je często zatrzymywać. Ustawiano je na określony metraż, puszczało się 150 metrów i koniec. Natomiast nasze krosno umożliwiało wykonywanie krótkich serii ćwiczeniowych.

A jak pan porówna doświadczenie pracy na gdańskiej ASP i na Politechnice Łódzkiej?

Na politechnice częściej spotykałem osoby, które słabo wierzyły w swoje możliwości artystyczne, ale czuły się wyróżnione już samym faktem, że w czasie rekrutacji pozytywnie zaliczyły sprawdzian zdolności plastycznych. Osoby studiujące na politechnice wydawały się bardziej zdyscyplinowane, bardziej „uczniowskie”. Na ASP niektórzy, jak już zdali egzaminy, to



Cykl Żywicowanie



Dwa w jednym

zaczynali być troszeczkę gwiazdami: a to ktoś przyszedł, a to nie przyszedł, a to coś przyniósł, a to nie przyniósł, ale już szukał możliwości wylansowania siebie.

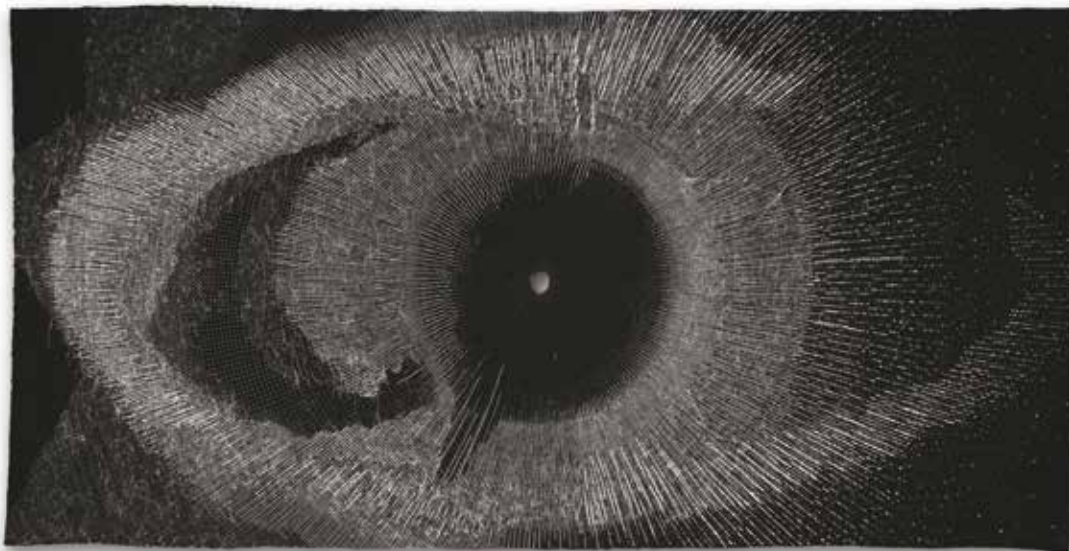
Po pewnym czasie dostał pan propozycję pracy w łódzkiej ASP.

Tak. W 2007 roku na łódzkim Triennale dostałem Grand Prix i wtedy ówczesny rektor łódzkiej akademii, prof. Grzegorz Chojnacki, zaproponował mi pracę. W łódzkiej ASP, jako jedynej w Polsce, istniał wówczas cały Wydział Tkaniny i Ubioru.

W Gdańsku, podobnie jak w kilku innych uczelniach artystycznych w Polsce, tkanina była jakby dodatkiem na Wydziale Malarstwa, większą wagę przywiązywano do malarstwa czy rysunku. Przeniosłem się więc do Łodzi, gdzie objąłem trzecią Pracownię Druku na Tkaninie, a potem Pracownię Tkaniny Unikatowej, którą przed laty zakładała prof. Janina Tworek-Pierzgałska. Jest to pracownia dyplomująca, studenci mogą w niej drukować, mogą tkąć, spiekać, wycinać, grawerować. Dawniej koncentrowaliśmy się raczej na samej tkaninie, a teraz to się rozlało. Zdarza się, że studentki z ubioru robią u nas pół-fabrykaty, aplikacje albo pracują nad fakturalnym wzbogaceniem elementów tego ubioru. Do niedawna mieliśmy Wydział Tkaniny i Ubioru, odbywały się wspólne dyplomy. Często osoby zdające, które z powodu limitów nie dostawały się na ubiór, przychodziły do nas i nierzadko znajdowały tu swoje miejsce. Niestety po ostatniej reformie szkolnictwa wyższego nasza ówczesna pani rektor zlikwidowała siedem dotychczasowych wydziałów i powołała dwa nowe: Wydział Sztuk Projektowych i Wydział Sztuk Plastycznych. Tymczasem tkanina jest na pograniczu tych obszarów. Zawsze, także w czasach Strzeńskiego, atutem naszej uczelni było to, że jest taka dwunożna: jedna noga w przemysł, druga noga w sztukę. I nagle doszło do rozdziału, ubiór się wyemancypował i nie ma już wspólnych rad wydziału, wspólnych dyskusji programowych, czego niektórzy żałują.

Mamy więc trzy uczelnie o zróżnicowanym charakterze, ale chciałabym jeszcze nawiązać do pana pierwszych doświadczeń związanych z łódzką PWSSP. Wspominał pan kiedyś, że istotą tkaniny jest tkanka, a nie przenoszony przez nią obraz. Czy takie rozumienie tkaniny wywodzi się ze studiów w pracowni prof. Starczewskiego, który z kolei był uczniem Strzeńskiego?

Może zacznę od tego, że z tkaniną zetknąłem się gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy często wyjeżdżałem na spektakle teatralne do Warszawy. Pamiętam, że tkanina była obecna w Cepeliach, np. na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich znajdował się sklep ze szklanymi gablotami wystawionymi w przestrzeni ulicznej. Zawsze wisiały tam interesujące prace, to był jakby ówczesny street art, który bardzo mnie zainteresował. Kiedy uczyłem się tkąć, szukałem podobnych efektów. Trudno to nazwać naśladownictwem, bo



Fireworks



I gdzie ja teraz jestem

nie naśladowałem kształtów, obrazów, kompozycji, interesowałem mnie natomiast zestaw kolorów, format, długość włosa itd.

W czasach, które pan wspomina, polska tkanina odnosiła ogromne sukcesy na biennale w Lozannie.

Tak, w pierwszych edycjach lozańskiego biennale Polacy zrobili bank. Piąta edycja tej prestiżowej imprezy była prezentowana w warszawskiej Zachęcie. Byłem na tej wystawie i pamiętam, jak poczułem, że to jest moje miejsce. Chodziłem wtedy do liceum plastycznego, w którym nie było przedmiotu tkanina artystyczna, choć zatrudniano nauczycieli znających się na tkaninie. Postanowiłem więc sam nauczyć się tkąć. Wiedziałem, że to jest proste, przecież kobiety na wsi potrafiły pięknie tkąć, a uczyły się tego od swoich babek. Po maturze zdawałem do warszawskiej ASP, aby studiować u prof. Wojciecha Sadleya, jednak nie dostałem się i musiałem rok odczekać. Poszedłem więc do pomaturalnej, przemysłowej szkoły włókienniczej i równocześnie zacząłem pracować dla Cepelii, gdyż umiałem już tkąć na podstawie otrzymanego projektu – kartonu. To była świetna szkoła. Mało tego, że za nią nie płaćłem, to jeszcze miałem dostęp do odpowiednich materiałów i mogłem zarabiać. Gdy przyszedłem do pracowni prof. Starczewskiego, wiele już umiałem i nie musiałem uczyć się podstaw. To, co robił prof. Starczewski, było dla mnie niezwykle inspirujące. Po upływie czasu zdarza mi się z pełnym zaskoczeniem dostrzegać w moich pracach coś z jego myślenia, co w sposób naturalny, nieplanowany po prostu wpisało się w moją twórczość. Podobnie zresztą jak niektóre prace prof. Romana Modzelewskiego, zwłaszcza te fakturalne, na tekturze falistej. Niedawno na wystawie oglądałem jedną z jego prac i miałem doznanie, że przecież to mogłaby być moja.

Ciekawa jest kwestia takich nie do końca uświadamianych inspiracji...

Wszystkim tym nasiąkałem. Wówczas studia były podzielone na dwa etapy: pierwsze dwa lata przeznaczone były na kształcenie plastyczne, a kolejne trzy na specjalizacyjne. Na trzecim roku, gdy zacząłem studiować u prof. Starczewskiego, czułem tak duży głód tkaniny, że równolegle zapisałem się do prof. Janiny Tworek-Pierzgalskiej. Oboje ci artyści profesorowie

mieli różne podejścia do tkaniny, ale to mnie właśnie interesowało, że mogłem być i tu, i tu, chociaż u profesora na pierwszej specjalizacji. I tak to trwało do dyplomu.

Wspominał pan kiedyś, że tkanina jawiła się panu wówczas jako przestrzeń możliwości ogromnych, niemal nieograniczonych...

W tamtych czasach perspektywy otwierające się przed ludźmi, którzy lubili tkaninę, były niezwykle szerokie. Każdy, na dobrą sprawę, mając patyki, gwoźdźki i sznurki mógł się nią zajmować, co oczywiście miało dobre i złe strony, ale pomagało przełamać nieśmiałość, ten kod, którym zabezpieczone było np. malarstwo jako dyscyplina sztuki. Studiowałem w latach, gdy przemysł włókienniczy jeszcze jako tako funkcjonował. Wiele osób po ukończeniu uczelni znajdowało zatrudnienie w licznych zakładach włókienniczych, np. na stanowisku projektantów tkanin albo w fabryce dywanów Dywilan. Było więc tych perspektyw dużo więcej niż wtedy, gdy ja kończyłem studia.



Ryga 1

Został pan więc wolnym strzelcem. Przechodząc do bardziej osobistych wątków: jakie właściwości tkaniny i jakie aspekty z nią związane są dla pana szczególnie istotne?

Dość wcześnie zacząłem sobie zadawać proste pytanie: gdybym chciał rozebrać tkaninę na elementy najprostsze i potem budować ją od nowa, to co byłoby tym najprostszym elementem? Przyjąłem, że jest nim punkt skrzyżowania nitki wątku i osnowy. Pociąga to za sobą logiczne konsekwencje: jeżeli natura tkaniny jest punktowa, to znaczy, że idzie w kierunku struktury wielopunktowej, a nie w kierunku naśladowania ruchu pędzla. Doszedłem do wniosku, że tkając, nie chcę udawać, że maluję. To pociągnęło za sobą kolejne tropy myślenia. W 1988 roku podczas 6 Triennale, pierwszego na które zostałem zaproszony, pokazałem tkaninę pt. *I gdzie ja teraz jestem*, zbudowaną na bazie obrazu fotograficznego, który sam „sposteryzowałem” – w cudzysłowie, bo nie było jeszcze wtedy komputerów. Wydzieliłem skalę stopni szarości, każdemu z tych stopni przypisałem jedno z wyrażen walorowych w przygotowanej wcześniej skali rastrów, zrobiłem z tego karton, podłożyłem pod osnowę i posługując się nim, tkiałem.

Ogromna praca przygotowawcza...

Po latach uświadomiłem sobie, że to, do czego doszedłem, okazało się zbieżne z projektowaniem wspomaganym komputerowo, bo przecież ono także polega na wygrodzeniu pewnych stref wzoru, przypisaniu każdej z nich barwy z palety i wybranego splotu, skompilowaniu tego razem i zadaniu maszynie. Tylko że ja sam sobie wówczas to zadawałem. Zaraz po studiach chciałem robić duże formaty. Wówczas w Lozannie pojawiały się wielkoformatowe tkaniny, które robiły znacznie większe wrażenie niż małe tkaniny, nawet jeżeli one przedstawiały to samo i posługiwały się tymi samymi środkami. W czasie stanu wojennego nie miałem innej pracy, mogłem więc tkąć od rana do wieczora. Lubiłem to robić, więc ten czas kosztował mnie stosunkowo mało. Dzięki temu zostałem zauważony, moja praca dostała wyróżnienie na Triennale w Łodzi, a później – jak już wspominałem – dostałem nagrodę w Japonii, co miało szczególne znaczenie, zwłaszcza na początku kariery. Aby utkać dużą tkaninę w niewielkiej pracowni, trzeba było posłużyć się jakąś sztuczką. Nie miałem krosna, ale podpatrzyłem w pracowni u prof. Pierzgańskiej pewien sposób przesuwania osnowy na ramie i w związku z tym pojawił się pomysł kombinacji z osnowami. Zacząłem sobie zadawać pytanie: czy zawsze wątek musi być głównym, widocznym i opowiadającym medium, a osnowa tylko niewidocznym szkieletem? Czy nie może pełnić ważniejszej roli, skoro moim zdaniem jest równie ważna? Czy osnowa zawsze powinna być taka sama, czy w trakcie pracy mogę ją modyfikować? Za tym poszła cała lawina i w moich projektach przeniosłem ciężar przekazu i gry wizualnej z wątku na osnowę. To ona zaczęła decydować, co widz zobaczy. Zacząłem stosować osnowę promienistą, wychodzącą z jednego punktu, która rozprzestrzeniła się i zdynamizowała.

W pewnym momencie w pana twórczości pojawił się światłowod. Co sprowokowało pana do zastosowania tego medium?

Na jednym z Triennale w Łodzi Astrid Krogh, duńska designerka, pokazała rodzaj kurtyny w całości zrobionej ze światłowodów. Światłowody jako monofilamenty są bardzo przezroczyste. Niektóre, podłączone do źródła światła, mogą świecić samą końcówką, inne świecą równomiernie całą powierzchnią. I tu zaczęła się moja zabawa ze światłem. Wracając jednak do Astrid: ona nie została moim zdaniem doceniona, bo jej praca prawdopodobnie była źle powieszona – za blisko okna, w zbyt

widnym miejscu. Wiele osób w ogóle nie zwróciło uwagi, że ona zmienia kolor, ale mnie wyraźnie zapisała się w pamięci. Robiłem wtedy tkaniny koncentryczne, które rozrastały się od środka wszcz, podobnie jak światłowody, które musiały wyjść ze źródła światła i dalej gdzieś sobie wędrowały. Uświadomienie sobie podobieństwa, które zarządza tymi konstrukcjami, spowodowało, że wpadłem na pomysł: skoro u mnie osnowa się zbiega, to można ją wykonać z użyciem światłowodów, tak aby świeciła. Ten pomysł wydał mi się jeszcze o tyle ciekawy, że ciągle pytałem o miejsce tkaniny: czy ona jest bardziej po stronie użytkowej, czy artystycznej? Doszedłem do salomonowego wniosku, że jest pośrodku: mamy ją w zasięgu codziennego życia jako obiekt użytkowy, a jednocześnie może być obiektem, który będzie zawierał w sobie pewien komunikat, zachętę do refleksji, do pobudzenia emocji. A gdy się okazało, że ta tkanina może jeszcze świecić, poczułem, że to jest dla mnie. Światłowody nie były wówczas tak rozpowszechnione jak obecnie, podobnie jak lampki ledowe, które emitują albo białe ciepłe światło, albo białe zimne lub świecą kolorem RGB. Powoli do wszystkiego krok po kroku dochodziłem, te wątki łączyły się logicznie same, a ja starałem się być uważny i wyciągać konsekwencje. W związku z manipulacją osnową mogły powstawać szczeliny czy otwory, co dawało np. możliwość zabawy cieniem na ścianie. Pojawiła się gra pomiędzy tym, co jest, a tym, czego nie ma. Zainteresowało mnie, że głównym bohaterem może być pustka, ten niematerialny otwór, który oczywiście mogę wypełnić światłowodem lub światłem podłożonym od spodu, przy pomocy ledowych taśm. Bywało, że w niektórych pracach szczelina, czyli coś, czego nie ma, zaczynała grać główną rolę, co pociągnęło kolejne konsekwencje. Życie tkaniny wówczas rozwidlało się na dwie fazy: fazę dzienną, kiedy tkanina jest autonomicznym dziełem sztuki i fazę po zmroku, kiedy podłączamy ją do prądu i pojawiają się nowe zjawiska. Jest to ważne szczególnie zimą, gdy dzień jest krótki.

Otacza się pan tymi tkaninami także w swojej prywatnej przestrzeni?

Tak, gdyż one wprawiają mnie w dobre samopoczucie. Dzięki ustawieniom RGB można dostosować kolor tkaniny do nastroju, do klimatu czy wystroju wnętrza, do świąt czy uroczystości, które akurat odbywają się w domu. Pytała pani, co jest dla mnie istotne w tkaninie, muszę więc dodać, że bardzo ważna jest pewna wiarygodność, tożsamość materiałowa – niektórzy np. nigdy nie stosują plastiku, a bardzo lubią len czy wełnę.

Pan także jest wierny tym materiałom.

Tak i światłowodowi, już od kilkunastu lat. Mówiąc o naturze materiału, miałem na myśli to, że nie lubię, gdy jakiś materiał udaje inny materiał. Te, którymi się posługuję, mają swoją osobowość materiałną. Ważna jest dla mnie także celowość doboru środków technicznych do zestawienia konstrukcji z materiałem, żeby nie dokonywać gwałtu na materiale, żeby on był użyty zgodnie z jego możliwościami. I jeszcze taki zupełnie osobisty wątek: ważne jest celebrowanie codzienności twórczej. Ja po prostu lubię tkąć, zawsze coś tkam, to jest moja codzienność, podobnie jak chodzenie, bo uwielbiam chodzić, albo mówiąc bardziej poetycko – jak oddychanie. Przy okazji znów narzuca się refleksja o wartości czasu: inaczej kosztował czas kiedyś, a inaczej teraz. Po studiach nie było dla mnie problemem przeznaczenie trzech miesięcy albo pół roku na zrobienie dużej tkaniny. Miałem taką potrzebę, tak bardzo mi zależało, żeby tkanina miała moc, żeby została zauważona. Dziś czas dla studentów ma zupełnie inną cenę.

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Marek Misiak

Horyzont zdarzeń

Zdarza się, że twórcy artykułu formułują oczekiwania tak nietypowe z perspektywy doświadczenia zawodowego redaktora, że ten w pierwszej chwili myśli, że zawiodła go znajomość tego czy innego języka, że się przesłyszał albo źle zrozumiał, względnie w grę wchodzi różnica kulturowe – w każdym razie, że autor nie miał na myśli niczego zdroźnego.

Horyzont zdarzeń (ang. event horizon) to sfera otaczająca czarną dziurę, to granica w czasoprzestrzeni, po przekroczeniu której prędkość ucieczki dla dowolnego obiektu i fali przekracza prędkość światła w próżni. Żaden obiekt, nawet światło emitowane z wnętrza horyzontu, nie jest w stanie opuścić tego obszaru i z punktu widzenia obserwatora znika. Przekroczenie granicy horyzontu zdarzeń jest zatem możliwe tylko raz i tylko w jedną stronę.

W pracy redaktora czasopisma naukowego horyzontem zdarzeń jest oczekiwanie ze strony autora, że redaktor zrobi coś, co stanowi wyraźne naruszenie reguł publikowania w nauce, a czasem wręcz złamanie prawa lub przynajmniej poważne przekroczenie etyczne. Wtedy nie ma już powrotu – mleko się rozlało, absurd wyszedł na światło dzienne i rozłożył skrzydła. Moja praca przez większość czasu jest dość przewidywalna, zarówno w rytmie, jak i w charakterze, i także problemy, w tym niemożliwe do spełnienia prośby autorów, stanowią najczęściej zamknięty katalog. Do udzielania odmownych odpowiedzi na niektóre sugestie lub żądania wiele redakcji używa wręcz gotowych wzorców e-maili (tzw. formatek), tak dzieje się na przykład, gdy prośba dotyczy dodania lub usunięcia autora już po zaakceptowaniu artykułu do druku, albo gdy autorzy żądają przyspieszenia procesu recenzji (nieśmiertelne: Please kindly speed up the review). Tu słowo wyjaśnienia: po pierwsze, recenzja jest najważniejszą formą weryfikacji artykułu, a nie formalnością do „odfajkowania”, i ma być fachowa i dokładna, a szybko tylko wówczas, jeśli to możliwe. Po drugie, redaktor nie ma władzy wydawania recenzentom – często utytułowanym badaczom – poleceń, co i kiedy mają robić; nie ma też do dyspozycji sankcji, za pomocą których mógłby coś wymusić. Sam ten czasownik jest tu zresztą nieestosowny, recenzji się nie zleca, do recenzji się zaprasza. Recenzent to peer, kolega po fachu, a nie podwykonawca.

Zdarza się jednak, że twórcy artykułu formułują oczekiwania tak nietypowe z perspektywy doświadczenia zawodowego redaktora, że ten w pierwszej chwili myśli, że zawiodła go znajomość tego czy innego języka, że się przesłyszał albo źle zrozumiał, względnie w grę wchodzi różnica kulturowe, w każdym razie, że autor nie miał na myśli niczego zdroźnego. Jednak bywa, że dopytanie przynosi odpowiedź potwierdzającą najgorsze przypuszczenia. Aby nie przedstawiać autorów w zbyt niekorzystnym świetle, chcę tu podkreślić dwie kwestie. Po pierwsze, przedstawione poniżej przykłady pochodzą

z kilku ostatnich lat i miały charakter jednorazowych incydentów. Po drugie, bohaterowie opisywanych zdarzeń – z dwoma wyraźnie zaznaczonymi wyjątkami – byli ewidentnie nieświadomi, jak brzmi to, z czym zwracają się do redakcji, a i w tych dwóch wyjątkowych sprawach mam tylko podejrzenia, a nie dowody, że zetknąłem się z intencjonalnym działaniem. Jakiś czas temu w tekście *Nie wiecie, o co prosicie* wskazywałem na prośby niemożliwe do spełnienia, ale regularnie się pojawiające, przy których można odwołać się do instrukcji dla autorów lub konwencji wydawniczej – takie kwestie są tam ujęte, bo jakiś autor już tego próbował (tak samo jak Kodeks Prawa Kanonicznego przewiduje np. osobne kary za fizyczną napaść na papieża, gdyż były takie przypadki). Natomiast ten artykuł prezentuje przypadki najbardziej skrajne i ma na celu nie jemiadę nad tym, do czego zdolni są autorzy, ale wskazanie, że nikt nie jest doskonały, i uwrażliwienie pracowników nauki – być może w przyszłości nie będą się wahali ostrzec kolegę lub koleżankę po fachu, że dane działanie nie ma sensu, a może zszargać reputację autora. Rzecz jasna redaktorzy też potrafią popełniać katastrofalne błędy, i to o znacznie poważniejszych reperkusjach. Najlepszym przykładem są liczne przypadki dopuszczania do publikacji prac zawierających kompromitujące błędy merytoryczne, a także ewidentnej korupcji. Takie sytuacje poznałem jednak jedynie z mediów, a co najwyżej z drugiej ręki; pisać chcę natomiast o tym, co znam z własnego doświadczenia.

Daty publikacji online nie da się sfałszować

Pod koniec każdego roku kalendarzowego autorów ogarnia pewna nerwowość, co jest w pełni zrozumiałe – w wielu przypadkach podczas oceny okresowej brane są pod uwagę publikacje, które ukazały się do końca danego roku. Mnożą się pytania, kiedy artykuł zostanie opublikowany, czy nie można by przyspieszyć prac itp. Jednak raz zdarzył się telefon, na który w pierwszej chwili nie wiedziałem, jak zareagować. Autor zadzwonił tuż przed świętami Bożego Narodzenia; jego artykuł był dopiero na początku procesu obróbki redakcyjnej i w ciągu kilku dni roboczych nie było już możliwości opublikowania go (został zaakceptowany do publikacji 22 grudnia, a autorzy nie zgłaszali wcześniej, że gonią ich jakiegokolwiek terminy). Pytanie brzmiało, czy możliwa jest publikacja do końca roku. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że na tym etapie to już niemożliwe. I wtedy padło kolejne pytanie: Czy można by opublikować artykuł w styczniu, ale datowany na gruzdzień poprzedniego roku?

Być może wynikało ono z niezrozumienia natury sytuacji. Rzeczywiście zdarza się, że zeszyty czasopisma naukowego mają opóźnienie i np. numer kwartalnika z oznaczeniem 4/2022 ukazuje się dopiero na początku 2024 roku; jednak w periodykach indeksowanych w bazach takich jak Scopus takie opóźnienia mogą skończyć się usunięciem z danej bazy. W większości czasopism, których podstawową wersją jest ta elektroniczna, każdy kolejny numer ukazuje się w ustalonym z góry terminie (np. ostatniego dnia każdego miesiąca), jeśli tylko udało się zakwalifikować do publikacji odpowiednią liczbę artykułów, i nie ma możliwości dopisania artykułu do opublikowanego już numeru. Jeśli zatem – jak w omawianym przypadku – numer grudniowy miesięcznika został wydany 22 grudnia (między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem wiele redakcji nie pracuje lub pracuje w okrojonym składzie), to nie ma możliwości przypisania do niego artykułu umieszczonego na stronie WWW czasopisma jako ahead of print np. 20 stycznia.

Tu właśnie dochodzimy do sedna problemu: publikację w wersji drukowanej lub PDF można (czysto technicznie rzecz biorąc) antydatować, papier i PDF przyjmą wszystko. Datą publikacji prezentowaną na stronie internetowej również (technicznie rzecz biorąc) w wielu sytuacjach można manipulować, choć to już trudniejsze. Jednak daty publikacji online nie da się sfalszować, w momencie umieszczenia artykułu na stronie WWW i aktywacji DOI jest on też wysyłany do baz danych (w przypadku artykułów medycznych chodzi przede wszystkim o bazę PubMed) i tam będzie widoczna faktyczna data publikacji. Nie da się tam „ustawić” daty wcześniejszej, redakcja nie ma na to wpływu. Niezgodność daty wydania artykułu na stronie WWW i w bazach danych spowoduje, że zarówno personel tych baz, jak i (być może) osoby weryfikujące dorobek naukowy autorów zaczną zadawać pytania. Działanie redaktora i autora, o którym tu mówimy, stanowiłoby formę poświadczenia nieprawdy i nawet jeśli niekoniecznie byłoby naruszeniem prawa państwowego, stanowi rażące wykroczenie przeciw etyce publikowania naukowego, na które żaden poważny redaktor się nie zgodzi. Autorka argumentowała, że „grożą jej konsekwencje ze strony zwierzchników”, pozostało mi odpowiedzieć, że konsekwencje w razie ujawnienia tego rodzaju manipulacji ponieśliśmy oboje i będą one poważniejsze.

Artykuł mógł zostać wystawiony na sprzedaż

Opisana sytuacja wynikała jednak z poczucia presji, a nie ze złej woli. Ta sama osoba, nie czując noża na gardle, nawet nie pomyślałaby o formułowaniu takich sugestii. Stres zaburza racjonalną ocenę sytuacji także u mnie, po prostu moja praca nie wiąże się ze stresem na takim poziomie. Wspomniałem natomiast o dwóch sytuacjach, gdy okoliczności nakazywały niestety zakładać nieczyste intencje. Obie miały ten sam charakter, ale nastąpiły na różnych etapach pracy nad artykułem (jeden przypadek w trakcie recenzji, drugi po dłuższym okresie nieodsyłania korekty autorskiej, czyli szczotki). Artykuł w obu sytuacjach wrócił do autorów do poprawy, a następnym nadszedł e-mail od osoby niebędącej żadnym ze współautorów pracy. Oba zdarzenia miały miejsce w trakcie pandemii (aczkolwiek w czasie różnych jej faz). Osoby podpisane pod oboma wiadomościami twierdziły, że autorzy danej pracy są zakażeni COVID-19 i że w związku z tym należy zmienić cały skład autorski pracy na zupełnie inny (w jednym wypadku chodziło nawet o zmianę na osoby z innego kraju).

Szczerze przyznam, że w pierwszej chwili wziąłem pierwszą z tych próśb za mało śmieszny żart. Żądanie wymiany autorów na etapie korekty autorskiej mogłem odrzucić bez dalszych wyjaśnień, gdyż – jak już kiedyś pisałem – niesie to ze sobą na tyle duże ryzyko nadużyć, że jest dopuszczalne tylko w szcze-

gólnych, indywidualnie rozpatrywanych przypadkach. Natomiast osobie oczekującej tego na etapie recenzji postanowiłem wyjaśnić sprawę ab ovo. Autorstwo artykułu nie jest kwestią atrybucji (czyli tego, komu zostało ono przypisane przy publikacji), ale faktycznego autorstwa. Przypisanie autorstwa osobie, która nie jest autorem dzieła (nawet z zgodą autora), jest złamaniem jednej z podstawowych zasad prawa autorskiego – to na niej opierają się autorskie prawa osobiste. Autora łączy z dziełem nierozdzielna więź; może on zdecydować o publikacji utworu pod pseudonimem albo anonimowo, ale nie pod nazwiskiem innej realnej osoby. W pewnych sytuacjach autorzy w umowie zrzekają się autorstwa utworów na rzecz pracodawcy lub zleceniodawcy, ale jest to wówczas instytucja, a nie osoba fizyczna. Ghostwriting też polega na czymś innym, autor-widmo nie powinien być jedynym autorem dzieła, a poza tym proceder ten – nawet jeśli legalny i od dawna praktykowany – jest moralnie co najmniej śliski.

W omawianych sytuacjach widzę kilka możliwych scenariuszy. Autorzy mogli faktycznie zachorować i oni sami lub ktoś inny mający dostęp do manuskryptu postanowił „pomóc” innemu zespołowi badawczemu, jednocześnie zapewne w swoim rozumieniu „ratując” publikację pracy. Mogło być też tak, że rzekoma choroba była zasłoną dymną, a autorzy nie byli w stanie dalej pracować nad artykułem i przekazali go komuś innemu, a w grę nie wchodziły korzyści materialne. Niestety jest też trzecia, najgorsza możliwość: niezależnie od losu poprzednich autorów artykuł już złożony lub wręcz zaakceptowany w czasopiśmie z Impact Factorem mógł po prostu zostać wystawiony na sprzedaż. Taki proceder – na własny użytek nazywam go article hijack – jest w niektórych regionach świata nie tak rzadki. Różnica polega na tym, że z reguły sprzedawane są prace jeszcze nigdzie niezłożone, które „autorzy” kupują, sami sobie przypisują i składają w czasopiśmie samodzielnie. Artykuł już złożony w periodyku to z jednej strony większe szanse na publikację i oszczędność czasu, z drugiej wyraźnie większe ryzyko, że redaktorzy nie zgodzą się już na zmianę autorów lub ktoś – jak ja – poweźmie podejrzenia, że to nienaturalna sytuacja. Możliwe, że pierwotni autorzy lub wtórni „autorzy” (o ile którzykolwiek są rzeczywistymi twórcami materiału) mieli wcześniej do czynienia z czasopismami typowo drapieżnymi, w których zezwala się na wszystko lub prawie na wszystko, o ile tylko „klient płaci”. Wszelkie przypuszczenia mają tu jednak (nomen omen) akademicki charakter, gdyż po jednoznacznej odmowie ze strony redakcji pierwotny autor do korespondencji (lub ktoś mający dostęp do jego konta) w jednym przypadku wycofał artykuł, a w drugim nigdy już się nie odezwał (przedstawiciel nowych „autorów” też nie) i artykuł został odrzucony w konsekwencji nieuwzględnienia uwag recenzentów.

Nie wszyscy tak robią

Ostatnią sytuację omówię tylko krótko, nie wymaga ona moim zdaniem dłuższych wyjaśnień, gdyż motywacje autorów są dla mnie całkowicie nieczytelne, a nie chcę ich pomawiać o złe intencje. Kilka miesięcy po publikacji pewnego artykułu jako ahead of print jego twórcy nadesłali „popra-



wioną” wersję w formie pliku Word bez włączonego śledzenia zmian. Nawet gdyby możliwa była zmiana artykułu poprzez prostą podmianę pliku na stronie WWW czasopisma (nie jest), redaktorzy musieliby wiedzieć, co zostało zmienione. Wskazałem, że w tej sytuacji jedyną drogą jest opublikowanie erraty (correction) zawierającej albo listę zmienionych fragmentów w pierwotnym i nowym brzmieniu, albo listę błędów i ich poprawek w formie tabeli. Cały proces poprawienia artykułu musi być w pełni transparentny zarówno dla autorów, jak i czytelników. Wysłałem autorom plik PDF z wersją artykułu opublikowaną na stronie internetowej czasopisma i wysłałem do baz

danych z prośbą o zaznaczenie niezbędnych zmian i wskazanie ich uzasadnienia. Nigdy nie odpowiedzieli, i to mimo kilkukrotnego dopytywania.

Opisane sytuacje byłyby zabawne w swojej kuriozalności, ale niestety wiem od redaktorów innych czasopism naukowych (w tym amerykańskich), że – choć bardzo rzadkie – nie są im nieznane. Pozostaje mi podkreślić, że wciąż są przedstawiciele mojej profesji wierni zasadom etyki w publikowaniu naukowym, na których nie działają argumenty z szufladek „wszyscy tak robią” i „takie są realia”. Wśród badaczy etyka jest czymś żywym i ważnym, i tego samego oczekują od nas.



Rys. Sławomir Makal

Garść reminiscencji

Jak się żyje z Ustawą 2.0 po kilku latach od jej wprowadzenia? „Ustawa namieszała bardzo w naszej społecznej epistemologii i ontologii, ponieważ równoprawnym źródłem naszej akademickiej tożsamości uczyniła oprócz miejsca pracy, zajmowanego przez nas w strukturze uczelni, uprawianą przez nas dyscyplinę naukową” - pisze prof. dr hab. Roman Kubicki, dziekan Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W tekście opublikowanym w „*Życiu Uniwersyteckim*” (nr 2/2024) znalazło się sporo refleksji poświęconych

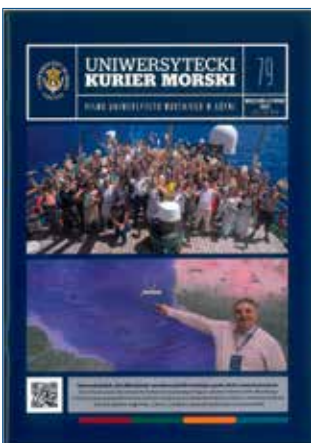


rozmaitym aspektom wspomnianego na początku aktu legislacyjnego. Zachęcając do dyskusji prof. Kubicki przygląda się różnym zmianom wywołanym przez Ustawę 2.0. Analizując cały tekst, warto zwrócić uwagę na dobrze scharakteryzowane zjawisko, które autor opatruje mianem „procesu społecznej infantyilizacji doktorantów”. Chodzi o to, że ci ostatni muszą być równocześnie studentami uczącymi się w dziedzinowych szkołach doktorskich, co stwarza problem, albowiem, jak zaznacza prof. Kubicki, „ich głównym źródłem naukowej tożsamości ma być dziedzina, a nie dyscyplina”.

W tym samym numerze o czasopiśmie drapieżnych pisze prof. dr hab. Katarzyna Dziubalska-Kończyk, prorektor ds. nauki. Jej zdaniem, należy uwrażliwić społeczność akademicką na kwestię dobrych praktyk publikacyjnych. Najlepszą drogą do podniesienia jakości komunikowania wyników badań nie powinny być jednak zakazy. Lepiej postawić na edukowanie oraz niwelowanie presji publikacyjnej, a także na wspieranie liderów uczelnianych grup badawczych.

Pływające laboratorium

Ma niecałe 33 metry długości i 10 metrów szerokości, więc nie zalicza się do dużych statków. Za to tym, czym się zajmuje, może zaimponować znacznie większym od siebie. Mowa o unikatowej jednostce badawczej Uniwersytetu Morskiego w Gdyni – IMOR. Dojrzała, bo w ubiegłym roku skończyła 18 lat, ma na swoim koncie realizację wielu różnych projektów, nie tylko na Morzu Bałtyckim. IMOR brał udział m.in. w akcji poszukiwawczej ORP „Orzeł”, wydobywał ponadto zatopione armaty i wraki. Włączony do eksploatacji w 2006 roku jako pierwsza polska jednostka przystosowana do badań strefy przybrzeżnej i płytkich wód zalewowych IMOR wyposażony jest w mokre i suche laboratorium, co pozwala wykonywać prace eksploracyjne oraz analizy bez-



pośrednio na pokładzie. Ten wyjątkowy statek może realizować badania z wielu różnych obszarów, m.in. z geologii, geofizyki, ale także sejsmoakustyki, chemii czy biologii, informuje pismo Uniwersytetu Morskiego w Gdyni „Uniwersytecki Kurier Morski” (nr 79/2023). Sukcesywnie doposażana w nowoczesną aparaturę jednostka pływająca zwiększa zakres prowadzonych badań, co pozwala jej pozyskiwać nowych klientów, zarówno na rynku krajowym, jak i europejskim.

IMOR to nie tylko statek, to także ludzie. Przez kilkanaście lat istnienia przewinęło się przez jego pokład wielu członków załóg morskich, operatorów czy pomiarowców, którzy w chwili obecnej są odpowiedzialni za realizację największych prac offshorowych na Morzu Bałtyckim, czytamy.

Wspólnie do celu

Jest ich sześć. Tyle szkół wyższych należy do sieci badawczej uczelni przyrodniczych działającej na rzecz rozwoju polskiego sektora mleczarskiego. Liderem całego przedsięwzięcia jest Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie. Przy współudziale kilku spółdzielni mleczarskich grupa realizować będzie projekt badawczy w ramach pilotażowego programu „Nauka dla przetwórstwa rolno-spożywczego”. Celem jest przeprowadzenie badań koncentrujących się wokół trzech obszarów. Po pierwsze analizy surowca i gotowego wyrobu pod kątem poprawy ich bezpieczeństwa, jakości oraz walo-



rowanie prozdrowotnych. Po drugie innowacyjnych rozwiązań mających wspierać działania prośrodowiskowe polskich zakładów mleczarskich. Po trzecie wreszcie popularyzowania spożywania produktów powstałych na bazie mleka. Dzięki współpracy z badaczami otwiera się realna szansa na stworzenie specjalistycznych wyrobów przeznaczonych dla różnych grup ludzi. Stanie się to możliwe, ponieważ naukowcy będą nieustannie dostarczać branży nowych informacji służących ulepszeniu istniejących produktów oraz poprawianiu ich właściwości funkcjonalnych oraz prozdrowotnych. Dysponując takim naukowym know-how, polski sektor mleczarski będzie w stanie stale się rozwijać, a rozszerzanie oferty o nowe artykuły spożywcze z pewnością przyczyni się do wzmocnienia jego atrakcyjności.

Same uczelnie także skorzystają na uczestnictwie w projekcie. Połączone siły dają bowiem całej grupie unikatową szansę na przekazywanie sobie nawzajem informacji oraz bazy wiedzy, a przy tej okazji na wykorzystanie posiadanego potencjału, zarówno kadrowego, jak i badawczego. Jak widać, uczestnictwo w projekcie stwarza doskonałą okazję dla każdej ze szkół wyższych, by mogła pochwalić się tym, co ma najlepszego. Nade wszystko jednak takie przedsięwzięcie stanowi dobry przykład współdziałania nauki i gospodarki, przekonują „Aktualności Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie” (nr 4/2023).

Aneta Zawadzka

Grzegorz Chodaczek

Limfocyty T gamma-delta niszczą nowotwory

Immunoterapia, w przeciwieństwie do chemio- i radioterapii, jest precyzyjnie ukierunkowana na nowotwór, dzięki czemu oszczędza zdrowe komórki i daje mniejsze ryzyko wystąpienia działań niepożądanych. Ma ona też potencjał do długotrwałego wpływu na układ odpornościowy i mniejszej oporności, poprawiając wskaźniki przeżywalności.

Choroba nowotworowa stanowi drugą, po chorobach układu krążenia, najczęstszą przyczynę zgonów w państwach Unii Europejskiej. Co roku diagnozuje się ją u około 2,6 miliona osób, a około 1,2 miliona ludzi umiera z jej powodu. Niewystarczająca skuteczność chemio- i radioterapii, będących obok chirurgicznej resekcji nowotworu podstawowymi formami leczenia, była motorem do wykorzystania potencjału układu odpornościowego do walki z rakiem. Układ ten tworzony jest przez różnego typu komórki, które kontrolują homeostazę organizmu i są zdolne do migracji oraz wnikania w mikrośrodowisko tkanki nowotworowej, gdzie przy odpowiedniej aktywacji mogą niszczyć nieprawidłowe komórki. Niestety oprócz komórek nowotworowych w mikrośrodowisku guza występują fibroblasty, różnego typu odpornościowe komórki supresorowe, nowo wytworzone naczynia krwionośne i pozakomórkowa macierz, które łącznie wywołują efekt immunosupresyjny, wspierając rozwój guza oraz tworzenie przerzutów do innych organów. Odkrycie pronowotworowej roli mikrośrodowiska doprowadziło do powstania nowego sposobu leczenia – immunoterapii, która polega na modyfikacji funkcji mikrośrodowiska i komórek układu odpornościowego pacjenta w celu hamowania rozwoju nowotworów oraz lepszego rozpoznawania i niszczenia komórek nowotworowych. Immunoterapia, w przeciwieństwie do chemio- i radioterapii, jest precyzyjnie ukierunkowana na nowotwór, dzięki czemu oszczędza zdrowe komórki i daje mniejsze ryzyko wystąpienia działań niepożądanych. Ma ona też potencjał do długotrwałego wpływu na układ odpornościowy i mniejszej oporności, poprawiając wskaźniki przeżywalności. Immunoterapię stosuje się jednak razem z konwencjonalnymi formami leczenia, gdyż ma ona również swoje ograniczenia.

Aktualnie najczęściej stosowanym podejściem immunoterapeutycznym jest leczenie inhibitorami tzw. immunologicznego punktu kontrolnego (IPK), czyli przeciwciałami monoklonalnymi, które blokują białka będące „hamulcami” w układzie odpornościowym. Białka te przeciwdziałają nadmiernej aktywacji komórek immunologicznych, ale jednocześnie osłabiają ich naturalną odpowiedź przeciwnowotworową. Poprzez

zahamowanie funkcji IPK aktywacja układu odpornościowego w obrębie mikrośrodowiska jest podtrzymana, a reakcje przeciwnowotworowe wzmocnione, co prowadzi do aktywnego niszczenia nowotworów np. przez limfocyty T. Jednym z pierwszych leków tego typu było przeciwciało monoklonalne pembrolizumab, skierowane przeciwko receptorowi programowanej śmierci komórki 1 (ang. programmed death receptor 1, PD-1). Blokada białka PD-1 przeciwdziała tzw. „wyczerpaniu” cytotoksycznych limfocytów T i wydłuża ich aktywność przeciwnowotworową. W immunoterapii wykorzystuje się również bewacyzumab – przeciwciało wiążące czynnik wzrostu śródbłonnka naczyńowego (ang. vascular endothelial growth factor, VEGF). Zahamowanie funkcji VEGF w obrębie guza ogranicza wzrost naczyń krwionośnych dostarczających mu substancje odżywcze, a w konsekwencji spowalnia jego rozwój. Testowane są także przeciwciała swoiste wobec zidentyfikowanych fragmentów białek (antygenów) nowotworowych, które po związaniu się do komórek zawierających te antygeny na swojej powierzchni aktywują mechanizmy odporności wrodzonej, indukując tzw. cytotoksyczność komórkową zależną od przeciwciał. Ponadto eksperymentalna immunoterapia nowotworów obejmuje również szczepionki zawierające peptydy izolowane z nowotworów prezentowane przez komórki dendrytyczne w celu wytworzenia odpowiedzi immunologicznej opartej na przeciwciałach i cytotoksycznych komórkach efektorowych.

Limfocyty T $\gamma\delta$ mogą działać szybciej

Dzięki rozwojowi technik inżynierii genetycznej powstała przeciwnowotworowa terapia komórkowa CAR-T, bazująca na genetycznej modyfikacji komórek T pobranych od pacjenta onkologicznego poprzez wprowadzenie do nich tzw. chimericznych receptorów antygenowych (ang. chimeric antigen receptor, CAR). Receptory CAR, podobnie do przeciwciał swoistych wobec peptydów produkowanych przez dany nowotwór, rozpoznają komórki z określonymi sekwencjami peptydowymi w białkach błonowych i aktywują ścieżki sygnałowe w zmodyfikowanych limfocytach T, prowadząc do uruchomienia funkcji cytotoksycznych i niszczenia komórek nowotworowych.

W następnym kroku komórki CAR-T hoduje się i namnaża w warunkach *in vitro*, po czym podaje się je z powrotem pacjentowi. Migrują one wówczas po całym organizmie pacjenta, a po rozpoznaniu komórki nowotworowej powodują jej śmierć. Jak dotąd komórki CAR-T wykazują największą aktywność wobec rozszanych komórek białaczkowych, które nie tworzą mikrośrodowiska. W przypadku guzów litych, ich immunosupresyjne mikrośrodowisko niestety znacząco osłabia skuteczność terapii CAR-T.

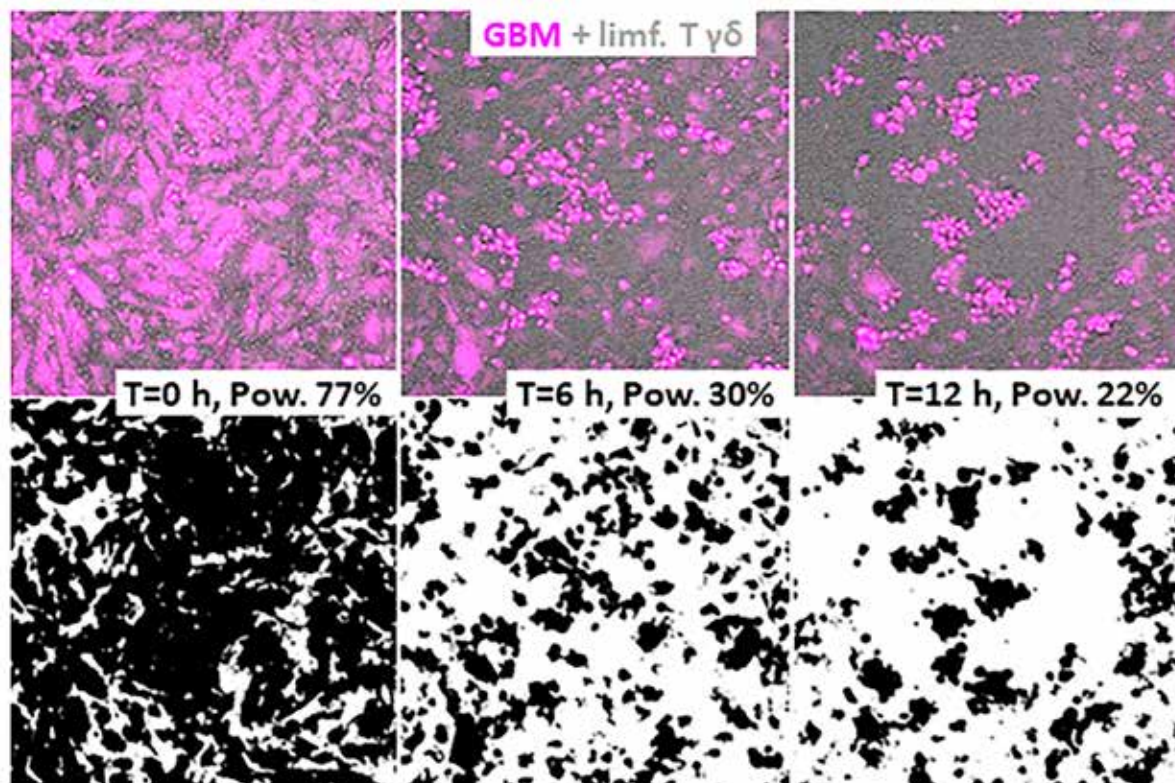
Dalsze ulepszenia przeciwnowotworowych terapii komórkowych obejmują tworzenie bardziej wydajnych receptorów CAR, a także identyfikację lepszych komórek efektorowych do podania pacjentowi. W tym drugim przypadku obiecującym kandydatem są limfocyty T wykazujące ekspresję receptora komórek T (ang. T cell receptor, TCR) zbudowanego z łańcuchów γ i δ , którym nasza grupa interesuje się od dawna. Limfocyty T $\gamma\delta$ stanowią 1-10% limfocytów T krążących we krwi i mają cechy zarówno wrodzonego, jak i nabytego układu odpornościowego. Ta właściwość czyni je bardziej odpowiednimi do terapii komórkowych niż dominujące we krwi limfocyty T z łańcuchami α i β , które stanowią naszą główną broń w odpowiedzi przeciwzakaźnej, ale również standardowo są wykorzystywane do terapii CAR-T. Kompleks białkowy $\alpha\beta$ TCR, jako główny receptor limfocytów T $\alpha\beta$, odpowiadający za rozpoznawanie patogenów i aktywację funkcji efektorowych w komórkach T $\alpha\beta$, wymaga przetworzenia białek charakterystycznych dla danego patogenu do krótkich sekwencji peptydowych i ich prezentacji przez obecne w błonie komórek cząsteczki głównego układu zgodności tkankowej (ang. major histocompatibility complex, MHC), dopiero interakcja $\alpha\beta$ TCR z antygenem/peptydem związanym z MHC prowadzi do niszczenia zakażonej komórki. W przypadku receptora $\gamma\delta$ TCR uważa się, że rozpoznaje on bezpośrednio tzw. antygeny stresu komórkowego (pojawiające się np. w zakażonych lub zmienionych nowotworowo komórkach), bez potrzeby kompleksu MHC, dzięki czemu

limfocyty T $\gamma\delta$ mogą działać szybciej niż limfocyty T $\alpha\beta$. Co ważne, niewrażliwość na obecność cząsteczek MHC, których rodzaj jest zmienny osobniczo, umożliwia allogeniczne terapie komórkowe – od niespokrewnionych dawców – w sytuacjach, gdy ekspansja pobranych limfocytów T i ich powrotny transfer do tego samego pacjenta stają się utrudnione lub niemożliwe. Ponadto po aktywacji limfocyty T $\gamma\delta$ wytwarzają interferon γ (IFN- γ) i czynnik martwicy nowotworu α (TNF- α), białka z grupy cytokin wykazujące działanie przeciwnowotworowe.

Biologia limfocytów T $\gamma\delta$ jest jednak nadal nie do końca poznana, co spowalnia ich translację do zastosowań klinicznych. Tożsamość czynników (ligandów) rozpoznawanych przez $\gamma\delta$ TCR i mechanizmy ich wiązania przez $\gamma\delta$ TCR, prowadzące do aktywacji komórek, są obecnie przedmiotem intensywnych badań. Wykazano jak dotąd, że komórki T $\gamma\delta$ z łańcuchem δ typu V δ 2 (V δ 2⁺), obecnym w większości limfocytów T $\gamma\delta$ we krwi, reagują na fosfo-antygeny, które są niepeptydowymi fosforylowanymi związkami szlaków biosyntezy izoprenoidów. Inna duża subpopulacja limfocytów T $\gamma\delta$ z łańcuchem δ typu V δ 1 (V δ 1⁺), występująca głównie w skórze i błonach śluzowych, rozpoznaje cząsteczki ulegające ekspresji na komórkach poddanych stresowi i transformacji nowotworowej (np. białka MICA/B i UL16BP). Co więcej, obie populacje komórek T $\gamma\delta$ wykazują ekspresję białka NKG2D, które również wiąże się z antygenami stresu komórkowego i może skutecznie wyzwać funkcje cytotoksyczne limfocytów T $\gamma\delta$.

Mysz z ludzkimi komórkami

Potencjał przeciwnowotworowy limfocytów T $\gamma\delta$ oraz wiedza o tym, jak je aktywować i namnażać *in vitro*, doprowadziły do prób wykorzystania ich w terapii nowotworów. Zadanie to wymaga przede wszystkim innowacyjnych modeli doświadczalnych umożliwiających testowanie nowych strategii terapeutycznych w warunkach jak najlepiej naśladujących organizm ludzki. Standardowym podejściem były początkowo badania



Analiza efektu cytotoksycznego limfocytów T $\gamma\delta$ wobec komórek GBM w ciągu 12 h hodowli mieszanej wyrażona spadkiem powierzchni warstwy GBM.

in vitro sprawdzające wpływ analizowanych substancji na jednorodną, jednowarstwową hodowlę linii komórek nowotworowych, bez udziału wieloskładnikowego mikrośrodowiska guzów. Modele in vitro są jednak wciąż udoskonalane, czego przykładem są hodowle nowotworowe trójwymiarowe (3D), np. w postaci kulistych, wielokomórkowych agregatów, tzw. sferoidów, które odwzorowują strukturę i zróżnicowanie funkcjonalne między komórkami znajdującymi się wewnątrz i na zewnątrz guza. Jeszcze wyższy poziom złożoności, zachowujący heterogeniczność i architekturę tkanki nowotworowej, oferują tzw. organoidy, czyli fragmenty guza zawierające mikrośrodowisko, pobrane od pacjenta i hodowane przez krótki czas w specjalnych pożywkach. Mają one jednak dużo ograniczeń i nie oddają w pełni warunków in vivo. Dlatego też doświadczenia na zwierzętach laboratoryjnych są wciąż najistotniejszym etapem badań przedklinicznych w onkologii, zanim nowa terapia będzie przetestowana na ludziach. Popularnym modelem tej fazy są myszy laboratoryjne z upośledzonym systemem immunologicznym, umożliwiające ksenotransplantacje, czyli wszczepianie komórek lub tkanek nowotworowych pochodzących od ludzi do innych organizmów. Myszy takie nie odrzucają implantowanych komórek nowotworowych, dzięki czemu możliwa jest analiza wzrostu samego nowotworu oraz testowanie wpływu terapii na jego rozwój, bez zakłóceń wynikających z obecności mysiego układu odpornościowego. Rozwój immunoterapii wskazuje jednak, że o powodzeniu leczenia decyduje również aktywność komórek towarzyszących nowotworowi, co mocno osłabia znaczenie badań na mysich modelach, w których indukuje się guzy bez ludzkiego mikrośrodowiska.

Postęp w dziedzinie modelowania chorób doprowadził do powstania udoskonalonego modelu zwierzęcego, tzw. myszy humanizowanej, która może stanowić rzeczywisty awatar pacjenta onkologicznego. W istocie jest to mysz laboratoryjna, do której wszczepiono ludzkie krwiotwórcze komórki macierzyste (ang. hematopoietic stem cells, HSC), będące prekursorami różnych linii komórek odpornościowych. W organizmie myszy powstaje wówczas funkcjonalny układ odpornościowy

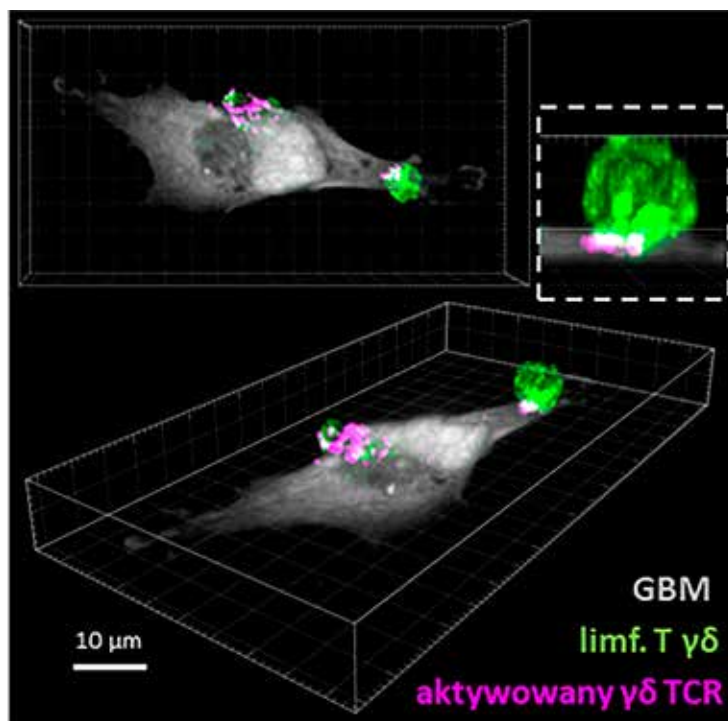
człowieka, pozwalający na badania szerokiego zakresu chorób, w tym raka, chorób zakaźnych i autoimmunologicznych. Co istotne, zaimplantowane komórki nowotworowe w humanizowanej myszy tworzą guz wraz z mikrośrodowiskiem, naciekanym przez różne ludzkie komórki układu odpornościowego o działaniu osłabiającym reakcje przeciwnowotworowe, tak jak dzieje się to w przebiegu faktycznej choroby u pacjenta. Model ten umożliwia analizę interakcji między komórkami nowotworowymi a układem odpornościowym, ocenę skuteczności immunoterapii oraz identyfikację potencjalnych biomarkerów odpowiedzi na terapię.

W laboratorium Grupy Badawczej Immunoterapii w Sieci Badawczej Łukasiewicz – PORT Polskim Ośrodku Rozwoju Technologii koncentrujemy się na opracowaniu modeli badawczych służących ocenie użyteczności stosowania komórek T $\gamma\delta$ do terapii przeciwnowotworowych. Wiele opublikowanych danych uzyskanych doświadczalnie na myszach laboratoryjnych wskazuje na skuteczność limfocytów T $\gamma\delta$ w niszczeniu różnego typu nowotworów. Szczególnie interesujący jest przykład wykorzystania tych komórek w terapii glejaków, których leczenie jest wyjątkowo trudne. Glejaki to najczęstsze nowotwory złośliwe mózgu u dorosłych, wywodzące się z komórek glejowych, które wspierają funkcjonowanie i strukturę układu nerwowego. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) wyróżnia kilka typów glejaka na podstawie ich pochodzenia: gwiazdziak (astrocyty), skąpodrzewiak (oligodendrocyty), wyściółczak (komórki ependymalne). W zależności od agresywności glejaki dzieli się na cztery stopnie (I–IV), od niskiej do wysokiej złośliwości. Glejak wielopostaciowy (glioblastoma multiforme, GBM), gwiazdziak IV stopnia wg (WHO) to najbardziej agresywny nowotwór mózgu, który stanowi 54% wszystkich glejaków i 16% wszystkich pierwotnych guzów mózgu. Zapadalność na GBM wynosi 2-3 na 100 tys. osób, a wskaźniki przeżycia rocznego i 5-letniego są bardzo niskie i wynoszą odpowiednio 37,2% i 5,1%. Obecne leczenie opiera się na chirurgicznej resekcji guza i następczej radioterapii oraz uzupełniającej chemioterapii z wykorzystaniem temozolomidu. Niestety z powodu niecałkowitego usunięcia komórek nowotworowych i lekooporności w ponad 90% przypadków guzy nawracają, co pokazuje, że opracowanie alternatywnych podejść terapeutycznych do glejaka wielopostaciowego jest konieczne. W kontekście eksperymentalnej (przedklinicznej) immunoterapii GBM opierającej się na komórkach T $\gamma\delta$ (typu V δ 2⁺) wykazano, że mają one zdolność do hamowania wzrostu guza i znacząco wydłużają przeżycie myszy z zaimplantowanymi do mózgu komórkami nowotworowymi. Wyniki te potwierdza toczące się badanie kliniczne (ClinicalTrials.gov ID: NCT04165941), w którym planowane jest testowanie genetycznie zmodyfikowanych limfocytów T $\gamma\delta$, niewrażliwych na temozolomid, tak aby były one odporne na równoległe stosowaną chemioterapię.

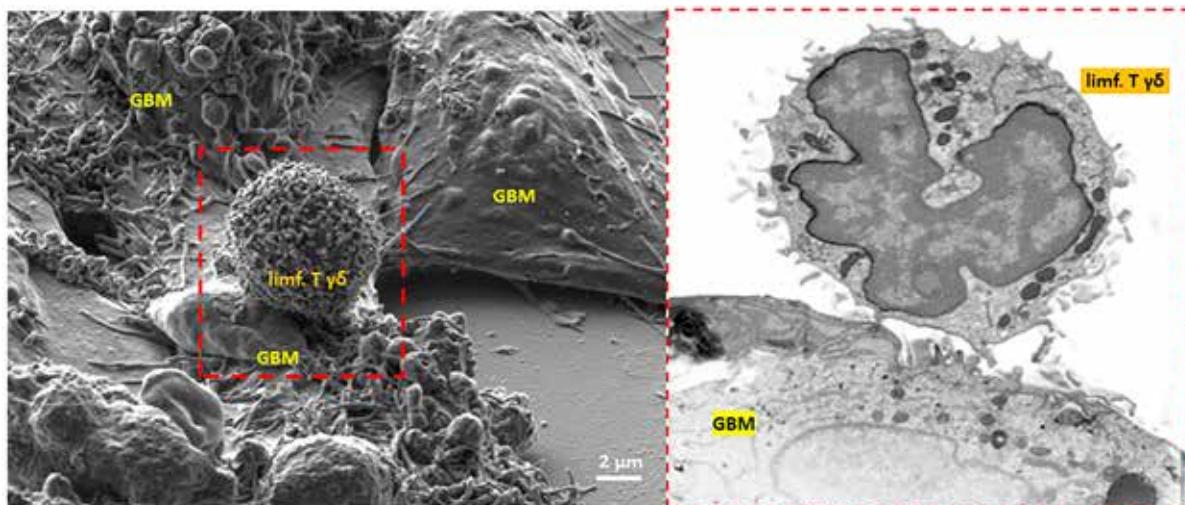
W naszych badaniach, objętych zgodą Komisji Bioetycznej, wykonujemy testy porównawcze funkcji limfocytów V δ 1⁺ i V δ 2⁺ wobec GBM w celu wykazania, która z tych dwóch populacji limfocytów ma większą skuteczność w walce z glejakami. Dzięki współpracy z Regionalnym Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa we Wrocławiu pozyskujemy

Odtworzyć układ odpornościowy pacjenta w organizmie myszy

W naszych badaniach, objętych zgodą Komisji Bioetycznej, wykonujemy testy porównawcze funkcji limfocytów V δ 1⁺ i V δ 2⁺ wobec GBM w celu wykazania, która z tych dwóch populacji limfocytów ma większą skuteczność w walce z glejakami. Dzięki współpracy z Regionalnym Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa we Wrocławiu pozyskujemy



Wizualizacja aktywacji limfocytów T $\gamma\delta$ w kontakcie z nowotworem GBM za pomocą immunofluorescencji i mikroskopii konfokalnej.



Wizualizacja ultrastruktury limfocytów T $\gamma\delta$ w kontakcie z nowotworem GBM za pomocą mikroskopii elektronowej SEM/STEM i techniki FIB.

kożuszki leukocytarne, z których izolujemy jednojądrzaste komórki krwi obwodowej jako materiał wyjściowy do założenia hodowli limfocytów T $\gamma\delta$. Standardowo prowadzimy trzytygodniowe hodowle, stosując opisane w literaturze naukowej protokoły ekspansji komórek, dedykowane dla danego typu limfocytów. Równolegle tworzymy też dwu- i trójwymiarowe hodowle komórek nowotworowych w oparciu o ustalone linie komórkowe glejaka i pierwotny materiał kliniczny: fragmenty guzów mózgu po resekcji, uzyskane z lokalnych szpitalnych oddziałów neurochirurgicznych. Aktywność cytotoxyczną limfocytów T $\gamma\delta$ względem komórek nowotworowych oceniamy w hodowlach mieszanych obu populacji komórek, stosując różne badania żywotności komórek (m.in. test enzymatyczny oparty o enzym dehydrogenazę mleczanową uwalnianą do medium hodowlanego przez zabijane komórki) oraz za pomocą przyżyciowego obrazowania mikroskopowego wizualizującego proces niszczenia komórek glejaka przez limfocyty T $\gamma\delta$. Dodatkowo, wykonując analizy immunofluorescencyjne, określamy wpływ terapii na indukcję apoptozy prowadzącej do śmierci komórek nowotworowych (pomiar aktywności kaspazy-3) i na zdolność komórek glejaka do dalszych podziałów komórkowych (marker proliferacji Ki67), a także mierzymy cytokiny wydzielane przez limfocyty, świadczące o ich aktywności przeciwnowotworowej. Wykorzystując skaningowo-transmisyjną mikroskopię elektronową (SEM/STEM) w celu wizualizacji ultrastruktury synapsy immunologicznej tworzonej przez limfocyty reagujące z komórkami nowotworowymi, chcemy określić mechanizm ich działania – synapsa jest miejscem uwalniania ziarnistości cytotoxycznych, które nieodwracalnie uszkadzają błonę komórkową nowotworów. Jak dotąd nasze jeszcze niepublikowane dane wskazują, że oba typy komórek T $\gamma\delta$ są w stanie niszczyć komórki GBM, ale ich skuteczność różni się w zależności od rodzaju komórek nowotworowych, protokołu ekspansji, a także od dawcy limfocytów T $\gamma\delta$.

Wyniki te weryfikować będziemy w modelu *in vivo*, docelowo w myszy humanizowanej, będącej awatarem pacjenta z glejakiem (za zgodą Lokalnej Komisji Etycznej ds. Doświadczeń na Zwierzętach). Opublikowane badania dotyczące funkcji cytotoxycznych limfocytów T $\gamma\delta$ ($V\delta 2^+$) wobec komórek GBM opierają się na myszach z niedoborem odporności, w których rozwijający się guz nie zawiera ludzkiego mikrośrodowiska odpowiedzialnego za lokalną immunosupresję, potencjalnie negatywnie wpływającą na komórki T $\gamma\delta$. Dysponując komórkami HSC pacjenta, planujemy odtworzyć jego układ odpor-

nościowy w organizmie myszy, tak by komórki nowotworowe implantowane do mózgu myszy wytworzyły immunosupresyjne mikrośrodowisko zbliżone do sytuacji klinicznej. Ocena działania limfocytów T $\gamma\delta$ będzie wówczas bardziej wiarygodna. Model awatara pacjenta onkologicznego to krok na drodze rozwoju medycyny spersonalizowanej: przeszczep komórek nowotworowych pacjenta do myszy humanizowanych jego własnymi komórkami odpornościowymi pozwoli na testy różnych metod terapeutycznych i określenie najlepszej strategii leczenia dla danej osoby. W efekcie może to prowadzić do bardziej indywidualnych i skuteczniejszych schematów leczenia.

Porównanie aktywności komórek $V\delta 1^+$ i $V\delta 2^+$ dostarczy cennych informacji na temat mechanizmów aktywacji limfocytów T $\gamma\delta$ i działania na GBM, co w przyszłości może doprowadzić do dalszych badań rozwojowych uwzględniających modyfikację genetyczną komórek w celu poprawy ich funkcji i umożliwiających translację do zastosowań klinicznych. Aktualnie wiele firm farmaceutycznych o światowym zasięgu (m.in. Acropodia, Adaptate Therapeutics, Adicet, CytoMed Therapeutics, Gadeta, Immatics, IN8bio, Kiromic Biopharma, Lava Therapeutics, Takeda Pharmaceuticals, TC Biopharm) aktywnie realizuje pomysł wykorzystania limfocytów T $\gamma\delta$ w allogenicznej terapii nowotworów jako gotowego leku (ang. off-the-shelf), włączając również wprowadzanie do nich receptorów CAR. Wg bazy ClinicalTrials.gov istnieje aktualnie 9 zarejestrowanych badań klinicznych opartych głównie na komórkach $V\delta 2^+$. Wizja translacji naszych wyników na komercyjnie dostępny produkt terapeutyczny jest bardzo atrakcyjna, aczkolwiek rozwój jakiegokolwiek wysokospecjalistycznej terapii komórkowej wymaga połączenia głębokiej wiedzy naukowej, różnorodnych kompetencji i znacznych zasobów finansowych. Nowoczesne, innowacyjne terapie przeciwnowotworowe powstają zwykle w ścisłej współpracy ośrodków badawczych, małych i średnich przedsiębiorstw oraz dużych koncernów farmaceutycznych. Wszystko jednak zawsze zaczyna się od badań podstawowych, bez których nie ma badań aplikacyjnych i ewentualnych wdrożeń.

Badania finansowane przez Narodowe Centrum Nauki w ramach konkursu OPUS-18: 2019/35/B/NZ6/03748 pt.: „Analiza skuteczności immunoterapii glejaka z wykorzystaniem limfocytów T gamma-delta”.

Dr hab. Grzegorz Chodaczek, lider Grupy Badawczej Immunoterapii, Centrum Nauk o Życiu i Biotechnologii, Sieć Badawcza Łukasiewicz – PORT Polski Ośrodek Rozwoju Technologii

Joanna Miksa

Budowanie edukacji obywatelskiej

Modele nauczania etyki we Francji, Hiszpanii i Portugalii

Można powiedzieć, że o ile Francja i Portugalia uniknęły niebezpieczeństwa zawłaszczenia edukacji etycznej przez polityków, to w przypadku Hiszpanii w dużej mierze ziścił się czarny scenariusz, ze szkodą dla rangi nauczania etyki w szkołach.

W książce *Etyka w wybranych krajach świata zachodniego: Francja, Hiszpania, Portugalia* podejmuję temat edukacji etycznej we wskazanych w tytule pracy krajach. Edukacja etyczna na uwzględnionym w książce obszarze ma szczególny charakter, prowadzona jest bowiem w formie edukacji obywatelskiej. Ważną część opracowania stanowią tłumaczenia programów nauczania, które zawierają treści kształcenia przewidziane dla poszczególnych przedmiotów istniejących we francuskich, hiszpańskich i portugalskich szkołach. Prezentacja każdego ze zbiorów tłumaczeń poprzedzona jest rozdziałem, w którym pokazuję drogę, na jakiej doszło do ustalenia się dziś obowiązującego we wskazanych krajach kształtu edukacji etycznej. W tym tekście przedstawię najważniejsze cechy edukacji etycznej realizowanej w formie edukacji obywatelskiej. Wypracowanie aktualnie obowiązującego modelu nauczania etyki w formie edukacji obywatelskiej, realizowanej jako oddzielny przedmiot lub zespół treści uwzględnianych obowiązkowo na zajęciach z wybranych przedmiotów, jest procesem zapoczątkowanym we Francji w latach 80. XX wieku. W przypadku Francji wprowadzenie edukacji obywatelskiej jako wydzielonego zespołu treści kształcenia było powrotem do tradycji istniejącej od samych początków szkoły republikańskiej, czyli od lat 80. XIX wieku i istniejącej nieprzerwanie do roku 1969. Oczywiście należy podkreślić, że różne elementy edukacji obywatelskiej zawsze były częścią kształcenia we francuskich szkołach i nawet w ciągu około 15 lat, kiedy edukacja ta nie była prowadzona w formie oddzielnego przedmiotu ani ścieżki przedmiotowej, przygotowanie do bycia obywatelem zawsze było istotną częścią edukacji w republikańskiej szkole francuskiej. W przypadku Hiszpanii i Portugalii wprowadzenie edukacji etycznej w formie edukacji obywatelskiej nastąpiło w drugiej dekadzie XX wieku. Prześledzenie procesu wprowadzania nowych treści kształcenia i przedmiotów do szkół jest niesłychanie interesujące, ponieważ w dyskusjach na temat edukacji etycznej w dowolnym kraju zawsze pojawia się lęk przed instrumentalizacją etyki jako przedmiotu szkolnego przez polityków. Można powiedzieć, że o ile Francja i Portugalia uniknęły niebezpie-

czeństwa zawłaszczenia edukacji etycznej przez polityków, to w przypadku Hiszpanii w dużej mierze ziścił się czarny scenariusz, ze szkodą dla rangi nauczania etyki w szkołach. Analiza sukcesów i porażek poszczególnych państw na tym obszarze jest pouczająca. Jest też niesłychanie ważna, ponieważ zmiany w programach nauczania są przeprowadzane lub chociażby akceptowane przez polityków i jako takie są też częścią debaty publicznej. Z tego powodu debata w przestrzeni publicznej na temat edukacji, prowadzona z udziałem nauczycieli, rodziców, przedstawicieli świata akademickiego i polityków, jest prawdopodobnie czymś, na co warto być przygotowanym, ponieważ debata taka jest naturalnym elementem demokratycznego procesu podejmowania decyzji. Warto podkreślić, że w przypadku Hiszpanii powodem niepowodzeń w mojej opinii była nieproporcjonalnie duża rola samych polityków jako inicjatorów zmian w edukacji, na które reagowali nauczyciele, rodzice i specjaliści. W przypadku Francji kluczem do sukcesu była tradycja edukacji w duchu republikańskim przekładająca się na trwałą kulturę prawną, a w przypadku Portugalii ogromne znaczenie miało włączenie nauczycieli w proces budowania edukacji obywatelskiej oraz przeznaczenie kilku lat na wprowadzenie samego przedmiotu, uwzględnienie etapu istnienia programu pilotażowego, unikanie gwałtownych i wprowadzanych odgórnie zmian.

Polska inspiracja

Choć książka poświęcona jest edukacji etycznej we Francji, Hiszpanii i Portugalii, inspiracją do jej napisania była sytuacja edukacji etycznej w Polsce. Formalnie rzecz biorąc, etyka jako przedmiot istnieje w polskich szkołach od trzydziestu lat. Swoje pojawienie się w systemie szkolnictwa zawdzięcza jednak nie tyle zainteresowaniu, jakie sama mogłaby wzbudzić, ile potrzebie zapewnienia alternatywy dla lekcji religii obecnych w polskich szkołach od roku szkolnego 1990/1991. Początkowo możliwość realizowania zajęć z etyki cieszyła się nikłym zainteresowaniem, potrzeba było dekady, by jej obecność w szkołach stała się zauważalna. Lekcje etyki zaczęły się pojawiać na

prosbę samych uczniów i ich rodziców. Do 2018 roku podstawa programowa dla etyki była niezwykle krótkim dokumentem, a liczbę podręczników rekomendowanych przez MEN można było policzyć na palcach jednej ręki. Cały trud tworzenia tego przedmiotu wzięli na swoje barki nauczyciele, którzy układali scenariusze zajęć dla rosnącej z roku na rok liczby chętnych. Można śmiało powiedzieć, że zainteresowanie świata akademickiego nauczaniem etyki nastąpiło dopiero w odpowiedzi na wysiłek nauczycieli i potrzebę uczestniczenia w lekcjach z etyki, jaką wykazywali uczniowie. Przez wiele lat ewolucja etyki w szkołach miała miejsce przy daleko idącej obojętności państwa, co sprawia, że nadal istnieje przestrzeń do dyskusji, jak nauczanie etyki może wyglądać i jakie elementy w edukacji etycznej warto uwzględnić. Z pewnością edukacja obywatelska może być choć częściowym źródłem inspiracji.

Jednym ze sposobów zabrania głosu w dyskusji na temat możliwości wpisanych w edukację etyczną jest odwołanie się do doświadczeń innych krajów europejskich w zakresie edukacji etycznej. W mojej pracy zajęłam się modelem realizowanym we Francji, Hiszpanii i Portugalii, gdzie nauczanie etyki prowadzone jest jako edukacja obywatelska. W nauczaniu etyki w krajach europejskich można w pewnym uproszczeniu wyróżnić dwa modele i warto zaznaczyć od razu, że przypadek Polski bliższy jest modelowi obecnemu w Niemczech i krajach skandynawskich. Z tego powodu oczywiste jest, że doświadczenia krajów języków romańskich mogą być pewną inspiracją, dostarczać zachęty do wzbogacenia tradycji nauczania etyki, która wykształciła się w polskich szkołach w ciągu ostatnich 30 lat. W pierwszym modelu edukacji etycznej w jej centrum znajduje się tradycja filozoficzna i religijna. Na zajęciach z etyki studiuje się historię myśli filozoficznej i różne tradycje religijne, po to by dokonać namysłu nad światem wartości, dostrzec ich różnorodność i zastanowić się nad ich wymiarem uniwersalnym. Ten model realizowany jest w krajach języka niemieckiego i krajach skandynawskich. Można nawet uznać, że do pewnego stopnia zajęcia z edukacji religijnej w brytyjskich szkołach w wersji przyjętej po reformie prawa oświatowego z 1988 roku mieszczą się w tej kategorii. Wspólnym mianownikiem dla tych państw jest silna tradycja kultury protestanckiej. Mniej więcej do lat 60. w państwach tych szkoły realizowały edukację religijną pojmowaną jako edukacja konfesyjna, czyli adresowana do wyznawców danej religii. Od lat 60. nasilił się jednak opisywany przez socjologa Thomasa Luckmanna proces prywatyzacji religii, czyli realizowania potrzeb religijnych poza instytucjami, jakimi są niewątpliwie kościoły, a także pojawiła się rosnąca liczba osób deklarująca indyferentyzm religijny. Ponadto w wielu krajach europejskich, między innymi w wyniku procesu dekolonizacji oraz w odpowiedzi na zapotrzebowanie na pracowników, zaczęła pojawiać się ludność innych wyznań, w szczególności islamu. Organizowanie zajęć z religii chrześcijańskiej w szkołach dla wszystkich uczniów straciło sens. Rozwiązaniem okazało się organizowanie zajęć z etyki pojmowanej jako alternatywa dla zajęć z religii, a w centrum zainteresowań stał początkowo problem wartości, ale też z czasem problem dialogu między osobami wyznającymi różne systemy wartości.

Model francuski

Drugi model nauczania etyki to właśnie model oparty na edukacji obywatelskiej. Miejscem jego narodzin jest Francja z lat 80. XIX wieku. Po powstaniu III Republiki, w latach 80., wydano szereg ustaw o prawie oświatowym, w których przewidywano powstanie szkoły republikańskiej. Szkoła ta była na poziomie podstawowym obowiązkowa dla dzieci obu płci, bezpłatna i laicka. Nie organizowano zajęć z religii, co było

wydarzeniem bez precedensu w historii europejskiego szkolnictwa, zostawiano natomiast jeden dzień wolny, po to by rodziny mogły zapewnić dzieciom edukację religijną zgodną z ich wyznaniem. Szkoła natomiast miała stać się przestrzenią wspólną dla wszystkich obywateli niezależnie od wyznania, co nie oznaczało jednak, że wychowanie szkolne miało być zamknięte na sferę wartości. Wręcz przeciwnie, uznano, że sama instytucja obywatelstwa ma wymiar moralny, a zadaniem szkoły jest przygotowanie uczniów do życia w społeczeństwie złożonym z ludzi cieszących się swobodą myśli, wyznania i wypowiedzi oraz równych wobec prawa. Edukacja moralna jako wydzielony zespół treści obecnych w nauczaniu istniała we francuskich szkołach do 1969 roku, choć pamiętać trzeba, że różne elementy wychowania obywatelskiego i budowania republikańskiej kultury prawnej pozostały obecne w nauczaniu szkolnym we Francji także po 1969 roku. Ta pierwsza faza doświadczeń z edukacją etyczną jako edukacją obywatelską jest z punktu widzenia dzisiejszych standardów anachroniczna. Pamiętać trzeba, że narodziła się w szkołach podstawowych, opierała się na analizie maksym moralnych i w dużej mierze była rodzajem pogadanki wychowawczej prowadzonej przez nauczyciela. Ponadto w momencie narodzin szkoły republikańskiej równość między obywatelami była w dużej mierze postulatem, zważywszy na przykład na fakt, że kobiety we Francji były pozbawione praw wyborczych aż do 1944 roku. Kiedy edukacja obywatelska pojmowana jako zespół oddzielnych treści nauczania była usuwana z francuskich szkół po wydarzeniach



maja 1968 roku, wydawała się przeżytkiem zamierzonych czasów. A jednak od połowy lat 80. zaczęto stopniowo wracać do tej zarzuconej na półtorej dekady tradycji.

Powodem, dla którego edukacja obywatelska zaczęła cieszyć się zainteresowaniem, stały się problemy ze spójnością społeczną, które narodziły się z rosnącym problem wykluczenia społecznego wśród ludności z tak zwanych przedmieść (les banlieues), do czego z czasem doszły wyzwania wynikające z rosnącej wielokulturowości społeczeństwa francuskiego. W edukacji obywatelskiej zaczęto upatrywać źródła wartości możliwych do przyjęcia przez wszystkich obywateli. U progu XX wieku edukacją etyczną zainteresowała się Unia Europejska. W roku 2002 Komisja Europejska wydała zalecenie Rec(2002)13 Komitetu Ministrów Rady Europy prowadzenia edukacji obywatelskiej ze względu na fakt, że sensem demokracji nie jest jedynie uczestniczenie w wyborach, ale także przyjęcie serii postaw wynikających z instytucji obywatelstwa. Dyrektywa unijna była jedną z inspiracji do wprowadzenia edukacji obywatelskiej do szkół hiszpańskich i portugalskich, a także nieuwzględnionych w mojej pracy szkół włoskich (planuję uwzględnienie problemu edukacji obywatelskiej we Włoszech w przyszłości).

O ile edukacja obywatelska nie budzi kontrowersji w przypadku Francji i Portugalii, o tyle w przypadku Hiszpanii losy edukacji etycznej stały się częścią silnie polaryzujących opinii społeczną sporów, których podstawowe elementy staram się przedstawić w swojej książce. W tym tekście ważniejsza jednak

wydaje mi się rekonstrukcja podstawowych założeń, na których wspiera się edukacja obywatelska rozumiana jako pewna forma edukacji etycznej.

Prawo i demokratyczna dyskusja

Edukacja obywatelska jako edukacja etyczna wspiera się na tradycji praw człowieka. W filozofii nowożytnej XVII i XVIII wieku dokonała się reinterpretacja pojęcia prawa naturalnego obecnego w swojej klasycznej wersji przede wszystkim w filozofii św. Tomasza z Akwinu. Refleksja nad uaktualnionym w wyniku narodzin nowożytnej metody naukowej i nowej kosmologii pojęciem prawa naturalnego stała się podstawą nowego, właściwego dla nowożytności rozumienia podstawowych pojęć filozofii prawa, takich jak sprawiedliwość, prawomocność, prawo, moc wiążąca prawa stanowionego. Pojęciem podstawowym dla nowożytnej tradycji prawnej stało się właśnie pojęcie praw człowieka, które zajmuje centralne miejsce w edukacji etycznej realizowanej jako edukacja obywatelska. Akcent ciężkości w różnych programach nauczania nie spoczywa jednak na analizie filozoficznych uzasadnień dla pojęcia praw człowieka czy też nowożytnych teorii sprawiedliwości, ale na omawianiu praw człowieka w pewnym kontekście historycznym. W różnych programach nauczania bierze się pod uwagę fakt, że prawa człowieka, nawet jeśli są uniwersalnie ważne, a ich moc wiążąca wynika z norm zakorzenionych w rozumie, pojawiały się jednak w rzeczywistości historycznej w czasowo określonym kontekście, przybierając formę deklaracji i ustaw prawnych.



Ponadto uwzględnia się fakt, że sposób rozumienia poszczególnych praw człowieka wyłaniał się z debaty publicznej. Zwłaszcza w przypadku edukacji obywatelskiej we Francji bardzo szeroko uwzględnia się historyczny proces wyłaniania się poszczególnych praw obywatelskich, które *implicite* obecne są w pojęciu praw człowieka, ale których prawne gwarancje pojawiały się w konkretnym momencie historycznym. Szczególnie ciekawe wydaje się w tym kontekście systematyczne uwzględnianie praw dziecka, korzystanie z tekstu Konwencji o prawach dziecka i odwoływanie się do tekstu ustaw określających status osób niepełnoletnich. W przypadku Hiszpanii w programach nauczania odzwierciedlają się natomiast dyskusje bieżące na temat zakresu i znaczenia praw człowieka, w szczególności w kontekście dyskusji na temat zapobiegania dyskryminacji ze względu na płeć, orientację seksualną, status społeczny i pochodzenie etniczne. Podejmowanie tematyki praw człowieka na zajęciach z edukacji obywatelskiej zmierza oczywiście do budowania kultury prawnej wśród uczniów poprzez pokazywanie, w jaki sposób obowiązujące prawo chroni obywateli oraz pojawia się w ich życiu jako źródło zobowiązań wobec innych ludzi.

Edukacja obywatelska to także przygotowanie do życia w demokracji. Za jedną z jej podstawowych charakterystyk przyjmuje się współlistnienie w jednym społeczeństwie na równych prawach obywateli wyznających różne systemy wartości. Z tego powodu jedną z podstawowych umiejętności, do których osiągnięcia dąży się w ramach edukacji obywatelskiej, jest właśnie umiejętność uczestniczenia w dyskusji. Dyskusja pełni przy tym dwie funkcje. W pierwszej kolejności pozwala nawiązać dialog z innymi osobami, uczy uważnego słuchania cudzych opinii i popierania swoich wypowiedzi racjonalnymi argumentami, co pośrednio powinno przełożyć się na docenianie roli nauki jako transparentnej i racjonalnej procedury pozwalającej na badanie rzeczywistości. Praktykowanie dyskusji ma zatem sprzyjać doświadczaniu sytuacji, w której ludzie są zdolni do współpracy pomimo różnic światopoglądowych, różnic doświadczeń i wrażliwości. W drugiej kolejności udział w dyskusji jest także ćwiczeniem pozwalającym lepiej określić własną tożsamość, doprecyzować swoje stanowisko w wielu kwestiach dzięki okazji, jaką stwarza rozmowa z inną osobą. Jednym z ważnych celów edukacji etycznej jest zatem przygotowanie do akceptowania różnorodności światopoglądowej i pokojowego rozwiązywania sporów. Dyskusje te nie mają bowiem doprowadzić do przyjęcia jednego punktu widzenia przez wszystkich uczestników, ale mają ćwiczyć zdolność do współlistnienia wśród ludzi o różnym światopoglądzie oraz umiejętność podejmowania decyzji na drodze negocjacji i w wyniku kompromisu.

W prezentowanych programach nauczania widać również chęć wykorzystania czasu przeznaczanego na edukację obywatelską do uczenia umiejętności, które mogą być środkiem zaradzenia palącym i uniwersalnie obecnym w szkołach problemem wychowawczym. Istnieje pewna grupa zagadnień, która

powtarza się w sposób systematyczny w różnych krajach. Chodzi o kwestie takie jak przemoc rówieśnicza, zwłaszcza o ile zachodzi w mediach społecznościowych, edukacja medialna, edukacja konsumencka i gospodarowanie pieniędzmi. Dość interesujący jest natomiast fakt, że w programach zawartych w książce niejako pomimo faktu rekomendowania edukacji obywatelskiej przez Unię Europejską, europejski wymiar obywatelstwa zajmuje stosunkowo niewiele miejsca. Być może wynika to z faktu, że dużo miejsca poświęca się korzystaniu

z uprawnień wynikających z instytucji obywatelstwa w wymiarze lokalnym i w środowisku szkolnym. W ten sposób chce się pokazać, że demokracja lokalna może stanowić okazję do poszerzenia poczucia sprawczości wpisanej w instytucję obywatelstwa.

Na koniec warto podkreślić, że książka zawiera przede wszystkim programy przedmiotów, w ramach których realizuje się edukację etyczną. W ten sposób dostać można wgląd w pewien projekt tego rodzaju edukacji, oddzielnym tematem jest sprawa jego realizacji w szkołach. Choć stan faktyczny edukacji etycznej w szkołach francuskich, hiszpańskich i portugalskich wykraczał poza ramy moich zainteresowań i możliwości badawczych, można jednak w tym miejscu poczynić kilka uwag. Przede wszystkim w dość krótkim przecież okresie omawianym w książce organizacyjne ramy edukacji etycznej prze-

szły szereg zmian, nowe przedmioty zastępowały starsze wersje. Kiedy kończyłam prace nad książką, francuskie Ministerstwo Edukacji Narodowej zapowiadało znaczne rozbudowanie programu edukacji moralno-obywatelskiej i prace nad nowym, rozszerzonym programem w bieżącym roku. W Hiszpanii wchodził właśnie do szkół kolejny wariant przedmiotu z zakresu edukacji etycznej, którego program załączam w książce, a którego powołania do życia nie mogłam się spodziewać w początkach mojej pracy. Pokazuje to, że proces definiowania zadań i kształtu edukacji etycznej jest procesem otwartym. Wartym zainteresowania tematem w przyszłości byłaby analiza materiałów, takich jak scenariusze lekcji i pomoce dydaktyczne tworzone przez nauczycieli edukacji obywatelskiej i zamieszczane na forach dla nauczycieli oraz materiały dydaktyczne opracowywane jako pomoc dla nauczycieli pod patronatem ministerstw edukacji poszczególnych krajów. W ten sposób można by uzyskać częściowy chociaż wgląd w sposób realizacji zajęć z edukacji obywatelskiej, zobaczyć, jak abstrakcyjne pojęcia zawarte w programach przekładane są na język doświadczenia możliwego do przyswojenia przez uczniów, jak nadaje się sens fundamentalnej dla demokracji instytucji obywatelstwa.

Artykuł został oparty na badaniach opublikowanych w monografii *Etyka w wybranych krajach świata zachodniego: Francja, Hiszpania, Portugalia*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2023.

Dr Joanna Miksa, Katedra Etyki,
Wydział Filozoficzno-Historyczny Uniwersytetu Łódzkiego



Natasza Duraj

Wyjątkowa kraina i obszar ważny strategicznie

Historia relacji Rosji i Krymu

Przylączenie Krymu do Rosji nastąpiło w 1783 r. Aneksja ta objęła nie tylko sam Półwysep Krymski, ale także należące uprzednio do chanatu terytoria leżące po północnej i wschodniej stronie Morza Azowskiego oraz nad Morzem Czarnym, od Perekopu niemal do ujścia Dniepru. Krym stał się częścią guberni noworosyjskiej.

Nie ma chyba nikogo, kto po wyprawie na Krym nie byłby urzeczony tą wyjątkową krainą geograficzną. Ukształtowanie powierzchni Półwyspu Krymskiego jest tak różnorodne, iż każdy turysta może znaleźć atrakcje odpowiadające swoim zamiłowaniom. Znajdują się tu zarówno wysokie góry, rozległe płaskowyże, jak i liczne plaże, na których odpoczynek gwarantuje pełną regenerację sił.

Od zachodu i południa Krym omywa Morze Czarne, zaś od wschodu Morze Azowskie, które jest wyodrębnioną, płytką zatoką tego morza. Całe północne i północno-wschodnie wybrzeże Półwyspu Krymskiego pocięte jest siecią płytkich zatok, mierzei, limanów i cieśnin, które nazywane są Siwaszem.

Największym jeziorem Krymu jest Donuzław. Rozciąga się ono na około 30 km, a jego maksymalna głębokość wynosi 27 m. Znajduje się ono w rejonie Tarchankuckim.

Największe krymskie słone jeziora stanowią dawne zatoki (limany). Są one oddzielone od morza piaszczystymi mierzejami, przez które stale dopływa woda morską, wzbogacając je w sól. Szczególnie cenione ze względu na zasoby soli i błota leczniczego są jeziora grupy eupatoryjskiej. Od wielu lat borowiny z Jeziora Sackiego i Mojnackiego wykorzystywane są w leczeniu schorzeń układu ruchu, a także w kosmetyce. Jednak większość osób pragnących poprawić swój stan zdrowia przybywa do Jałty, najbardziej znanego krymskiego uzdrowiska, które przyjęło swych pierwszych kuracjuszy już w latach 60. XIX w.

Rozwojowi Jałty jako uzdrowiska sprzyjało bliskie sąsiedztwo letniej rezydencji cara rosyjskiego Mikołaja II, pałacu w Liwadii. Początkowo Jałta była tylko kurortem dla arystokratów. Nowy etap jej rozwoju jako uzdrowiska zapoczątko-

wał Anton Pawłowicz Czechow, nowelista i dramaturg rosyjski, a także lekarz-społecznik. Osiedlił się on w Jałcie w 1899 r., pragnąc poprawić stan zdrowia. Z jego inicjatywy, wspieranej przez Maksyma Gorkiego, przeprowadzono zbiórkę pieniężną wśród postępowej inteligencji, a z zebranych środków otwarto w 1903 r. sanatorium dla osób cierpiących na choroby płuc.

Krym to także miejsce niezwykle atrakcyjne dla turystów, którzy podejmują ambitne wyzwania, wyprawiając się na trudne wysokogórskie trasy. W południowej części Półwyspu Krymskiego rozciągają się Góry Krymskie, stanowiące łańcuch o długości około 150 km i szerokości około 50 km. Tworzą one trzy pasma: niewysokie północne, drugie nieco od niego wyższe i trzecie najwyższe, określane mianem Głównego Pasma Krymskiego. Pasma to biegnie nad samym brzegiem morza, tworząc miejscami strome, wysokie i niezwykle malownicze urwiska.

Miłośnikom historii wycieczka na Krym przyniesie także wiele wrażeń i cennych wspomnień. Wyprawę warto rozpocząć od poznania historii Scytów. Od najdawniejszych czasów słynęli oni jako lud niezwykły, z którym nie mogły dać sobie rady liczne wojska króla perskiego Dariusza. Opanowały one północne obszary nad Morzem Czarnym w końcu VI w. p.n.e. Na Krymie Scytowie prowadzili początkowo życie koczownicze. Pod koniec IV w. p.n.e., po utworzeniu i umocnieniu się państwa scytyjskiego, przeszli do życia osiadłego. Sprzyjał temu rozwinięty handel zbożem prowadzony z Grekami.

W III w. p.n.e. w samym centrum Półwyspu Krymskiego powstał Neapol Scytyjski, wzmiankowany przez Herodota i Strabona jako ośrodek państwa scytyjskiego. Scytowie umieszcili swą stolicę nad rzeką Sałgir, w miejscu dającym dobrą

ochronę przed najazdami koczowników sarmackich, którzy w owym okresie pokazali się w stepach nad Morzem Czarnym. Pozostałości tego starożytnego miasta znajdują się na obszarze Symferopola.

Scytowie utworzyli nie tylko własne państwo, lecz i kulturę określaną mianem kultury scytyjskiej bądź scyto-sakij-skiej. Niezwykle istotne znaczenie dla rozwoju badań nad kulturą scytyjską miało odkrycie grobowca-mauzoleum, w którym znajdowało się około 70 grobów arystokracji scytyjskiej. W trakcie prowadzonych prac wykopaliskowych odkryto w nim liczne ozdoby wykonane ze złota, cechujące się niezwyklej kunsztem artystycznym.

Na Krymie można odnaleźć wiele innych zabytków, powstanie których związane jest z ożywionymi kontaktami handlowymi, jakie w późniejszym okresie utrzymywali mieszkańcy Półwyspu Krymskiego z Grekami oraz z dwoma potężnymi włoskimi republikami handlowymi, Wenecją i Genuą. Kupcy weneccy i genueńscy przedostali się na Morze Czarne i wyparłszy stąd Greków zajęli ważniejsze porty krymskie. Między Wenecją a Genuą rozpoczęła się walka o rynki czarnomorskie, w której zwyciężyła Genua. Kupcy genueńscy założyli na Krymie faktorie handlowe: Kaffę (dzisiejsza Teodozja), Suraż (Sudak) i Cembalo (Bałakławę, stanowiącą obecnie część Sewastopola). Faktorie genueńskie na Krymie stały się ważnymi ośrodkami handlu z Iranem, Rusią, Indiami, Chinami i Azją Środkową.

Poszedł Włodzimierz z wojami na Korsun

Kontakty Rosji z Krymem sięgają początków państwa staroruskiego. Jak podają źródła historyczne, na początku IX w. wojska ruskie walczyły na Krymie, prowadząc działania zbrojne na obszarach położonych pomiędzy obecnym Sudakiem a Kerczem. W owym czasie Rusowie zorganizowali wyprawę na połu-

dniowe wybrzeże Morza Czarnego. Arabski pisarz Ibn Chordadbeh relacjonował, iż w połowie IX w. Rusowie wypływali na Morze Azowskie przez Cieśninę Kerczeńską, płynęli w górę Donu do jego połączenia z Wołgą, a następnie do Morza Kaspijskiego, po czym drogą lądową docierali do Bagdadu.

W latach 80. X w. rząd bizantyjski zwrócił się do księcia kijowskiego Włodzimierza Światosławowicza z prośbą o pomoc wojskową, która umożliwiłaby stłumienie powstań w podległych cesarstwu prowincjach. Książę Włodzimierz wyraził zgodę na tę propozycję, żądając w zamian, by Bizancjum zawarło z Rusią sojusz przypieczętowany jego małżeństwem z siostrą cesarza Bazylego II Anną. Warunki te rząd bizantyjski musiał przyjąć.

Wojsko ruskie bez przeszkód i w krótkim czasie stłumiło powstanie w Azji Mniejszej, jednakże Bizancjum odmówiło spełnienia warunku porozumienia z Rusią. Po otrzymanej odmowie książe Włodzimierz ruszył na Krym, zajmując w 989 r. Chersonesz. Cesarz Bazyl II był zmuszony ustąpić. Po zawarciu małżeństwa z Anną Włodzimierz uznał oficjalnie chrześcijaństwo za religię państwa ruskiego. Przyjęcie chrztu przez władcę Rusi Kijowskiej odbyło się 6 stycznia 988 r. Chrzest księcia Włodzimierza w Korsuniu został opisany przez kronikarza w sposób następujący:

„Roku 6496 [988]. Poszedł Włodzimierz z wojami na Korsun, gród grecki, i zamknęli się Korsunianie w grodzie. I stanął Włodzimierz z tamtej strony grodu u przystani, na strzelanie z łuku od grodu. I walczyli zaciekle z grodu. Włodzimierz zaś opasał gród. Wycieńczyli się w grodzie ludzie, i rzekł Włodzimierz do grodzian: Jeśli się nie poddadcie, będę stał przez trzy lata. Oni zaś nie posłuchali go. Włodzimierz więc uszykował wojów mnogich i kazał sypać przyspę do [muru] grodu. Gdy ją sypali, Korsunianie podkopawszy mur grodzki, kradli sypaną ziemię i nosili do siebie w gród, sypiąc pośrodku grodu. Woje wciąż



Źródło: <https://auctochno.ru/info/qory-kryma> (dostęp: 15.02.2024)

Siwasz



Zrodlo: https://www.yalta-on-line.ru/photogallery-yalta/photo.php (dostęp: 15.02.2024)

Jalta

przysypywali więcej, a Włodzimierz stał. I oto mąż korsuński, imieniem Anastazy, strzelił, napisawszy tak na strzale: Studnie są za tobą od wschodu, z nich woda płynie rurami; przekopawszy, przejmij ją. Włodzimierz zaś, to słysząc, wejrzawszy na niebo, rzekł: Jeśli to się spełni, ochrzczę się. I natychmiast kazał kopać w poprzek rur, i przejął wodę. Ludzie wycieńczyli się pragnieniem i poddali się. Wszedł Włodzimierz w gród i drużyna jego; i posłał Włodzimierz do carów Bazylego i Konstantyna, mówiąc tak: Oto gród wasz sławny wziąłem; słyszę zaś, że siostrę macie dziewoję, otóż jeśli jej nie wydacie za mnie, uczynię ze stolicą waszą, jako i z tym grodem. I słysząc to carowie zasmucili się i przekazali wieść, tak mówiąc: Nie przystoi chrześcijanom za pogan wydawać. Jeśli się ochrzczysz, to i to [siostrę] dostaniesz, i królestwo niebieskie otrzymasz, i z nami jednowiercą będziesz. Jeśli zaś tego nie chcesz uczynić, nie możemy wydać siostry swojej za ciebie.

To usłyszawszy, Włodzimierz rzekł do posłów carskich: Mówcie carom tak: ja ochrzczę się, gdyż wy badałem już pierwej zakon wasz, i luba jest mi wiara wasza i nabożeństwo, o którym mi opowiadali posłani przez nas męże. To słysząc carowie radzi byli, i uprosili siostrę swoją, imieniem Anna, i posłali do Włodzimierza, mówiąc: Ochrcz się, i wtedy pošemy siostrę swoją tobie. Rzekł zaś Włodzimierz: Przyjdźcie z siostrą waszą ochrzcić mnie. I posłuchali carowie i posłali siostrę swoją, dostojników kilku i prezbiterów. Ona zaś nie chciała iść. Jak w niewolę – rzecze – idę, lepiej by mi tu umrzeć. I rzekli do niej bracia: Oto nawróci Bóg przez ciebie ziemię ruską do pokajania, a ziemię grecką wybawi od srogiej wojny. Widzi przecie, ile złego wyrządziła Ruś Grekom? I dziś, jeśli nie pójdziesz, to samo wyrządzą nam. I ledwie ją przymusili. Ona zaś siadając na statek, pożegnała bliskich swoich z płaczem, i wyruszyła przez morze. I przybyła do Korsunia, i wyszli Korsunianie z pokłonem, i wwieśli ją do grodu i posadzili ją w pałacu.

Z Bożego zaś zarządzenia w tym czasie rozchorował się Włodzimierz na oczy, i nie widział nic, i trapił się wcale nie

wiedząc co uczynić. I posłała do niego carówna, mówiąc: Jeśli chcesz wyzbyć się choroby tej, to co prędzej chrzcz się, jeśli nie, to nie pozbędziesz się niemocy tej. To usłyszawszy, Włodzimierz rzekł: Jeśli to prawdą będzie, to zaiste wielki jest Bóg chrześcijański. I kazał ochrzcić siebie. Biskup zaś korsuński z popami carówny, pouczywszy, ochrzcił Włodzimierza. Gdy położył rękę nań, natychmiast przejrzał. Widząc zaś Włodzimierz tak nagle uzdrowienie, pochwalił Boga, mówiąc: Dopiero poznałem Boga prawdziwego. Gdy zaś to widziała drużyna jego, wielu ochrzciło się. Ochrczcił się zaś w cerkwi Świętego Bazylego, a znajduje się cerkiew ta w Korsuniu w środku grodu, gdzie targ odbywają Korsunianie; pałac zaś Włodzimierza wedle cerkwi stoi do dzisiejszego dnia, a carówny pałac tuż za ołtarzem. Po chrzcie zaś przywiedli carównę do ślubu. Nie znający zaś prawdy mówią, jakoby ochrzcił się [Włodzimierz] w Kijowie, inni zaś mówią – w Wasylewie, a jeszcze inni inaczej opowiadają” (*Powieść minionych lat*, [w:] F. Siedlicki, E. Goranin, H. Suszko, *Kroniki staroruskie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987, s. 70-72).

Turcy skapitulowali

Terytoria położne nad Morzem Azowskim, stanowiące stare ziemie ruskie, były potrzebne Rosji ze względu na znaczenie strategiczne, polityczne i gospodarcze. Dzięki ich posiadaniu przez państwo rosyjskie możliwe byłoby przedostawanie się Donem na morze, a zawładnięcie silną twierdzą Azow, obsadzoną przez garnizon turecki, dałoby Rosji możliwość zagrożenia chanatowi krymskiemu. Piotr I postanowił zdobyć tę twierdzę i już wiosną 1695 r. 30-tysięczna armia rosyjska przepłynęła się na statkach w dół Oki i Wołgi, a następnie przekroczyła Don. Pierwsza wyprawa azowska okazała się nieudana. Pozwoliła ona jednak wyciągnąć właściwe wnioski i zdobyć cenne doświadczenia, które umożliwiło skrupulatne i w pełni przemyślane przygotowania do kolejnego azowskiego pochodu. W celu powtórzenia tejże wyprawy w roku następnym, Piotr I podjął decyzję

o utworzeniu floty wojennej. Wiosną 1696 r. pod Azow podpłynęła flota rosyjska, złożona z 30 galer, znacznej liczby statków transportowych oraz łodzi. Zaskoczona pojawieniem się przeciwnika flota turecka wycofała się bez walki. Piotr I obległ Azow od strony lądu. W czerwcu tegoż roku, straciwszy nadzieję na odsiecz z Konstantynopola, Turcy skapitulowali.

Mimo odniesionego zwycięstwa, dostęp do Morza Czarnego Rosja mogła uzyskać dopiero po opanowaniu Cieśniny Kerczeńskiej, która należała do Turcji. Do prowadzenia zaś wojny z Turcją Piotrowi I potrzebni byli sprzymierzeńcy, których widział on w państwach europejskich.

Rozwój sytuacji międzynarodowej w okresie panowania Katarzyny II, związany przede wszystkim z sytuacją w Polsce oraz wybuchem wielkiego powstania chłopskiego w Rosji, a także z wojną rosyjsko-turecką, trwającą od 1768 do 1774 r., przyczyniły się do tego, że Rosja i Turcja wyraziły wolę zawarcia pokoju. Traktat pokojowy między dwoma walczącymi stronami został podpisany w lipcu 1774 r. w Kuczuk-Kainardzi i stanowił całkowity triumf Rosji. W myśl postanowień tego traktatu Rosja uzyskała dostęp do Morza Czarnego na wąskiej przestrzeni między ujściem Dniepru i Bohu, łącznie ze znajdującą się tam twierdzą Kinburn, a także twierdze Kercz i Jenikale na wschodnim wybrzeżu Krymu. Ponadto otrzymała ona prawo do ufortyfikowania Azowa oraz swobodnego przemieszczania się okrętów handlowych przez Bosfor i Dardanele na Morze Śródziemne. Ważnym postanowieniem tego traktatu było uznanie chanatu krymskiego za niezależny od Turcji.

Po uzyskaniu dostępu do Morza Czarnego szlachta rosyjska poczęła zagospodarowywać żyzne stepy nadczarnomorskie. Dostęp do Morza Czarnego umożliwił także dynamiczny rozwój rosyjskiego handlu. Rosja mogła odtąd przewozić znaczną ilość płodów rolnych i różnorodnych towarów do krajów czarnomorskich.

Zdobyte przez Rosję ziemie, położone między Donem a Bohem, miały dla niej ogromne znaczenie nie tylko z gospodarczego, ale przede wszystkim ze strategicznego punktu widzenia. Dlatego też z działaniami mającymi na celu zagospodarowanie nowo przyłączonych ziem podjęto także intensywne starania o zabezpieczenie rosyjskiego panowania w tym regionie.

Przyłączenie Krymu do Rosji nastąpiło w 1783 r. Aneksja ta objęła nie tylko sam Półwysep Krymski, ale także należące uprzednio do chanatu terytoria leżące po północnej i wschodniej stronie Morza Azowskiego oraz nad Morzem Czarnym, od Perekopu niemal do ujścia Dniepru. Krym stał się częścią guberni noworosyjskiej. W 1802 r. na mocy dekretu cara Aleksandra I utworzona została gubernia taurydzka. Istniała ona w latach 1802-1921, a zajmowane przez nią terytorium odpowiadało obszarom chanatu krymskiego. Centrum administracyjnym guberni taurydzkiej był Symferopol.

Tatarzy, Żydzi, Ukraińcy...

Najnowsza historia relacji Rosji z Krymem wiąże się z trudnymi relacjami pomiędzy Federacją Rosyjską a Ukrainą, jakie miały miejsce po rozpadzie Związku Radzieckiego. Przyczyn takiego stanu rzeczy należy jednak upatrywać w okresie o wiele wcześniejszym. Wiążą się one przede wszystkim z szeroko zakrojoną akcją przesiedlania mieszkańców różnych części ZSRR na terytorium Półwyspu Krymskiego.

W pierwszych latach rządów władzy radzieckiej na Krym przesiedlono znaczną rzeszę ludności pochodzenia żydowskiego, dla której stworzone zostały dwa rejony narodowościowe: Frajdorf, utworzony w 1930 r., oraz Łarindorf, który powstał w 1935 r. W 1944 r. z Półwyspu Krymskiego wysiedleni zostali Tatarzy krymscy. Ich przymusowy pobyt na terytorium

Azji Środkowej, głównie w Uzbeckiej SRR, trwał bardzo długo, gdyż w 1956 r. zmuszeni zostali oni do podpisania oświadczenia, iż zrzekają się wszelkich pretensji do majątku pozostawionego na Krymie, co stanowiło warunek konieczny wydania paszportów. Mieli oni odtąd prawo poruszać się po terytorium Związku Radzieckiego z wyjątkiem Półwyspu Krymskiego.

Wysiedlenie Tatarów krymskich wywarło istotny wpływ na zmianę struktury ludności zamieszkującej terytorium Półwyspu Krymskiego. Przeprowadzony w 1959 r. spis powszechny dowiódł, iż narodowość ta stanowiła zaledwie 0,4% mieszkańców Krymu w tymże roku. Najliczniejszą grupą ludności zamieszkującą Półwysep Krymski byli Rosjanie, stanowiący 71,5% mieszkańców, a następnie Ukraińcy i Żydzi.

Duży napływ ludności różnych narodowości na terytorium Krymu był związany także z ogromnymi inwestycjami budowlanymi realizowanymi na terytorium Półwyspu Krymskiego. Były to prace związane ze wzmoczoną eksploatacją kerczeńskich rud żelaza oraz budowa Kanału Północnokrymskiego, stanowiącego przedłużenie Kanału Południowoukraińskiego, doprowadzającego wodę z Dniepru na Krym przez Siwasz.

Duże znaczenie dla zmian w sytuacji politycznej i społecznej Krymu miało włączenie go w skład Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, co nastąpiło w okresie rządów N.S. Chruszczowa. W kwietniu 1954 r. przyjęta została ustawa, na mocy postanowień której obwód krymski został wyłączony ze składu Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i przekazany Ukraińskiej SRR. W konsekwencji tych postanowień Krym stał się okręgiem autonomicznym w składzie terytorialnym Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Oficjalnym powodem przekazania Krymu przez RFSRR była okazja trzechsetnej rocznicy zjednoczenia Ukrainy z Rosją.

Po podpisaniu w grudniu 1991 r. porozumienia o utworzeniu Wspólnoty Niepodległych Państw strona rosyjska zgłosiła roszczenia terytorialne w stosunku do Ukrainy, których przedmiotem był obszar Półwyspu Krymskiego oraz Zagłębia Donieckiego. Obszary te stanowiły i stanowią terytoria niezwykle ważne nie tylko ze strategicznego, ale także gospodarczego punktu widzenia.

Po rozpadzie ZSRR Rosjanie zameldowani na terenie Krymu zaczęli zgłaszać żądania przyłączenia zamieszkałych przez nich terytoriów do Rosji. Pod wpływem nacisków ludności rosyjskiej zamieszkującej obszar Półwyspu Krymskiego w 1991 r. utworzona została Krymska Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka. Jej terytorium objęło obszar obwodu krymskiego, za wyjątkiem Sewastopola, który uzyskał status miasta wydzielonego.

5 maja 1992 r. Rosjanie zamieszkujący terytorium Półwyspu Krymskiego proklamowali utworzenie niepodległej Republiki Krymu. Wywołało to konflikt z władzami ukraińskimi, w efekcie czego przeprowadzone zostało referendum mające na celu ustalenie przynależności państwowej Krymu. Natomiast 6 maja 1992 r. została uchwalona Konstytucja Republiki Krymu.

17 marca 2014 r. Rada Najwyższa Autonomicznej Republiki Krymu podjęła uchwałę o doniosłym znaczeniu politycznym, gospodarczym i społecznym, proklamując niepodległość Krymu. Niepodległość tę uznała Rosja, co nastąpiło na podstawie Dekretu Prezydenta Federacji Rosyjskiej „W sprawie uznania Republiki Krymu”. Natomiast 18 marca 2014 r. została podpisana umowa pomiędzy Federacją Rosyjską a Republiką Krymu o przyłączeniu terytorium Półwyspu Krymskiego do Rosji.

Dr hab. Natasza Duraj, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, pracownik Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego

Marcelina Smużewska

Kiedy temat badawczy „źle” się starzeje

Przykład rasologii polskiej

Nie wymyśliłmy rasologii sami, wpisaliśmy się w trend zainteresowań badaczy z Europy, zwłaszcza z Niemiec. Przykład ten pokazuje jednak, jak trendy badawcze mogą się dezaktualizować. Być może nie zawsze opłaca się podążać ślepo i bezkrytycznie za tematami podejmowanymi na zachodnich uczelniach, bo taki dorobek może się naprawdę „źle” zestarzeć.

Naukowe podstawy, które próbowano tworzyć w XIX i XX wieku po to, by umocować rasizm w kanonie, skompromitowały się podczas II wojny światowej. Dziś nikt nie traktuje ich poważnie. Nawet samo pojęcie rasy zaczęło być kwestionowane, a pod względem biologicznym uznano je wręcz za zbędne i nienaukowe. Funkcjonuje w obiegu humanistycznym i publicystycznym, ale bardziej po to, by opisywać kwestie związane z dyskryminacją.

Rasizm, zdaniem Macieja Górnego, autora książki *Historia głupich idei albo duch narodu w świątyni nauki* (2022), to dosyć częsta reakcja na kontakt kulturowy. Spotkaniu z kimś o innym wyglądzie i obyczajach towarzyszy lęk i poczucie zagrożenia, które podbudowane „naukowo” stają się właśnie teorią rasistowską. Już starożytni, opisując odwiedzone kraje, mieli tendencję do krytycznego opisu spotykanych tubylców z tej prostej przyczyny, że byli inni. Połączenie koncepcji humanistycznych z dorobkiem archeologii i historii okazało się w XIX wieku wybuchową mieszkanką.

Pierwszą pracą, która dała podwaliny pod teorię rasizmu w Europie, były *Szkice o nierówności ras ludzkich* napisane przez Arthura de Gobineau w latach 1853-1855. Autor głosił, że najlepsza jest rasa aryjska, która zachowała się najlepiej w kręgach arystokracji francuskiej i niemieckiej. Na gruncie niemieckim najbardziej wpływowo były prace Houstona Stewarta Chamberlaina. W książce *Zasady XIX wieku* z 1899 roku pisał o rasie Teutonów, z której rzekomo pochodziły plemiona germańskie – wysokie, jasnowłose i o podłużnych czaszkach. Żywo przypominało to opisywany w innych miejscach ideał rasowy typu nordyckiego. Koncepcje Chamberlaina zostały wykorzystane między innymi przez Alfreda Rosenberga, który był niemieckim teoretykiem rasizmu, autorem poczytnej książki *Mit XX wieku* (1930). O sukcesie rasologii w Niemczech przesądziła silna kultura uniwersytecka, rozwinięty rynek wydawniczy

i wreszcie polityka, która ochoczo wykorzystywała ustalenia różnych badaczy.

Większość hierarchii rasowych umieszcza Polaków, czy mówiąc szerzej Słowian, niezbyt wysoko. Dlatego nie dziwi fakt, że polscy uczeni wzięli się także do tworzenia własnych klasyfikacji. W kontekście rasologii polskiej warto wspomnieć m.in. o Franciszku Duchlińskim (1816-1890), Janie Czekanowskim (1882-1965) czy Ludwiku Gumpłowiczu (1838-1909). Obecnie te koncepcje się zdewaluowały i należą do pseudonauki, ale w okresie ich powstania były poważnie dyskutowane w gremiach akademickich.

Zbrodniczy Moskale i cywilizowani Europejczycy

Franciszek Duchliński (aka „Kijowianin”) w połowie XIX wieku głosił, że Rosja pod względem rasowym nie ma nic wspólnego z Europą. Granicą Zachodu jest Dniepr. Do tej rzeki mieszkają potomkowie Ariów, w naszym regionie głównie Polacy i Rusini, za Dnieprem zaś potomkowie Turańczyków, czyli konglomerat ludów azjatyckich – od Finów po Mongołów, Czukczów, Buriatów i Kazachów. Koncepcja „Kijowianina” była popularna we Francji w latach 60. XIX wieku, gdzie współgrała z popularną wówczas rusofobią. O jej sukcesie przesądziła też plastyczność opisu. Duchliński znał teren Rosji i posługiwał się słowiańskimi językami, dlatego francuscy badacze zaufali mu i trafił do tamtejszych podręczników. Pod koniec wieku teoria Duchlińskiego stała się jednak obiektem krytyki ze strony polskich uczonych. Profesjonalizująca się antropologia odrzuciła ją i uznała za nienaukową. Wprawdzie w pracach Duchlińskiego można było znaleźć jakieś tabele z pomiarami, jednak ich wartość była kwestionowana. Często powracał wątek niesłowiańskości Rosjan i ich zbrodniczych cech, co uwidaczniało się w nadużywaniu przez autora pejoratywnego określenia „Moskale”. Dlatego z myślą „Kijowianina”, mimo początkowej popu-

larności, kolejne pokolenie badaczy nie chciało mieć nic wspólnego.

Rasologia słowiańska

W 1914 r. lwowski antropolog Jan Czekanowski wystąpił z własną klasyfikacją ras odnośnie do rejonu Europy Środkowo-Wschodniej. Zaproponował trzy typy: dynarski, sarmacki i presłowiański. Typ pierwszy reprezentowała ludność Karpat, charakteryzująca się krótką czaszką i wysokim wzrostem. W dyskursie niemieckim rasa ta była oceniana pozytywnie, choć nie był to czysty typ nordycki. Zdaniem Czekanowskiego istnieli nordyccy Słowianie. Oni reprezentowali typ sarmacki i pochodzili z Azji. Typ presłowiański zawierał najwięcej cech negatywnych. Przedstawiciele tej rasy charakteryzowali się niskim wzrostem, krótkimi nogami, zadartym nosem i krótkoczaszkowością. Pod względem umysłowym znajdowali się także na dole hierarchii. Zdaniem Czekanowskiego, Ukraińcy reprezentowali typ dynarski, Polacy – nordycki i subnordyczny (sarmacki), a Białorusini – presłowiański.

Jak widać, klasyfikacja ta preferowała etnicznych Polaków. Nie miała więc charakteru integrującego nację zamieszkującą II RP. U jej podstaw leży rodzaj „nacionalistycznego darwinizmu”, próba odróżnienia się od innych narodów i udowodnienie własnej wartości. Kunszt Czekanowskiego polegał na tym, że nie podważał niemieckich koncepcji rasowych. Tam, gdzie inni widzieli jedną słowiańską rasę, antropolog wydzielił podtypy i nadał im rangę. Koncepcje Czekanowskiego rezonowały, czego kilka przykładów podaję dalej.

Uzdolnienia, wygląd i genetyczna czystość ras polskich

Ludwik Jaxa-Bykowski (1881-1948) zauważył, że zaproponowana przez Czekanowskiego klasyfikacja ma odzwierciedlenie w osiągnięciach uczniów gimnazjalnych. Jego zdaniem w szkole przeważał typ nordyczny i sarmacki, nawet jeśli to nie miało odzwierciedlenia w składzie lokalnej społeczności. Uczniowie reprezentujący te typy rasowe lepiej radzili sobie z nauką i mieli więcej osiągnięć, ergo uznano ich za bardziej uzdolnionych. Jaxa-Bykowski był przez pewien czas nauczycielem, a potem nawet dyrektorem gimnazjum, więc materiału do obserwacji prezentował mu się przed oczami niemal codziennie. Uważał na przykład, że dzieci jasnowłose rozwijają się wolniej, ale są też mniej krnąbrne i złośliwe. Natomiast dzieci o ciemniejszej karnacji są fizjologicznie starsze i demoralizują młodszych kolegów. Stąd prosty wniosek, że należy je rozdzielać. Postulaty „getta ławkowego”, numerus clausus, numerus nullus w szkolnictwie były na poważnie dyskutowane i niekiedy stawały się rzeczywistością.

Inny antropolog Karol Stojanowski (1895-1947) badał czaszki Polaków i na tej podstawie potwierdził typologię Czekanowskiego. Zajmował się też problemem zróżnicowania sprawności fizycznej w kontekście rasowym, a nawet poddał analizie taki anatomiczny szczegół jak męskie przyrodzenie. Materiału do obserwacji dostarczyli rekruci pułku ułanów i harcerze. Na podstawie swoich analiz stwierdził, że także w tej kwestii możemy zaobserwować trzy typy rasowe: nordyczny, dynarski i presłowiański. Typ pierwszy charakteryzuje się grubym, prostym penisem bez napletka. Dwa pozostałe typy mają mniejsze i cieńsze przyrodzenie oraz bardziej wydatny napletek. Co ciekawe, Stojanowski uznał, że żydowski obyczaj obrzezania jest uwarunkowaną historycznie próbą upodobnienia się do typu nordycznego. Zatem obrzezanie nie miało takiego sensu, żeby odróżnić się od gojów, wręcz przeciwnie.

Nie brakowało także myślicieli, którzy mieli odwagę doprowadzić hierarchię ras do logicznego końca, postulując „hodowlę”



Jan Czekanowski

Zdjęcie: Wikipedia

wzorcowego Polaka. Takim autorem był np. ksiądz Walerian Baranowski (1886-1952). W swoim dziele *Wielka tajemnica psychiki narodu polskiego* (1936) proponował oparcie „hodowli” na zdrowym i rdzennym Polaku z terenu Wielkopolski. Uważał również, że Żydzi reprezentują rasę obcą i krzyżowanie się z nią jest dla organizmu narodowego „truczną biologiczną”. Poza tym, był cenionym duchownym, aktywnym działaczem zaangażowanym w rozbudowę szkolnictwa na Wołyniu i posługiwał w wielu polskich parafiach.

Walka ras (hord) jako sposób na przedstawienie historii ludzkości

Znany polski socjolog Ludwik Gumplowicz pisał np. o „wojnie ras” w kontekście powstawania państw. U podłoża znajdowało się przeświadczenie o determinizmie, materializmie i ewolucyjnej naturze zjawisk społecznych. Społeczństwa rozwijały się od wielości do jedności. Ze starć pierwotnych hord wyłaniały się coraz bardziej złożone społeczności. W obrębie państwa znajdowały się różne plemiona, które ścierały się ze sobą i zawiązywały różne, nieraz przymusowe, sojusze. Świat rozwijał się więc poprzez konflikt między grupami społecznymi, czyli swoistą „wojnę ras”. Nie były one takie same, ale różniły się siłą, stanem posiadania, spójnością i trwałością. Rasy według Gumplowicza nie są tworami w sensie biologicznym, a bardziej antropologicznym. To raczej odpowiednik grupy etnicznej, powiązanej wzajemnymi interesami i relacjami.

Za używanie pojęcia „rasa” dostało się Gumplowiczowi i posądzano go o rasizm. On jednak nigdy nie klasyfikował ras pod względem ich „wartości” biologicznej czy kulturowej i odżegnywał się od nazizmu. Był zresztą z pochodzenia Żydem, więc jak mógłby na serio takie koncepcje rozważać? Jego pomysły skupiały się na teorii konfliktów, permanentnej walce jako źródle rozwoju i postępu społecznego według zasady: „walczymy, wygrywamy, wykorzystujemy”. Jakkolwiek brzmi to

dziś brutalnie, teorie te rezonowały wśród socjologów pierwszej połowy XX wieku. Dorobek Gumplowicza przypomina też bardzo teorię marksistowską. Jednak sam zainteresowany był sceptyczny wobec koncepcji rewolucji i socjalizmu.

Poza księdzem Baranowskim, którego przykład przytaczam tu tylko jako ciekawostkę, pozostali autorzy publikowali przez cały okres międzywojnia i byli aktywni społecznie oraz politycznie. Nie byli więc uczonymi z marginesu, lecz reprezentowali mainstream. Górny podaje nawet, że w zakresie rasologii Polacy byli najczęściej cytowani, zaraz po Niemcach i Brytyjczykach. Ich udział w zbiorze publikacji z tego zakresu był znaczny. Polacy mieli swoje prężne ośrodki badawcze i czasopisma. Rasologia polska nie była więc efemerydą, która pojawiła się tu i ówdzie na marginesie prac nikomu nieznanymi uczonych, ale było to poważne zajęcie dla wielu naukowców. Oczywiście nie wymyśliliśmy rasologii sami, wpisaliśmy się w trend zainteresowań badaczy z Europy, zwłaszcza z Niemiec. Przykład ten pokazuje jednak, jak trendy badawcze mogą się dezaktualizować. Być może nie zawsze oplaca się podążać ślepo i bezkrytycznie za tematami podejmowanymi na zachodnich uczelniach, bo taki dorobek może się naprawdę „źle” zestarzeć.

Rasologia w praktyce – *Sektion Rassen- und Volkskunstforschung* IDO 1940-1945

W latach 90. XX wieku Gretchen E. Schafft, prowadząc kwerendę w National Anthropological Archives of Smithsonian Institution, natrafiła na 73 tys. niemieckich jednostek archiwalnych pochodzących z Polski. Były to akta zgromadzone przez okupacyjny Instytut für Deutsche Ostarbeit (IDO) i zawierały badania antropologiczne, ludoznawcze i medyczne na temat mniejszości etnicznych Generalnego Gubernatorstwa. Największa część tych akt dotyczyła górali. Te badania miały być podstawą do planów nazistowskiej reorganizacji Wschodu. Chodziło o jego narodowe rozbitcie za pomocą wzmacniania etnicznych antagonizmów. Badania miały być też podstawą do ustalenia zakresu przesiedleń, reorganizacji, germaniza-



Ludwik Gumplowicz

Zdjęcie: Wikimedia Commons

cji i eksterminacji ludności okupowanych ziem. Działalność Instytutu Niemieckiej Pracy na Wschodzie była przykładem zastosowania rasologii (choć nie rasologii polskiej) w praktyce. Stosowano hierarchię ras w celu zlokalizowania najbardziej „wartościowej” dla nazistów ludności lokalnej. Na szczęście nie zdążono wprowadzić w życie wniosków wynikających z tych badań, co tylko dowodzi tego, jak niebezpieczna może być jakakolwiek hierarchia ras.

Książki nadesłane

Stanisław PRZYBYSZEWSKI, *Dzieła literackie. Edycja krytyczna*, red. Gabriela Matuszek-Stec: t. 1, *Proza poetycka. Pentalogia*, red. Gabriela Matuszek-Stec, 2022; t. 3, *Homo sapiens. Trylogia*, red. Ewa Skorupa, 2022; t. 6, *Dzieci nędzy. Adam Drzazga*, red. Katarzyna Badowska, 2023; t. 8, *Dla szczęścia, Złote runo, Goście, Matka, Śnieg*, red. Hanna Ratuszna, 2023, Kraków, Wyd. UJ.

Andrzej NOWAK, *Powrót „Imperium Zła”. Ideologie współczesnej Rosji, ich twórcy i krytycy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023.

Anna Sylwia CZYŻ, *Pałace Wilna XVII-XVIII wieku*, Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA, Warszawa 2021.

Krzysztof POLECHOŃSKI, *Kronikarz „czasów niepewnych”. O Ferdynandzie Goetlu i jego twórczości*, Instytut Literatury, Kraków 2023, seria: Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”.

Ryszard MARKIEWICZ, *Zabawy z prawem autorskim dawne i nowe*, Wolters Kluwer, Warszawa 2022.

Reforma prawa własności intelektualnej, część III, red. Alicja ADAMCZAK, Wyd. PŚ, Kielce 2023, seria: Monografie. Studia. Rozprawy.

Maciej PIETRZAK, *Podstawy i zastosowania ekologii krajoznawstwa. Część druga i trzecia: Struktura i praktyka, tom 2*, ANS im. J.A. Komenskigo w Lesznie, Leszno 2023.

Konrad SKOTNICKI, *Doktor z TikToka. 111 faktów, które zniszczą twoje wyobrażenie o świecie*, Znak Literanova, Kraków 2023.

Bibliografia kopernikowska IV 2002-2022, oprac. Adam BIEDRZYCKI, Jolanta MILZ-KŁACZKOW, Wojciech SZRAMOWSKI, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2023.

Dawa SOBEL, *Doskonalsze niebo. Jak Kopernik zrewolucjonizował wszechświat*, tłum. Anna Mądry, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2023, seria: Nicolaus Copernicus.

Magdalena CHUŁEK, *Jak wytwarzany jest slums? Studium przypadku mieszkańców Kibery i Korogocho w Nairobi*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2023, seria: Monografie FNP.

Kobiety-Polki w nauce, red. nauk. Krystyna LESZCZYŃSKA-WICHMANOWSKA, Wyd. UMCS, Lublin 2023, seria: Kobiety w sferze publicznej.

Kamil AKSIUTO, Michał WALLNER, Marcin POMARAŃSKI, *Poprawność polityczna. Źródła – przejawy – kontrowersje*, Wyd. UMCS, Lublin 2023.

Ktoś robi coś, nie robi czegoś z nienawiści...

Nienawiść. Siostra zawiści, złości, chciwości, chytrności, przeciwniczka miłości. Hamuje myślenie, bo sięga po utarte stereotypy, z założenia polegające na usztywnieniu oglądu informacji, i odrzuca wszelkie argumenty potwierdzające pozytywne cechy obiektu działania. Rodzaj automatu. Forma głupoty.

Ktoś zaczyna robić coś, nie robić czegoś z nienawiści, gdy tylko odebrała mu rozum. Z biegiem czasu, po okresie utajenia tego uczucia, przechodzi do fazy agresji, która z założenia jest jawna. Od tego momentu nienawidzący jest źle oceniany nie tylko przez czujących pozytywnie i mających inny pogląd, ale i przez nienawidzących tak samo i tego samego. Tylko że z lęku przed taką represją nikt z nich nie przyznaje się do tej samooceny. To z kolei powoduje, że środowisko nienawidzące tego samego, nienawidzi także siebie wzajemnie.

Grupa nienawidzących zawsze jest podminowana pewnego rodzaju konkurencją, którą łagodzi jedynie nawracająca potrzeba utwierdzenia się w danym typie nienawiści i wobec danego obiektu. Fazy takiego działania uspokajającego są jednak bardzo krótkie, bo nienawidzący niemal automatycznie doznaje wtedy napadów paniki przed wygaśnięciem nienawiści, które byloby ocenione jako zdrada samego siebie, a tym nie można się z nikim dzielić. Byłoby to przyznawanie się do słabości, która u nienawidzących z natury jest ogromna, na granicy paraliżu i poczucia wyobcowania. Dlatego grupowi nienawidzący w rzeczywistości są w swej nienawiści samotni. Mimo wymiany zdań i pewnej wspólnoty ideowej nie wiedzą, że nienawiść jako rozprzestrzeniająca się zaraza odsuwa pozytywne oceny rzeczywistości i każe pozytywnie oceniać tylko nienawidzących, lecz jednak nie wszystkich, bo jedynie nienawidzących tego, co nienawidzi oceniający nienawistnik. Nienawidzący coś lub kogoś innego jako pozorni konkurenci są (zwykle nietrafnie) przydzielani do grupy nienawistników obcej i często z automatu wrogiej. Nienawidzący chętnie cudzą nienawiść krytykują, a nawet uroczyście potępiają, celowo gmatwając w ten sposób diagnozowanie, kto jak myśli.

Koło się zamyka, ponieważ nienawiść nie dopuszcza do akceptacji pozytywów zawartych w tym, czego się nienawidzi. Nienawidzący, postrzegający już tylko negatywy, doznaje szału, kiedy ktoś wyraża politowanie lub wobec nienawidzącego próbuje stosować metody tonujące emocje. Dzieje się tak dlatego, że łagodzenie złych uczuć burzy mozolnie skonstruowany światopogląd szanujący zło jako uprawnione dobro nienawistnika.

Po początkowym wycinkowym zaangażowaniu psychiki nienawidzącego do akcji przeciw jednemu obiektowi, podstępnie dołącza się całokształt funkcji osobowościowych i wciąga, zaprasza albo wręcz zmusza do „współpracy” inne nienawiści, w tym także pochodzące od osób wspomagających, a następnie scala je i zaczyna modelować jako całościową metodę oglądu danego obszaru rzeczywistości. Uruchamia pewien typowy dla nienawiści styl bycia. Osoba nienawidząca jest rozpoznawalna,

ale z reguły o tym nie wie. Traci zdolność samooceny, upaja się swoim stanem, nieustannie dołącza nowe argumenty i doskonalą język, który do tego celu rozwija.

W pewnym momencie rodzi się endogenna paranoja (zespół swoistych urojeń, przekonań, zwidów). Paranoik atakowanie obiektu nienawiści ma opracowane jako: 1) eliminację wszelkich tez przeciwnych, 2) negowanie każdej argumentacji, która kłóci się z linią nienawiści własnej, 3) ćwiczenie się w odpiernianiu głosów w dyskusji z dokładnym i wyuczonym rozbiorem wszystkiego, co myślący-czujący-inaczej może powiedzieć, 4) nieustępliwość z tendencją kierowania dyskusji ad hitlerum (z Hitlerem jako argumentem powalającym przeciwnika w dyskusji).

Nienawidzący, im bardziej kłamie i narusza dobro źródeł, faktów i argumentów, tym częściej twierdzi, że to on jest nienawidzony. Jest przy tym tak dokuczliwy, że napotyka odruch obronny nawet innych nienawidzących, ale nastawionych na inne obiekty. Ponadto odpowiedzi (obrona) ze strony nienawidzonej są przez nienawidzącego natychmiast i z zasady odwracane, by stały się podstawą agresji – agresor twierdzi więc, że to on został zaatakowany.

Wydaje mu się też, że nabywa praw do szczęścia zabieranego osobie nienawidzonej, ale zamiast zniewalać i niszczyć, nieświadomie uczy ją obrony.

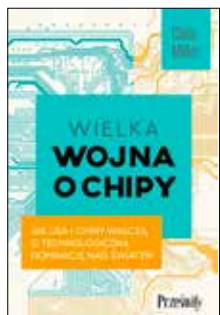
Doznając przyływu nienawiści, bardzo krótko czuje radość. Są to ułamki sekund, ponieważ natychmiast przychodzi podświadoma refleksja, że nienawiść niczego nie zmienia, że wywołuje odbicia, kiedy osoba nienawidzona nabiera impetu. Radość z nienawidzenia wręcz wytwarza przykrość jako sytuacja zagrożenia (choćby ze strony osoby nienawidzonej), i to nawet wtedy, gdy nienawidzący ma wyhamowane sumienie.

Porażki utwierdzają go, że słusznie nienawidzi, bo skoro nienawidzony nadal pozbawia go szczęścia, tym razem rykoszetem, to dlatego się broni i odbija ataki, że jest osobą kłamiwą, niezdolną do przyznania się do winy za to, za co jest nienawidzona. Osoba nienawidzona tym bardziej napędza nienawistnika do nienawidzenia, że pozbawia go przyjemności z ataków. Wręcz zmusza go do odczuwania przykrości, a nawet cierpienia z powodu niemożności nasilania nienawiści, bo ta oczywiście ma jakieś granice. Pozostaje już tylko wpaść w szal, za metodę nienawiści przyjął zemstę jawną i fizyczną, tak aby ostatecznie uderzyć i ewentualnie zabić.

Zabicie nienawidzącemu śni się co noc, a i na jawie mu majaczy. Stale marzy mu się cud likwidacji osoby nienawidzonej, za co jednak system prawny solidnie karze, niszcząc zabójcom życie na zawsze. W ten sposób, nienawistniku, możesz wpaść w tragiczną pułapkę zastawioną na siebie samego. A tego to sobie nie zdołasz już wytłumaczyć.

e-mail: lpj@lpj.pl

Diabeł tkwi w szczegółach



Publiczny i prywatny dyskurs na temat rosyjskiej inwazji na Ukrainę pokazuje, jak bardzo wiele osób – przynajmniej w Polsce – wciąż prezentuje wyobrażenia o wojnie rodem z opisów II wojny światowej w podręcznikach do historii i popularnych opracowaniach. Konflikt sprowadza się w nich do – w uproszczeniu ujmując – trzech aspektów: 1) wielkich bitew, 2) często wojskowej techniki, gołym okiem widocznej na placu boju (czołgi, samoloty itp.) i 3) walki wywiadów. Tymczasem rywalizacja między różnymi obozami we współczesnym świecie toczy

się przede wszystkim w warunkach pokoju, zbrojne starcie, o ile kiedykolwiek nastąpi, jest tylko finalnym akordem, a jego rezultat zależy od wyników „walki” na obszarze nauki i gospodarki. W tym sensie szachująca Europę arsenałem nuklearnym, ale gospodarczo i technicznie zapóźniona, Rosja jawi się jako mocarstwo, ale z poprzedniej epoki (inna sprawa, że dopiero czas pokaże, czy przyjęta przez Kreml strategia rywalizacji z NATO nie okaże się jednak skuteczna, przynajmniej do pewnego stopnia).

Znaczenie możliwości projektowania, a przede wszystkim wytwarzania najnowocześniejszych chipów dla perspektyw rozwoju gospodarczego danego kraju w ogóle, a dla jego potencjału militarnego w szczególności, nie jest już dziś przedmiotem sporu, debatuje się ewentualnie nad tym, czy jest to czynnik kluczowy, czy jeden z ważnych, ale nie najważniejszy. Chris Miller ujmuje problem kompleksowo: nie przyjmuje znaczenia chipów jako aksjomatu. Pierwsza połowa książki poświęcona jest historii tego typu komponentów; przy okazji autor w sposób zrozumiały dla laików omawia ich zastosowania w technice wojskowej i cywilnej w miarę, jak od końca lat pięćdziesiątych się one pojawiały. Chodzi o to, by nie traktować chipów jak czegoś niemal magicznego, gdyż wówczas łatwo jest przeszacować lub nie doszacować zagrożenia ze strony przeciwnika w tym obszarze. Autor umiejętnie pokazuje też, dlaczego to akurat Chiny i USA są w tej dziedzinie najważniejszymi graczami i dlaczego cała gra toczy się wokół Tajwanu. Jego przewidywania na temat możliwego eskalowania konfliktu przez Chiny wskazują na autentyczną skalę zagrożenia: łańcuchy dostaw mają szereg słabych punktów i Pekin nie musi wcale dokonywać pełnoskalowej inwazji na wyspę, aby osiągnąć przynajmniej niektóre swoje cele.

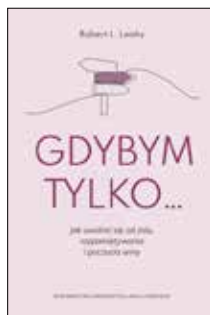
Fascynujące i mrozące krew w żyłach jednocześnie są partie książki poświęcone niewojskowym metodom, za pomocą których Chiny starają się rywalizować z USA w obszarze produkcji chipów – szpiegostwo gospodarcze, niejawne przejmowania fabryk i inne działania możliwe dlatego, że Państwo Środka nie jest z żadnym państwem w stanie wojny i mimo amerykańskich sankcji gospodarczych uczestniczy w zglobalizowanej gospodarce. Jednocześnie niepokoi połowiczna tylko świadomość zagrożenia wśród wielu amerykańskich polityków, którzy wołają skupiać się na militarnym wspieraniu Tajwanu, podczas gdy wróg raz po raz wkrada się na amerykańskie terytorium.

Miller nie snuje apokaliptycznych wizji, ale ostrzega, że ten, kto w chipowej rywalizacji zbyt mocno zostanie w tyle, może już nie być w stanie odrobić strat. Chiński model polityczno-gospodarczy wciąż w wielu obszarach okazuje się mniej wydolny niż amerykański, ale totalitarna władza może myśleć w perspektywie abstrakcji i dziesięcioleci, gdyż nie musi niczego wyjaśniać wyborcom. Autor łączy interdyscyplinarną perspektywę (chińska strategia bazuje na rozumieniu rzeczywistości szerszym niż ekonomiczne lub technologiczne) ze szczegółową wiedzą o sytuacji (i dlatego umie wyjaśnić np. dlaczego nie wystarczy po prostu „zbudować fabryk chipów i je produkować”). Ciężar geopolityki przesuwają się na Daleki Wschód, mimo iż masę chipów podaje się już w skali nano.

Marek Misiak

Chris MILLER, **Wielka wojna o chipy. Jak USA i Chiny walczą o technologiczną dominację nad światem**, tłum. Aleksandra Samson-Banasik, Michał Glatki, Wydawnictwo Prószyński & Ska, Warszawa 2023.

Nie oglądaj się ciągle za siebie!



Osobiste listy żalów za straconymi szansami bywają zazwyczaj długie. Trudno znaleźć osobę nieposiadającą prywatnego rejestru powinności, czyli rzeczy, które można zrobić, ale z jakiegoś powodu to się nie udało. Ciągłe rozpamiętywanie dawno dokonanych wyborów prowadzi do depresji, smutku, spadku nastroju albo wyrzutów sumienia. Mimo to wielu z nas zatrząskuje się w nieodwracalnej przeszłości, koncentrując się na nieustannym roztrząsaniu konsekwencji powziętych decyzji, na które przecież nie mamy już wpływu. Taka strategia jest zupełnie jałowa,

przekonuje Robert L. Leahy. W swojej książce *Gdybym tylko...* ten amerykański psycholog kliniczny i terapeuta poznawczo-behawioralny zachęca więc do zmiany mało konstruktywnych nawyków polegających na rytuale codziennego narzekania. Zaproponowana przez niego metoda trzech kroków zakłada modyfikację życiowego nastawienia. Jego zdaniem należy rozpocząć od zrozumienia żalu, kolejnym etapem powinno być nauczenie się podejmowania dobrych decyzji, a na końcu nabycie umiejętności przekształcania nieproduktywnego żalu w produktywny, który będzie działał na naszą korzyść.

Leahy, jak sam pisze, chce zabrać czytelników „w podróż przez zakamarki żalu” po to, by im pokazać, że nie muszą cały czas tkwić unieruchomieni przez tę emocję, niczym statek przez kotwicę. Wystarczy już umartwiania się, obwiniania i ciągłego oglądania za siebie. Trzeba sobie wybaczyć, być dla siebie dobrym i wyrozumiałym, a nie tylko surowym sędzią skupiającym się na niepowodzeniach. Przyszłość bowiem może zacząć się już teraz. Najwyższa już pora porzucić ruminacje, czyli nawracające negatywne myśli o naszym życiu i podjętych decyzjach. Nie bądźmy jak krowa, apeluje Leahy, która w trakcie przeżuwania trawy ruminuje, a więc bez przerwy międlą pewną porcję stawy, nie połykając jej. Wydostanie się ze starych kolein wymaga oczywiście konieczności podjęcia wysiłku. Dlatego autor zadbał, by umieścić w każdym rozdziale zestaw praktycznych ćwiczeń, które wykonywane cyklicznie mogą się realnie przyczynić do poprawy naszego funkcjonowania.

Oczywiście można pozostać przy ciągłej samokrytyce i umartwianiu. Czyż jednak nie lepszą strategią jest wyciąganie wniosków z podjętych decyzji, po to by następnym razem zrobić coś lepiej? Do tego też służy żal. Dzięki niemu możemy wyobrazić sobie alternatywne wizje dnia jutrzejszego. Jeśli teraz komuś przyjdzie ochota zapytać, czy Leahy nie kreuje podwójnych standardów proponowanych zachowań, raz krytykując żal, a w innym przypadku go chwalać, należy wyjaśnić, że intencją autora nie jest namawianie kogokolwiek do porzucania tej istotnej emocji, ale do nauczenia się wykorzystania jej tak, by działała na naszą korzyść.

Warto nie traktować książki Leahy’ego jako kolejnego z samopomocowych poradników, które od dłuższego czasu licznie zapełniają półki w księgarniach. Lepiej spojrzeć na nią jak na podręcznik zawierający solidną porcję wiedzy, opracowanie wyposażające nas w konkretne wskazówki niezbędne do modyfikacji destrukcyjnego modelu postępowania. Autor nie podaje prostych recept na osiągnięcie doskonałości ani nie próbuje namawiać nikogo do huraoptymizmu, który w przypadku pozycji z zakresu samodoskonalenia potrafi być zupełnie niestrainny, a czasem wręcz irytujący w swojej naiwności. W tym przypadku mamy do czynienia z usystematyzowanym i zaprezentowanym w atrakcyjnej formie wywodem pozwalającym każdemu ustalić własny, i co najważniejsze, realny plan działania. Już tylko od woli i zaangażowania czytelników zależy, czy zechcą wejść na drogę zmiany. Leahy bowiem zrobił wszystko, żeby im ułatwić podjęcie takiej decyzji.

Aneta Zawadzka

Robert L. LEAHY, **Gdybym tylko... Jak uwolnić się od żalu, rozpamiętywania i poczucia winy**, tłum. Katarzyna Sawczyńska, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2023, seria: Psyche/Soma.

Prawda o slumsach



W slumsach żyje co ósmy mieszkaniec globu. Szacuje się, że do 2030 roku będzie to już co czwarty z nas. Brzmi zatrważająco, tym bardziej że nasza wiedza o życiu w slumsach jest niewielka i pełna stereotypów. Sytuację tę zmienia Magdalena Chułek, która przez prawie dwa lata mieszkała w slumsach Nairobi: Kibery i Korogocho. Przeprowadziła tam badania etnograficzne, wykorzystując metodę obserwacji uczestniczącej oraz wywiadów biograficznych. W efekcie powstała monografia naukowa, którą czyta się jak znakomitą, co rusz budzącą

dreszcz emocji, powieść. „Wiesz Magda, żyjemy na granicy ubóstwa – nie możemy sobie pozwolić na broń. Możemy tylko walczyć o coś do jedzenia i przeżycie przy pomocy broni domowej roboty. Z pistoletem mógłbym mieć znacznie więcej niż teraz, napadając z nożem” – opowiada autorce 16-latek z Korogocho. Najcenniejsze łupy to smartfony, które można później sprzedać.

Sprawczość jednostek – nie tylko w tak radykalnym wydaniu – to jedna z głównych osi książki. Skąd wziąć wodę, co zrobić z odchodami, jak gasić pożary? To problemy, o których przeciętny Europejczyk nie myśli, a w afrykańskich slumsach są codziennością. Nie należy jednak ich demonizować. Magdalena Chułek pokazuje też, jak różnorodna jest jakość życia w slumsach. Nie wszyscy cierpią tam nędzę, nie wszyscy nazywają swoje domostwo slumsem. „Część Kibery to slums, ale rozejrzyj się tutaj – to nie jest slums, bo mamy toaletę, miejsca do zabawy dla dzieci. (...) Kibera to wioska nubijska. Znajdziesz tu też slumsy, tam na dole, szczególnie w Laini Saba. Tam możesz znaleźć ludzi żyjących jak zwierzęta, bez toalet” – słyszy badaczka od 47-latk.

O tym, jak mieszkańcy dbają o estetykę, świadczą m.in. fryzury kobiet. Otóż kręcone naturalne włosy czarnych kobiet uznawane są za niechlujstwo. „Wygładałabym jak bezdomna, która nie ma pieniędzy, żeby uporządkować włosy” – mówi 28-latka. Kobiety prostują więc włosy, korzystają z różnych zabiegów pielęgnacyjnych, choć one kosztują.

Autorka w obrazowy i drobiazgowy sposób opisuje też wygląd domów, zazwyczaj z blachy i mieszanki z błota, która jest mniej podatna na temperaturę i w związku z tym uważana za lepszy budulec. Okien najczęściej nie ma, szyby to luksus. Dom domowi jednak w slumsach nierówny. O różnicach, a także różnorodnych postawach wobec domu i własności autorka również szczegółowo informuje. Mieszkańcy slumsów to też konsumenci, którzy jako tacy stanowią wyzwanie dla producentów np. obuwia. Ludzi w slumsach nie stać na kupowanie dziecka co rok nowego obuwia. „Przykładem innowacyjnego produktu przeznaczonego dla ubogich – pisze autorka – są np. rozszerzane buty, zwane również butami, które rosną. Jest to proste, regulowane seriai zatrasków obuwie, które rozszerza się do pięciu rozmiarów”. Innym „wynalazkiem” są mikroopakowania. Dzięki nim można kupić pastę do zębów, proszek do prania, margarynę czy napój w niewielkich porcjach, dostosowanych do możliwości finansowych. A – jak wynika z książki – strategie finansowe tych ubogich ludzi nastawione są na „tu i teraz”. Np. kupują coś smacznego zamiast syjącego i wartościowego odżywczo albo coś, co da im chwilową przyjemność, coś, co Europejczycy mogliby postrzegać jako bezzmyslną rozrzutność, marnotrawstwo. Prawdopodobnie jednak mieszkańcy slumsów nie bardzo wierzą, by oszczędzanie mogło poprawić ich los. Często zachowują się, jak gdyby uważali, że zmiana na tyle istotna, by była warta poświęceń, potrwa zbyt długo. I tak błędne koło biedy i konsumpcji się zamyka.

Ta niezwykła, świetnie napisana książka jest pełna tego typu opowieści, których zwykły turysta nie dostrzeże. A o tym, że kwitnie turystyka slumsowa, też w niej przeczytamy.

Anna Jawor

Magdalena CHUŁEK, **Jak wytwarzany jest slums? Studium przypadku mieszkańców Kibery i Korogocho w Nairobi**,

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2023.

Pabjana odczytywanie sensu



„Pomysł ponownego napisania książki jakiegoś innego autora z pewnością musi wydawać się co najmniej dziwny. Jest tak zwłaszcza wtedy, gdy sprawa dotyczy książki z zakresu filozofii. Gdy dodatkowo wychodzi na jaw, że idzie o (...) książkę Michała Hellera *Filozofia nauki*, pojawia się graniczące z pewnością przeczcucie, że jest to nie tyle dziwne, co po prostu zły pomysł. Niestety najczęściej nie mamy wpływu na to, jakie pomysły rodzą się w naszej głowie”. W taki sposób ks. prof. Tadeusz Pabjan z UPJPII zaczyna swój podręcznik *Odczytywanie sensu*. I jest to praktyczna

uwaga, jak podejść do książki Pabjana: wyrasta ona z książki Hellera, zachowuje jej strukturę, ale, jak podkreśla w przedmowie sam Heller, stanowi w pełni autorskie dzieło i przekracza znacznie skryptowy charakter podręcznika Hellera, stając się lekturą, która może ubogacić każdego.

Ogólnie rzecz ujmując, książka dotyczy filozofii nauki (czy jak dawniej się w Polsce mówiło metodologii nauk); wskazuje na to jej struktura, na którą składają się cztery części. W pierwszej z nich, *Fenomen nauki i metodologiczne typy nauk*, autor najpierw próbuje dokonać determinacji znaczenia nazwy „nauka”, wskazując na jej wieloznaczność i próbując określić przedmiot teorii nauki. W drugiej zaś części rozdziału dokonuje wyróżnienia metodologicznych typów nauk, traktowanych szeroko (tzn. włączając różne typy teologii i filozofii). Szkoda, że autor pomija tu całkowicie dorołek KUL-owskiego filozofa Stanisława Kamińskiego i jego kluczowe dzieło *Pojęcie nauki i klasyfikacja nauk*, zawierające wnikliwe analizy typów nauk i problemy ich klasyfikacji.

Z kolei w części drugiej, *Metodologiczna charakterystyka nauk przyrodniczych*, autor analizuje podstawy nauk przyrodniczych, a więc stanowiska w sprawie rozumienia faktu naukowego, pokazując nietatwe filozoficznie zagadnienie zależności faktu od teorii. Następnie omawia dwie koncepcje kluczowe dla XX-wiecznej filozofii nauki: indukcyjną i hipotetyczno-dedukcyjną (Popperowski falsyfikacjonizm). Część tę wieńczę rozważania dotyczące struktury i statusu poznawczego teorii fizycznej. Kolejna część książki, *Filozoficzne zagadnienia ewolucji nauki*, podejmuje problemy dynamiki nauki. W historycznym ujęciu chodzi o dynamikę dyscypliny naukowej, a nie teorii. Pojawia się też podstawowe pytanie o racjonalność zmiany nauki; tu możemy znaleźć omówienie Thomasa Kuhna koncepcji zmiany dyscypliny naukowej (znanej jako teoria rewolucji naukowych czy teoria paradygmatu), a także różnych odpowiedzi na poglądy Kuhna (K. Popper, I. Lakatos czy P. Feyerabend). Tu na uwagę zasługuje fragment omawiający Michała Hellera koncepcję nieliniowego rozwoju nauki wywodzącą się z termodynamiki nieliniowej, dzięki której można dokonać próby pogodzenia przekonania o niemal katastroficznym rozwoju nauki z dobrze uzasadnionym twierdzeniem o wewnętrznej logice ewolucji teorii naukowych; według Hellera należy uznać komplementarność tych dwóch aspektów ewolucji nauki. Daje to w efekcie model bifurkacyjny rozwoju nauki, według którego „ewolucja nauki dokonuje się na drodze kolejno następujących po sobie okresów stacjonarnych i okresów bifurkacji”, w których znika stabilność i odporność na fluktuacje zewnętrzne i wewnętrzne, a nawet mała okoliczność może doprowadzić do rewolucyjnego przewrotu.

Ostatnia część książki, poświęcona problematyce granic nauki, ma najbardziej filozoficzny charakter. Autor podkreśla, że kluczem do sukcesu nauk przyrodniczych było samoograniczenie się do zagadnień, które dają się ująć za pomocą metody empirycznej. W tym rozdziale autor analizuje tzw. redukcjonizm metodologiczny oraz analizę relacji między racjonalnością wiedzy a racjonalnością świata.

Marek Lechniak

Tadeusz PABJAN, **Odczytywanie sensu. Wstęp do filozofii nauki**,

Copernicus Center Press, Kraków 2023.

Czym (i jak) zajmuje się historia sztuki?



Zbiór dwunastu szkiców profesora Bałusa jest kolejną propozycją skierowaną do czytelników zainteresowanych refleksją nad tym, czym zajmuje się historia sztuki. Nie o jej przedmiot chodzi, ale o metodę oraz swoiste podejście „meta”. W gruncie rzeczy łatwo jest odpowiedzieć, że historia sztuki jest nauką na temat dzieł sztuki w ujęciu historycznym. Ładnie brzmi, ale nie da się ukryć, że taka definicja jest tautologiczna. Ponadto bez autorefleksji i namysłu jak prowadzić takie rozważania, dosyć szybko stoczmy się na poziom banału i opowiadania o wrażeniach oraz

emocjach autora. A przecież jest to dziedzina wymagająca nie tylko erudycji wzrokowej oraz tekstowej, lecz także szerokiego humanistycznego horyzontu. Bez nich historii sztuki po prostu nie da się uprawiać. Czego doskonałym dowodem jest książka Wojciecha Bałusa.

W szeregu tekstów autor poddaje analizie terminy bardzo często używane – a nawet można odnieść wrażenie, że nadużywane – przez historyków sztuki. Jak się okazuje pojęcia „wpływu” oraz „kryzysu”, „przełomu”, „historycyzmu” lub „nastroju”, były przedmiotem analiz wielu uczonych, autor nie tylko referuje ustalenia, lecz dokłada do nich własne refleksje, budując w swoich dosyć krótkich tekstach interesujące „monografie” metodologiczne stanowiące dla czytelnika wstęp do dalszych, już własnych rozważań. Ale będące niewątpliwie pomocnymi dla tych autorów, którzy może są mniej zainteresowani metodologicznymi rozważaniami, niemniej poprawność metody badawczej jest dla nich ważna.

Ciekawym zagadnieniem jest swoista pułapka, jaką zastawił na zwiedzających Kraków profesor Estreicher przy renowacji Collegium Maius. W tekście znajdujemy odpowiedź na pytanie, na ile była to rekonstrukcja, a na ile świadoma kreacja. Jednakże celem autora nie było opisywanie ciekawostek, lecz zaproszenie do namysłu, jaki powinien być cel pracy rekonstruktorów architektury. Na ile powinni dążyć do wierności pierwowzorowi, a na ile wpasowywać swoją pracę w tkankę urbanistyczną. Czym jest „dawność” zabytku, skoro nawet tak wybitny historyk sztuki nie wahał się przed fałszerstwami, aby tylko wzmocnić wrażenie „stara dawności i historyczności” budynku. Jeżeli jednak przyjąć, że koncepcja Estreichera, którą on sam nazywał „wskrzeszaniem przeszłości”, nie jest wystarczającym, lecz uprawnioną kreacją, to stawia nas to przed interesującym pytaniem o dopuszczalność współczesnych ingerencji w strukturę zabytku. Warto się nad tym zastanowić chociażby w kontekście wzbudzonej wszak wielkie kontrowersje odbudowy katedry Notre Dame w Paryżu. A na dodatek uświadommy sobie, że jest to pytanie, którego jeszcze nie tak dawno temu nikt sobie nie zadawał.

Oczywiście trudno zreferować w krótkim szkicu całość tak rozbudowanej i wielowątkowej publikacji. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na ciekawe zagadnienie związane z kwestią wykorzystania wcześniejszych ustaleń. Erudycja autora robi ogromne wrażenie, jednakże nie stara się on zasłonić nią ani omawianych zagadnień, ani osobistego zdania. *Rzeczywistość wyabstrahowana* nie jest książką o tym, co pisali inni autorzy, lecz prezentacją istotnych zagadnień, które – jak się okazuje – towarzyszą historii sztuki od samego początku. A taka perspektywa czasowa nakazuje poważnemu autorowi, jakim jest niewątpliwie prof. Bałus, umieszczenie swoich rozważań w kontekście wcześniejszej literatury, nawet jeżeli autor ma odmienną opinię. Ale warto zwrócić uwagę, że nie jest to zwykłe ukazanie „stanu badań”. W pewien, aczkolwiek bardzo dyskretny sposób mamy do czynienia z szeregiem wycinkowych rozważań o kulturze i samopoznaniu człowieka, jakie dokonuje się dzięki tworzeniu i kontemplacji sztuki.

Juliusz Gałkowski

Wojciech BAŁUS, *Rzeczywistość wyabstrahowana oraz inne szkice z dziejów obrazu i teorii sztuki*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2024.

Półwiecze i ciąg dalszy



Książka utrwała biografie i dorobek trojga uczonych. Ich aktywność naukowa, organizacyjna i dydaktyczna położyła fundamenty pod białostockie środowisko filologiczne. Od roku 1968 istniała Filia Uniwersytetu Warszawskiego, która przekształciła się w 1997 w Uniwersytet w Białymstoku. Elżbieta Feliksiak (1937–2015), Halina Krukowska (1937–2019) oraz Bogusław Nowowiejski (1954–2019) zostali upamiętnieni jako nietuzinkowe osobowości obserwowane w codziennym działaniu, a także jako wybitni badacze i liderzy życia naukowego białostockich humanistów.

W tomie wypowiadają się koleżanki, koledzy, uczniowie, słowem kontynuatorzy twórców białostockiego środowiska humanistycznego. Pisanie o ich genealogii, dorobku oraz charakterach, zainteresowaniach nie tylko naukowych stało się dla współautorów tomu pretekstem do myślenia o sensie filologii. Nasunęły się im refleksje metodologiczne, historycznoliterackie czy antropologiczne. Na przykład o prof. Elżbiecie Feliksiak czytamy: „mniej informowała o zjawiskach istotnych z punktu widzenia współczesnych metodologii i praktyk krytycznych, więcej problematyzowała”. W tle losów bohaterów książki uwidaczniają się mroczne dzieje XX wieku, które wyjaśniają, a przynajmniej przybliżają uwarunkowania formujące starsze pokolenie białostockich filologów. Wpłynęli niewątpliwie na to, że ich następcy zajmują się literaturą i językiem regionów oraz krajów nieodległych (Litwy, Białorusi, Łotwy, Ukrainy i innych).

Opracowanie zawiera mnóstwo trafnych uwag o ważkich i ulotnych zdarzeniach, które określiły specyfikę białostockiego zarówno literaturoznawstwa, jak i językoznawstwa. Szkice pisane są z perspektywy badaczy, którzy przejęli od swoich mistrzów przekonanie, że bycie humanistą wymaga pasji, kompetencji moralnych, szerokich horyzontów oraz pewnego stanu ducha i umysłu. W osobach zmarłych profesorów znajdujemy uczonych, potwierdzających ideę Józefa Tischnera: „Ethos idzie przed Logosem”. Z jednej strony białostocki pionierzy filologii stawiali na kreatywność, samorozwój i możliwie najgłębsze rozumienie analizowanych zjawisk, a z drugiej pochłaniała ich wola działania na rzecz społeczeństwa, a zwłaszcza społeczności lokalnej. Nie byli filologami gabinetowymi. Poszukiwania intelektualne oraz imperatyw udzielania się innym zostały w książce udokumentowane w sposób wielostronny, choć zapewne niewyczerpujący.

Przedstawione dokonania mogą być inspiracją do odnowienia i powrotu do źródeł filologicznych dociekań, którymi w ostatnich dekadach zaważała hegemonia zideologizowanego kulturoznawstwa. Mowa tu o stylach czytania-rozumienia tekstu literackiego, o perspektywach epistemologicznych i hermeneutycznych literaturoznawstwa, połączonych z postawą personalistyczną i świadomością aksjologiczną. Autorzy przypominają o odziedziczonej po swoich mistrzach potrzebie znajdowania się „w przestrzeni sporu”. „Bycie twórczym” to wewnętrzny nakaz, który dziś okazuje się jednym z ważniejszych przesłań tych wspomnień i rozważań.

Autorzy szkiców nierzadko udzielają w nich głosu swoim bohaterom, co jest niezwykle cenne. Dodajmy, że każdy z tekstów ma swą urodę, zabarwioną temperamentem ich autorów, jakby ośmielonych przez nieżyjących już mistrzów, których po śmierci widzą jakby dokładniej i głębiej.

Książka spełnia założone cele: dokumentuje wdzięczną „pamięć o Osobach” i czasach tworzenia się białostockiej filologii, daje wiarygodny obraz ich dorobku. Oferuje także za pomocą słów, zdjęć i dokumentów rzetelne materiały do historii jednego z wyrazistszych pod względem profilu badań filologicznych środowisk w Polsce, które w 2018 roku świętowało półwiecze swojego istnienia.

Zbigniew Chojnowski

Twórcy białostockiego środowiska filologicznego: Profesorowie Elżbieta Feliksiak, Halina Krukowska i Bogusław Nowowiejski, red. Jarosław ŁAWSKI, Violetta WEJS-MILEWSKA, Wydawnictwo Prymat, Białystok 2023.



Zdjęcie: Wikipedia

Leszek Szaruga

Afryka

Z biegiem lat, a rozpocząłem już rok 79 obecności, coraz bardziej interesują mnie przestrzenie, których nie znam i już poznać nie zdołam, a które, chcę tego czy nie, stanowią kontekst mego życia. Dotyczy to różnych zjawisk: od fizyki czy mechaniki kwantowej poczynając, poprzez logikę matematyczną, archeologię, kosmologię, po historię i politykę. I choć formalnie jestem liczony w poczet polonistów, to jednak tym, co mnie w literaturze zawsze najbardziej pociągało, jest zwiedzanie kreowanych w niej światów – czy będą to epickie opowieści, czy liryczne powidoki, stąd zresztą jako krytyk literacki czuję się raczej reporterem niż „literaturoznawcą”.

Świat jest taki, jakim go widzę. Inaczej wygląda planeta przedstawiana na globusie szkolnym z północą na górze, południem zaś na dole, a inaczej z kosmosu, gdzie widać ją z różnych perspektyw, co ma znaczenie zarówno dla wyobraźni, jak polityki. W istocie wszystkie te perspektywy są równoprawne. Centrum naszego świata jest we wnętrzu tej kulki dryfującej w przestrzeni Drogi Mlecznej i skazanej na pożarcie przez Słońce, które za kilka miliardów lat zogromnieje, co zasadnym czyni pytanie o możliwość przetrwania – cokolwiek ma ono znaczyć – człowieka lub tego, w co zdoła się on przepoczwarzyć. I choć rozumiem postawy tych wszystkich, którzy, odwołując się do różnych przeciw koncepcji religijnych, wierzą w życie pośmiertne w innych, nieznanym nam przestrzeniach, sam jestem tej wiary pozbawiony, co być może jest świadectwem ułomności, lecz zarazem nie pozwala mi pojąć przekonania młodych wyznawców islamu, iż ponosząc śmierć w jakiejś „świętej wojnie”, natychmiast znajdą się w ramionach oczekujących ich w zaświatach dziewic, a przecież takie wyobrażenia, nie tylko w tej kulturze, są dobrą motywacją do czynienia zła, co znamy wszak i z doświadczeń średniowiecznej, chrześcijańskiej Europy.

Warto jednak czasem rozejrzeć się w świecie realnym, dalekim raczej od abstrakcyjnych spekulacji i wciąż zaskakującym dokonującymi się w nim przeobrażeniami. Z tego też właśnie powodu sięgnąłem po wydaną niedawno książkę Dipo Faloyina *Afryka to nie państwo* opatrzoną podtytułem *Pora przełamać stereotypy*. Stereotypów nazbierało się sporo, ale w zasadzie nikt już dziś nie odważy się poważnie mówić o „dzikich” tubylcach, choć też określenie „tubylec” nie wydaje się niczego tłumaczyć. Kraje afrykańskie, może poza Egiptem mającym swą ugruntowaną jeszcze w czasach antycznych tożsamość, wciąż poszukują sposobu opowiadania o sobie, ale też należy pamiętać o tym,

że ich granice wytyczone zostały w wyniku arbitralnych decyzji kolonizatorów, których raczej nie interesowały ani krajoznawstwo, w które wkomponowane były przedkolonialne społeczności, ani też owe społeczności, których wspólnoty przecinały wykreślane przy ekierkach linie skazujące je dziś na egzystencję w różnych państwach. Nie jest to zresztą tylko przypadek Afrykanów, wszak znamy to i z Europy, w której Macedończycy żyją w Grecji, Macedonii i Bułgarii, ale też i z Azji, by przywołać los Kurdów.

Ale jednak postkolonialna rzeczywistość Afryki jest kontynentalną osobliwością, której przyszłość stanowi zagadkę istotną dla Europy (przede wszystkim Europy) z wielu powodów, spośród których nie na końcu wspomnieć trzeba o postępujących zmianach klimatycznych inicjujących ruchy migracyjne – wielu ruszy na Północ i będzie to żywioł, nad którym, jak przewidują badacze problemu, nie sposób już dziś zapanować. Niemniej wszyscy stąd nie uciekną, a ci, którzy zostaną, muszą jakoś – wyjąwszy apokalipsę – odnaleźć przyszłość. Jak pisze Faloyin: „Kluczem do kolonializmu było nastawienie ludzi przeciwko sobie, polityka spod znaku dziel i rządź. Panafrykanizm i Rok Powrotu [2019, gdy rząd Ghany wezwał diasporę do powrotu] tymczasem kładą nacisk na konstruktywny kolektywizm, budowanie wspólnej przyszłości, która szanuje i uwzględnia niuanse i różnice”. Jednak czym mianowicie miałby być ów „konstruktywny kolektywizm” i czy rzeczywiście jest kluczem do scalenia pokiereszowanego przez Zachód kontynentu, nie bardzo wiadomo.

Swego czasu Jacek Bocheński w szkicu *Niepodległość wśród ludzkości* podkreślał: „Skończyły się imperia kolonialne (z wyjątkiem rosyjskiego na dwóch kontynentach), ale to właśnie «biała cywilizacja» dała impuls i kierunek rozwojowi Trzeciego Świata, począwszy od Japonii. Europa nie ma władzy nad resztą kuli ziemskiej, lecz ta reszta, chcąc nie chcąc, naśladuje «białą cywilizację», bo żadnej innej nie może”. To naśladownictwo jednak niekoniecznie musi oznaczać powtarzanie wzorca, ale być może spowoduje jego kreatywną reinterpretację, za sprawą której sam termin „kolektywizm” straci swą mroczną wymowę, a zbliży ku czemuś, co stanowiło w Polsce istotę „karnawału Solidarności” z lat 1980-1981, wówczas zjawiska zdumiewającego dla świata. Być może trzeba się zjednoczyć, by móc się sensownie podzielić. Jedno nie ulega wątpliwości: wyzwania, wobec których stoją Afrykanie, wydają się interesującym problemem dla politologów.



Europejski Instytut Uniwersytecki we Florencji

(więcej czytaj na stronach 20-23, fot EUi)





PERSPEKTYWY
**WOMEN
INTECH
SUMMIT**

Warsaw • Poland • World



12-13 JUNE
2024



JOIN THE EVENT



TECH-LIFE BALANCE

The most **IMPORTANT TECH EVENT** this year

womenintechsummit.pl